

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

Sekret Enigmy

Wydanie polskie 1978

Spis rozdziałów:

Tu - praca i skromność, tam - blaga.....	1
Marsz w historię.....	6
Zaproszenie do Warszawy.....	10
Polska Enigma.....	13
Ocalić myśl!.....	18
„Żółte kartki”.....	33
Ultra, córka polskiej Enigmy.....	43
Szyfrowe pojedynki.....	47
Zaglądnij w karty.....	55



Tablica pamiątkowa w Lesie Kabackim.

Tu - praca i skromność, tam - blaga.

Pośród wielu tajemnic związanych z II wojną światową najpilniej przestrzegano sekretu Enigmy, czyli nader skomplikowanej niemieckiej maszyny szyfrującej. Dopiero w 30 lat po zakończeniu wojny wyszło na jaw, że uporanie się z jej pomysłow konstrukcją doprowadziło wreszcie do odczytywania na bieżąco rozporządzeń, meldunków i rozkazów bojowych, wydawanych przez niemieckich przywódców i samego Hitlera. Nastąpiło to nie od razu, ale w efekcie ostatecznym rozwiązanie tajemnic Enigmy tak skutecznie się przyczyniło do rozgromienia Trzeciej Rzeszy, że można to rozwiązanie oceniać jako szczególnie ważny, jeśli nie decydujący, element zwycięstwa. Do takiego

wniosku doszli autorzy brytyjscy, starannie pomijając fakt, że źródłem wielkiego sukcesu była zespołowa praca trzech młodych polskich matematyków i kryptologów.

Jakże się to zaczęło? Gdzie szukać chwili, która o powstaniu polskiego zespołu rozstrzygnęła?

Jest miesiąc wrzesień 1930 roku. Do kraju przyjechał z Niemiec matematyk, absolwent Uniwersytetu Poznańskiego, Marian Rejewski, młodzieniec niewysoki, szczupły, wobec otoczenia życzliwy, w odezvaniach się rozważny i skromny. Przyjemnie mu powrócić z niemiłej obczyzny do starych kątów w Poznaniu, gdzie uzyskał stopień magistra, uzupełniając później wiedzę na rocznym stażu w Getyndze.

Zmierzając teraz do Zamku, okazałej pruskiej z okresu zaborów pamiątki, gdzie w Instytucie Matematyki oczekuje go profesor Zdzisław Krygowski. Magister Rejewski wie, że wkrótce stanie wobec alternatywy: czy wypadnie pójść drogą naukową, czy też poświęcić się gimnazjalnej belferce? Wszakże już podczas uzupełniających studiów w Getyndze zajmował się głównie statystyką w zakresie ubezpieczeń, a więc zastosowaniem matematyki do celów bezpośrednich, życiowych...

Istniał poza tym jeszcze inny kierunek przyszłej pracy, ale o tej czy innej drodze miał postanowić oczywiście profesor...

Po wejściu do gmachu Rejewski coraz to przystaje odpowiadając na powitania kolegów i uniwersyteckich woźnych niby surowych, a przecie wobec studenterii zawsze uczynnych. W korytarzu przed wejściem do Instytutu wita się z kolegami, którzy byli i są mu najbliżsi.

Są to: metodyczny w pracy i dociekliwy poznańczyk Henryk Zygalski oraz pochodzący z tzw. kresów Jerzy Różycki, odznaczający się żywością i poletem myśli. To właśnie oni wspólnie z Rejewskim wyróżnili się spośród dwudziestu studentów, zapisanych na zorganizowany przez Sztab Główny kurs szyfrowy. Uczestników kursu wybierał wtedy sam profesor Krygowski. Każdy z wyznaczonych posługiwał się swobodnie językiem niemieckim, a profesorowi chodziło także o to, żeby kandydaci na przyszłych kryptologów umieli pracować samodzielnie, wiedzę matematyczną sprowadzając do pożądanego wyniku praktycznych.

- Kiedy wróciłeś? - pytał teraz Różycki.

- Już parę dni temu - pogodnie odpowiedział Rejewski - ale rozumiem się, musiałem odwiedzić swoich w Bydgoszczy. Zresztą, profesor wezwał mnie na dziś...

- Tak samo i nas - powiedział Różycki.

Zasiedli na ławie. Milczenie przerwał Zygalski.

- Jakże tam było? W Getyndze...

Rejewski zastanowił się przez chwilę.

- Za dużo burszów i głupich wybryków - mówił. - Studenci z Anglii i Ameryki piją, wyżywają się w awanturkach, gonią za Niemcami. Poza tym - ciągnął - obrzydzili nam życie młodzi hitlerowcy z ich marszami, sloganami, wrzaskami i pogróżkami...

- A poziom wykładów? - przerwał Różycki.

Rejewski machnął ręką.

- Nic nowego, ale biblioteczne zbiory z zakresu matematyki mogą imponować. Opracowałem dwa referaty, przyjęto je dobrze... Przywiozłem sporo czasopism naukowych i roczniki matematyczne. A co tutaj?

- No, mieliśmy przecież pierwszą po tylu latach niewoli Powszechną Wystawę Krajową - przypomniał Zygalski.

- To wiem. Ale co z naszym kursem? Będzie trwał nadal?

Odpowiedzi nie otrzymał. Po chwili sprowadzając rozmowę na inne tory Różycki zauważył:

- Podobno zostaniesz asystentem profesora...

- Skąd masz tę wiadomość? - zapytał Rejewski, a twarz mu lekko poróżnowiała. Zrozumiał: awans nielichy!

- Od Józefa - odrzekł Różycki. - Woźny zawsze wie najlepiej...

W gabinecie profesora, dokąd właśnie ów wszytkowiedzący woźny poprosił najpierw Rejewskiego.. już siedział wysoki, chudy, ubrany po cywilnemu pan. Magister poznał w nim majora Pawłowicza, który wraz z innym oficerem Sztabu Głównego zainicjował był przed rokiem cykl wykładów i zajęć praktycznych z dziedziny szyfru.

Profesor zabrał głos. Zwracając się do Rejewskiego, mówił:

- Jestem w kłopotcie. Pan major pragnie w panu widzieć kierownika poznańskiej filii warszawskiego Biura Szyfrów. Tymczasem ja chcę zaproponować panu asystenturę...

- Czy nie da się tych dwóch funkcji pogodzić? - zapytał major.

Rejewski zastanowił się, zaś major ciągnął:

- Warunki pracy są takie: dwanaście godzin tygodniowo. Czas pracy, dzień czy w nocy - określicie sami. To znaczy - pan oraz pańscy koledzy, Zygalski i Różycki. Miejsce pracy o kilka kroków stąd, w Komendzie Miasta, przepustki stałe. Materiał do badań będzie co dzień dostarczany z Warszawy albo bezpośrednio z nasłuchów w Poznaniu i Starogardzie. Poza tym trzeba się liczyć z tym, że może za parę lat wypadnie przenieść was do Warszawy. Zadanie główne: rozwiązywanie niemieckiego szyfru maszynowego, a szczególnie zmiennych kluczy... Czekam na odpowiedź...

Rejewski, który, pochyliwszy głowę, słuchał w skupieniu majora, oświadczył:

- Panie profesorze, jeżeli mi wolno się wypowiedzieć... Sprawę uważam za nadzwyczaj ważną. O asystenturze każdy z nas marzy, ale pobyt w Niemczech dał mi wiele do myślenia... Sądzę, że mógłbym podolać obu obowiązkom...

- Wszystkim wiadomo, że jestem wymagający - nadmienił profesor. - No cóż, zaufam panu, zaraz porozumiem się z rektorem. A teraz... pogadajcie ze sobą...

Wychodząc skinął na Zygalskiego i Różyckiego, żeby weszli do gabinetu.

* * *

Rozpoczęła się współpraca trzech matematyków, którym - jak się okazało - świat miał zawdzięczać daleko więcej, niż jednemu ze sławnych generałów.

A zatem początków całej historii wypada się dopatrywać w powstaniu zespołu trzech młodych matematyków. Jeden z nich, Jerzy Różycki, zginął podczas wojny, drugi, Henryk Zygalski, od dawna cierpi na niedomogi pamięci, i tylko trzeci z kryptologów, właśnie Marian Rejewski, zresztą przez cały czas kierujący pracami zespołu, a dziś przebywający w kraju, maluje zainteresowanym dramatyczny przebieg trudnych prac i towarzyszące im okoliczności. Z faktu tego niekiedy wynika nieuchronnie zbieżność fragmentów w różnych opracowaniach tematu, proszącego się jednak - oprócz badań typu „książkowego” - o bardziej bezpośrednią znajomość ówczesnych charakterów i stosunków szczególnie sztabowych, i to zarówno w Warszawie, jak w Paryżu czy Londynie. O tym zaś, że nikt z pisarzy nie ma tu monopolu, świadczą coraz liczniejsze publikacje w różnych krajach, odśladające, ale często i zaciemniające sprawy związane z przebiegiem II wojny światowej, a więc także i z tajemnicami Enigmy.

Mam na myśli przede wszystkim treść książki „The Ultra Secret” (London, 1974). Autor jej, E. W. Winterbotham, był w latach 1930-1945 szefem departamentu lotniczego w Secret Intelligence Service. W tym charakterze był on już podczas wojny łącznikiem pomiędzy ośrodkiem dekryptażu w Bletchley Park pod Londynem, a premierem Churchillern i brytyjskimi sztabami. Książka Winterbothama dokumentuje fakt, że nadawane przez niemieckie maszyny szyfrujące typu Enigma rozkazy i meldunki hitlerowskich przywódców szybko stawały się znane walczącemu Londynowi (a później w ogóle sztabom alianckim) dzięki temu, że przechwytywała je i rozwiązywała brytyjska maszyna z pomocą towarzyszących jej pomysłowych urządzeń, co otrzymało kodową nazwę „Ultra”.

Dostaliśmy więc pasjonującą lekturę o przebiegu wojny, w ciągu której jedna ze stron posiadała dodatkowo atut decydujący, mianowicie bieżącą informację o nieprzyjacielskim ordre de bataille i o najbliższych zamiarach Hitlera oraz jego generałów. Przy tym przez cały czas wojny to właśnie pan E. W. Winterbotham sprawował pieczę nad tym, aby Niemcy nie dowiedzieli się nigdy, że została im wydarta największa z tajemnic, szyfrująca elektromechaniczna maszyna Enigma z jej zmiennymi walcami, pierścieniami, wtyczkami i miesięcznymi tablicami dziennego klucza. Pan E. W. Winterbotham dopilnował tej sprawy i, istotnie, sekret Ultry nie przestał być sekretem - aż do czasów ostatnich.

Wszakże czytając jego książkę, nie można się oprzeć rosnącemu już od początku i w miarę czytania lektury podejrzeniu, że autor przemyka się lekceważąco nad faktami, których nie zgłębił - lub świadomie popełnia grzechy nieściśłości, co nie przystoi historykowi i byłoby do wybaczenia raczej w pracach zbeletryzowanych.

Znakomity, a już niemłody, brytyjski kryptolog Dillwyn Knox (ur. w roku 1882) jest w roku 1939 u Winterbothama określany jako „quite young”, czyli całkiem młody. Nie ma tam za to ani słówka o francuskim pułkowniku G. Bertrandzie, który strawił lata na koordynowaniu pracy francuskich,

brytyjskich i polskich kryptologów. Pomija tak samo Winterbotham udział dobrej setki Amerykanów w pracach ośrodka Bletchley Park. Przy okazji zauważamy nadto, że słynne zamknięcie „worka Falaise” w roku 1944 autor przypisuje nie polskiej I dywizji pancerniej, lecz Kanadyjczykom. (Pewnie dlatego, że Polacy działali w składzie kanadyjskiego korpusu?) Wszakże, co najważniejsze - nie pojmując ciągłości w żmudnych i długotrwałych zmaganiach wielu specjalistów różnych krajów z tajemnicą niemieckiej Enigmy - Winterbotham podkreśla tylko ogromną rolę brytyjskiej Ultry, która mu się ujawnia ni z tego, ni z owego, niby Wenus nagle wynurzona z otaczających Wyspy Brytyjskie morskich fal.

W rzeczywistości rzecz miała się inaczej, niechże więc będzie wolno i nam, także w formie bardziej zbeletryzowanej, lecz opartej na niezbitych świadectwach, przedstawić ów długi i ciągły proces, który zapewnił Brytyjczykom wczesny start i ostatecznie umożliwił pełne a skuteczne wyzyskanie efektu wspólnej pracy.

Można tu przyjąć datę 8 grudnia 1932 roku jako punkt wyjściowy następnego etapu prac. W dniu tym wymieniony już pułkownik (wówczas właściwie kapitan) Bertrand dostarczył polskiemu Biuru Szyfrów zakupioną u Niemca instrukcję obsługi Enigmy wraz z kluczami na okres dwóch miesięcy, co znacznie przyspieszyło bieg wypadków dalszych.

Dnia 31 grudnia tegoż 1932 roku pierwsze sygnały Enigmy zostały odszyfrowane w Warszawie. Maszyna nie stanowiła już tajemnicy. Wykryto ją w pracowni trzech wymienionych kryptologów w północnym skrzydle Pałacu Saskiego w Warszawie. Aż do połowy 1939 roku Polacy nie ujawnili ani tego faktu, ani natury prac dalszych nad Enigmą, zmierzających do uporania się z wiecznym problemem aktualnych kluczy, a więc wymagających analizy zmiennego porządku szyfrujących walców, nastawiania właściwych dla nich pierścieni i stosowania wtyczek o podwójnej końcówce. Do zautomatyzowania tego procesu zastosowano pomoce zwane „płachtami”, czyli komplety specjalnie oznakowanych i dziurkowanych arkuszy oraz elektromechaniczną maszynę o nazwie „bomby kryptologicznej”. W dalszym ciągu uparcie brnąc pośród piętrzących się rozważań o charakterze matematycznym, osiągnięto pożądane rezultaty w praktyce, choćby w postaci odtworzonej i powielonej maszyny Enigmy oraz ogromnej ilości odczytanych szyfrów.

Można by tu zanotować przewagi odnoszone przez młodą generację kryptologów w przeciwstawieniu do francusko-brytyjskiej generacji starszej, która pracowała na tym polu jeszcze podczas I wojny światowej, kiedy maszyn szyfrujących typu „Enigma” w ogóle nie było.

Czterej zaproszeni na dzień 24 lipca 1939 roku do Warszawy kryptolodzy (francuscy oficerowie Deuxieme Bureau - Bertrand i Braquenie oraz brytyjscy - komandorzy Denniston i Knox) należeli do generacji poprzedniej. Gościom ujawniano całość osiągnięć, demonstrując szereg polskich maszyn typu „Enigma” oraz działanie innych metod i urządzeń. Otrzymali też ich szczegółowy opis oraz - w prezencie - po jednym egzemplarzu odtworzonej w Warszawie polskiej Enigmy, która już w roku 1939 dała początek brytyjskiej koncepcji o kryptonimie „Ultra”.

Dodajmy, że i koncepcja „bomby kryptologicznej” niewątpliwie pobudziła brytyjskich uczonych i konstruktorów do opracowania znacznie ulepszonej maszyny Colossus, nazwanej poprzednio Boginią lub Robinsonem - swojego rodzaju ówczesnego komputera, który uzupełniał funkcje Ultry. Do czasu, kiedy maszyna ta po raz pierwszy zaczęła powoli „przemawiać” (w kwietniu 1940 roku) Anglicy posługiwali się z powodzeniem metodą polskich „płacht”, które produkowali w sposób zmechanizowany, a także korzystali z konsultacji u polskich kryptologów, kiedy ci przebywali już na terenie Francji.

O tym wszystkim Winterbotham najwidoczniej nie miał pojęcia, choć - zdaniem pisarza i historyka, jakim jestem - powinien był się wywiedzieć, i to bez specjalnych trudności, skoro miał wgląd do archiwów. Poza tym - jeszcze nie wszyscy uczestnicy i świadkowie wydarzeń powymierali; w szczególności mogła być autorowi „The Ultra Secret” dopomóc w ustaleniu prawdy książka pt. „Enigma”, którą napisał i wydał w Paryżu jeszcze w roku 1973 Gustave Bertrand, niezmordowany tropiciel sekretów niemieckiej Enigmy, tudzież inicjator długoletniej współpracy kryptologów Francji, Wielkiej Brytanii i Polski.

Natomiast, jako szczególną namiastkę tych prawd, Winterbotham zanotował (na stronach 10-11 swego bestsellera) dziką plotkę o jakimś polskim mechaniku, który pracował w niemieckiej fabryce maszyn cyfrowych, a zwerbowany później przez wywiad brytyjski - zbudował temuż wywiadowi aż w Paryżu (!) drewniany, wielkości pianina (!) model Enigmy, po czym Anglicy widząc, na co się zaniósł, a już mając adres niemieckiej fabryki, jakoby nawet opłacili (!) polski wywiad za to, że wykradnie choć jeden egzemplarz Enigmy... Tak się też miało (według pana Winterbothama) stać... Jakoby sam komandor Denniston w tryumfie powiózł cenną zdobycz do Anglii... Brak tu jeszcze niedźwiedzi i

wilków, które w centrum Warszawy napadły dzielnego komandora, ale - na szczęście - z opresji wyratował go sam św. Jerzy... No cóż? Jak bajać, to do końca.

Jednakże, jak się okazuje, na tym nie koniec blagom i fantazji. Znalazł się drugi pisarz, p. Anthony Cave Brown, który w książce „Bodyguard of Lies” (czyli Straż przyboczna łgarstw” - znamienity tytuł!) podaje inną wersję „zdobycia” przez Brytyjczyków sekretu Enigmy. Oto trzech panowie: pułkownik Menzies, kryptolog Knox i matematyk Alan Turing umawiają się siedząc pod portretem króla Edwarda VII. Dla większego prawdopodobieństwa całej relacji - portret jest opisany (król ubrany po myśliwsku z fuzją w rękę i wiązką ustrzelonych kuropatw szkockich w drugiej). Narada dotyczy się wyprawy do Polski, gdzie od polskiego Żyda „Lewinskiego”, rzekomo dawnego pracownika w niemieckiej fabryce maszyn cyfrowych, dwaj z wymienionych panów mają nabyć sekret Enigmy. Transakcja dochodzi do skutku... W Paryżu odtwarza się Enigmę, wzór dla Ultry... A ponieważ do szybszego odnajdywania zmiennych kluczy niezbędna jest jeszcze maszyna-automat, więc buduje taką maszynę p. Turing. Otrzymuje ona miano „bomby Turinga”, co żywo przypomina nazwę skonstruowanej w Polsce i pokazanej Anglikom „bomby kryptologicznej”. No cóż, 'p. A. Brown ma na to wszystko świadka: portret samego króla...

Już w trakcie kończenia tej książki otrzymaliśmy coga w rodzaju pocieszenia. Oto William Stevenson w imponującej rozmiarami i naszpikowanej szczegółami książce „A man called Intrepid” („Człowiek przezwany Nieustraszonym”), poświęconej tajemnicom dyplomacji i wywiadu podczas II wojny światowej, przypisuje polskiemu wywiadowi sprytne zdobycie i przekazanie komandorowi Dennistonowi oryginalnego egzemplarza niemieckiej Enigmy. Miało się to stać rzekomo 22 sierpnia 1939 r. w warszawskim hotelu „Bristol”. Wszystko jest oczywiście nieprawdą. Jednakże Stevenson widzi w tym „gest wojownika, który - zanim sam padnie - przekazuje sojusznikowi maszynę i wiedzę o niej, niby swój miecz”. Dalej pisząc już o sukcesie brytyjskiej Ultry w Bletchley - jak wiadomo wzorowanej na polskiej Enigmie - wspomina o żywych obawach Anglosasów. Niepokój wynikał z faktu, że Niemcy torturują polskich i francuskich jeńców wojennych, a przecież - pisze Stevenson - „dobry tuzin polskich oficerów wywiadu w Warszawie i Paryżu mógł przynajmniej coś niecoś wiedzieć o brytyjskiej zdobyczy i ktoś poddany okrutnemu dochodzeniu mógłby to ujawnić. (...) Gdyby Niemcy wykryli, że Enigma już się znalazła w rękach Brytyjczyków, to musieliby przejść na inny system, co obróciłoby wniwecz zasadniczą rolę, którą pełniła Ultra” - konkluduje Stevenson, ale zaraz dodaje, że „oficjalne, dokonane już po wojnie dochodzenia potwierdziły, że nikt sekretu nie zdradził, co ustawia Brytyjczyków i Amerykanów po stronie dłużników w stosunku do tych, co nigdy nic nie powiedzieli - jest to dług, który w świetle wydarzeń wydaje się niemożliwy do spłacenia”.

Owszem, gdyby Anglosasi, zamiast wymyślania bajeczek, publicznie przyznali Polakom zasługę w odkryciu sekretu Enigmy, a w konsekwencji - powstanie brytyjskiej Ultry, to można by mówić o tak zwanej fair play, czyli po prostu uczciwości.

Pośród mnóstwa sensacyjnych szczegółów Stevenson podaje sporo wiadomości o pewnej agentce brytyjskiego wywiadu w Warszawie, a potem gdzie indziej. Pracowała ona pod pseudonimem „Cynthia”, a w okresie poszukiwań Enigmy była żoną brytyjskiego dyplomaty. Pamiętamy, że w świecie towarzyskim Warszawy zawrzało, kiedy poszukiwaczka wrażeń opuściła dom i w towarzystwie dziarskiego oficera ułanów zamieszkała w hotelu „Bristol”. Poznaliśmy tę piękność z fotografii, owszem: ta sama! Dla zatuszowania skandalu oficer został wtedy przeniesiony do dalekiego od stolicy garnizonu, pani Cynthia osierociła nas wyjeżdżając do Londynu, a jej mąż otrzymał stanowisko w Ameryce Południowej. Wspominamy o hotelowym melodramacie tylko dlatego, że dopiero przy wyliczaniu zasług Cynthii Stevenson zanotował jej przyjaźń z ministrem Spraw Zagranicznych Józefem Beckiem i nareszcie wymienił nazwiska trzech polskich kryptologów: Jerzego Różyckiego i Henryka Żygalskiego, zaś głównego kryptologa Mariana Rejewskiego wyróżnił... jako „mademoiselle” czyli pannę Marian Rejewski (str. 312.). Cóż tedy począć z tego rodzaju anglosaskimi „historykami”? Bóg z nimi...

Lekko się czerwieniąc za tych pisarzy-plotkarzy, przecież bądź co bądź kolegów po piórze, przystępujemy teraz do naszej własnej narracji o trzech pracowitych i skromnych młodzieńcach, którzy - zwyciężając naukowo-techniczną myśl niemiecką - dali początek niezwykle dla wygrania wojny doniosłym pracom ośrodka w Bletchley Park. Oni też umożliwili samemu panu Winterbothamowi osiągnięcie rzeczywistych sukcesów czasu wojny i dzięki nim mógł on napisać i wydać swoje sensacyjne pamiętniki. Szkoda, że zaraz na początku - zakłamanie.

W mojej opinii nie jestem osamotniony. Niektórzy krytycy, znający prawdziwy wkład Polaków w całą sprawę, mocno zareagowali na wersję Winterbothama. Jeden z nich, inż. płk Tadeusz Lisicki zacytował fragment z recenzji dra De Kahna, zamieszczonej w „New York Times” z dnia 29 grudnia 1934 r. Dr Kahn pisał między innymi: „Podana przez Winterbothama wersja początków rozwiązania Enigmy, dokonanego przez Polaków, pracowników Biura Szyfrów, okrada Polaków z jednego z największych osiągnięć w dziedzinie łamania szyfrów”. Odnaleźliśmy tę recenzję i słówko „okrada”.

Także i stanowisko Niemców bywa znamienne. Prowadzący dyskusję radiową (radio Frankfurt nad Menem) niemiecki publicysta tak ją podsumował:

„Teraz można śmiało powiedzieć, że wiele aspektów II wojny światowej ukazało się w nowym świetle. Jednym z nich może być stwierdzenie, że wojna nie została rozstrzygnięta na samych tylko polach bitew i w fabrykach zbrojeniowych, ale także w równym stopniu w pracowniach specjalistów od łamania szyfrów już przed rokiem 1939 - w Polsce. Tak więc Polacy, którzy byli pierwszymi ofiarami Hitlera i najbardziej cierpieli przez całą wojnę, byli także twórcami zwycięstwa mocarstw zachodnich”.

W istocie rewelacje „The Ultra Secret”, niczym jakiś gwałtowny huragan, zrywają mniemanym architektom zwycięstwa niejednego pióropusz. Ale przecież i koncepcji samej Ultry nie wyłoniły w jakiś cudowny sposób morskie piany, gdyż wywodzą się one w prostej linii od polskiej Enigmy, a więc z mojego kraju. Fakt ten ani na jotę nie umniejsza zasług brytyjskiego uczonego, technika lub oficera Intelligence, co polską myśl umieli rozwinąć i polskie maszyny udoskonalić, nadać im kształt ostateczny i mądrze, dla dobra świata, wyzyskać.

Sądzę, że obie prawdy zostaną wobec Czytelnika potwierdzone przez cichych i skromnych bohaterów, przedstawionych w tej krótkiej a rzeczowej opowieści.

Opowieść „Sekret Enigmy” osnułem na uważnej lekturze wspomnień E. W. Winterbothama i G. Bertranda, tudzież na publikacjach w prasie brytyjskiej i polskiej (krajowej i emigracyjnej), a przede wszystkim na ustnych relacjach głównego polskiego kryptologa magistra Mariana Rejewskiego, chyba najbardziej w tych sprawach kompetentnego. Liczne a pouczające z Nim rozmowy nie są do zapomnienia. One też ośmieliły autora do podjęcia pracy o tak trudnym dla laików temacie.

Przenieśmy się teraz do okresu poprzedzającego wybuch wojny, a więc w dziewięć lat po rozpoczęciu pracy przez zespół Rejewski - Zygalski - Różycki.

Marsz w historię.

Działo się to w lipcu pamiętnego roku 1939 w Warszawie.

Szef Biura Szyfrów, podpułkownik Wojsk Polskich Gwido Langer, mężczyzna korpulentny, w ruchach i mowie powolny, nie musiał się tego ranka spieszyć. Granatowy autobusik, wcześniej odjeżdżający z placu Teatralnego do ośrodka technicznego w Lasach Kabackich, wyruszył w drogę nie czekając. „Szef wezwany do pałacu” - objaśnił swoją grupę major łączności Maksymilian Ciężki. Był on kierownikiem supertajnego referatu „BS-4”, zajmującego się szyframi niemieckimi. Ponieważ odznaczał się ruchliwością i lotnym umysłem, więc na chrzcie koleżeńskim dano mu przekornie pseudonim „Piórko”. W ogóle każdy z kilkunastoosobowego i zgranego ze sobą od lat zespołu otrzymywał jakąś „przezwę” albo trafny przydomek. Zresztą operowano tam ciągle hasłem, skrótem, kryptonimem, cyfrą.

Podpułkownik Langer miał teraz czym się pochwalić. Nareszcie, po kilku latach upartych wysiłków, jego ludzie - ten „trust mózgów” najbardziej newralgicznego działu Sztabu Głównego - osiągnęli szczyt najśmielszych marzeń, jakie mogą towarzyszyć istnej ekwilibrystyce myślowej matematyków-kryptologów, właściwie jakby filozofów i posługujących się naukową metodą detektywów - w jednej osobie. Sukces był też zasługą doskonałych konstruktorów i mechaników-elektryków, których zdołał w ciągu kilku lat skupić wokół „BS-4” podpułkownik Langer. Niekiedy przypominało to bez przesady szukanie igły w stogu siana albo pogoni za odbłaskiem czegoś nieznanego. Ileż okresów czarnej bezradności na przemian z olśnieniami kolejnego odkrycia przeżyło się wspólnie, zanim osiągnięty został zaiste nieprawdopodobny wynik: rozwiązanie sekretów tajnej elektromechanicznej szyfrującej maszyny, przyjętej w sztabach wojskowych i politycznych Trzeciej Rzeszy. I rezultat drugi: nie tylko sporządzenie i rozmnożenie polskiej repliki tej właśnie niemieckiej Enigmy, ale także urządzenia pomocne w odtwarzaniu właściwych kluczy, wreszcie na owe czasy, jeszcze preelektroniczne, cud precyzyjnej techniki, na razie, wobec braku innych pomysłów, nazywany „bombą kryptologiczną”. Cel praktycznego czytania tajemnic przeciwnika został osiągnięty.

Wszakże stanowiło to tajemnicę tak wielką, że nie mogło się wyrazić w żadnym raporcie, obojętnie pisemnym czy ustnym.

„Skarb, co jak w bajce, może się zamienić w zeszcłe liście, gdyby wieść o nim poszła między ludzi” - dumął z marsem na czole podpułkownik. Bo, rzecz jasna, Niemcy od razu zaniechaliby stosowania

swojej maszyny przy najmniejszym podejrzeniu, że jest odczytywana przez obcych. A tak - zawsze wiadomo było, co zamierzają, gdzie i czym zechcą uderzyć. Ich Enigma nie była już zagadką.

Kończąc toaletę, oficer już się uśmiechał, gdyż oto i on sam, jak ów skarb, już był otrzymał pseudonim. Stało się to za sprawą kapitana Gustawa Bertranda, szefa sekcji „Krypto” w „S.R.”, czyli francuskim odpowiedniku referatu „BS-4”. Dopuszczony podczas ostatniej wizyty do pewnych ustaleń, Bertrand zachwycił się Polakami. Powiedział wtedy: *Vraiment, vous Polonais, vous etes lucides*, czyli: „Naprawdę, wy, Polacy, widzicie rzecz jasno”. Stąd wynikł skrót; on sam, Langer, pozostał w pamięci Francuza jako Luc. Polska maszyna szyfrująca, którą też skonstruowano, otrzymała nazwę „Lacida”, od pierwszych sylab w nazwiskach: Langer, Ciężki i konstruktor Danilewicz. Przy okazji koleżeńskich spotkań ustalono także i dla Bertranda polski pseudonim: „Bolek”. Pewnie dlatego, że przy toastach Francuz zwykł był mawiać: *Je léve mon bol...*, czyli „Wznoszę moją czarę...”

Świetny z tego Bertranda kompan! Bystry, ruchliwy, budzący szacunek dla uporu, z jakim dąży do celu...

Problem: czy Polacy winni podzielić się zdobytymi sekretami Enigmy z tym właśnie francuskim Bolkiem (a w takim razie chyba też z jego przyjaciółmi nad Tamizą?), dręczył podpułkownika Langerę już od paru tygodni. Rozmyślał, wnioski ważył raz po raz, przymierzał do rzeczywistości. Instrukcjom, które był otrzymał, wciąż brakowało decyzji: „ujawnić”.

Sytuację ogólną znał, widział ją jasno, bez świadomych przeoczeń i dziecinnych upiększeń. Przecież Hitler jest konsekwentny, a niemiecki korpus oficerski - z ducha ten sam, co za cesarza Wilhelma II. Po zagarnięciu Austrii i Czechosłowacji musi przyjść kolej na Polskę, Niemcy są gotowi, o tym wiadomo. Jeszcze pod koniec roku 1936 mieli w armii czynnej 750 tysięcy ludzi pod bronią. Mogą to bez trudu podwoić. Powstawały nowe związki pancerne i zmotoryzowane. Już wtedy mieli blisko 3000 samolotów bojowych, nie licząc transportowych i szkolnych. Dziś mają więcej. A po co to wszystko - odpowiedź jest wyraźna w „Mein Kampf”... Jakże to lekceważyć? Dlaczego ci i owi z ministrów, generałów i pułkowników oceniają ją nadchodzące groźne meldunki jako panikarstwo?

Przed oczami podpułkownika przesunęły się zuchowate sylwetki oficerów młodszych i nacechowane pewnością siebie oblicza generałów. Ci pierwsi zapowiadają niemal marsz na Berlin, ci drudzy - nawet po doświadczeniach poligonu hiszpańskiego - jak dawniej wierzą w siłę ducha, która ma zwyciężyć nowoczesne bombowce i czołgi. - Austriackie gadanie - mruknął i machnął trzymanym w rękę ręcznikiem.

Sam pochodził z szeregów dawnej armii austro-węgierskiej, ale lubił na ten temat ironizować.

Raz jeszcze powrócił myślą do Bertranda. Francuzowi chodzi o to samo, co Polakom. Jakże powiedział? „Mamy niemal wszystko, co potrzebne do stawiania oporu boszom. Linię Maginota, czołgi, lotnictwo, no i przede wszystkim - pieniądze. Co można było uzyskać za pieniądze - kupiliśmy, przekazaliśmy. Ale teraz cała nadzieja w waszej pasji i docieklivości. Bo właśnie tego nam brak tak samo, jak wam jest brak pieniędzy. Chyba zbyt wiele naszej energii poświęcamy rozkoszom stołu i łoża. Zazdroszczę ci, Luc, twojej ekipy”.

A poza tym stary wróbel Bertrand ostrzegał: „Musimy pamiętać o tym, że każdy z naszych wielkich przywódców chce uchodzić za takiego, co wie wszystko; chciałby znać również źródło otrzymywanych informacji. Tymczasem wielki przywódca nie zdaje sobie zwykle sprawy z tego, że sam jest zanadto gadułą, niezdolnym do zachowania elementarnej dyskrecji, kiedy chodzi o źródło. Ale, na szczęście, ci wielcy przywódcy zazwyczaj mają podwładnych, którym można zaufać. Bo ktoś musi znać całą prawdę o naszej trudnej robocie, płomieniowi tej prawdy nie wolno zgasnąć, przecież w grze jest historia, mój drogi Luc”.

I raz jeszcze mocno i na cały głos wtedy wykrzyknął:

- L'Histoire.

- A więc maszerujemy w tę historię - skomenderował sobie samemu podpułkownik Langer.

Dzień zapowiadał się prawdziwie letni, pogodny i skwarny. Podpułkownik trzymał się chodników zacienionych, ale przecinając historyczny plac Saski musiał wyjść na słoneczny żar i od razu poczuł zmęczenie. W owej chwili pozazdrościł swoim podopiecznym, którzy pracują w zaciszu i chłodku betonowych, w lesie ukrytych pomieszczeń „BS-4”. Z ulgą wchodził pod arkady Saskiego Pałacu.

„Co też mi powie?” - zgadywał czekając w adiutanturze. Kolejny szef Oddziału II Sztabu Głównego, mianowany na to stanowisko w końcu roku 1938, był tu właściwie człowiekiem nowym i - jak to się mówi - nie czuł się w siodle. Wyłoniło go istne trzęsienie ziemi spowodowane w tym ważnym dla obrony instrumencie przez skandaliczne okoliczności „sprawy Sosnowskiego” i jej przebieg. Podpułkownik wiedział o majorze Sosnowskim niewiele, ale jedną rzecz zapamiętał: oto jeszcze kilka lat temu, na pierwsze żądanie, nadeszła z Niemiec drewniana paka zawierająca maszynę szyfrującą,

pierwszą, jaką w Polsce ujrano. Wprawdzie maszyna ta, jeszcze niezbyt wymyślna, służyła celom handlowym, ale w każdym razie stanowiła jakiś punkt zaczepienia, początek rozważań matematyków nad własnościami grup permutacji i tak dalej, na czym sam podpułkownik Langer początkowo nie umiał się wyznaczyć. A potem Sosnowskiego, bo to on pewnie tę maszynę przez podstawioną osobę wytrzasnął i przysłał, skazano aż dwukrotnie - raz w Berlinie, potem w Warszawie...

„Sprawa ciemna” - zdążył pomyśleć akurat w chwili, kiedy został wezwany.

Nowy szef Oddziału II, pułkownik kawalerii, był niewysoki i muskularny, a jego okrągła twarz mogłaby wyrażać dobroć i prostotę, gdyby tych przyjemnych cech nie pokrywała sztuczna marsowość. Zachował ją nie tylko podczas służbowego meldunku, ale i później, niemal przez cały czas raportu.

- Meldujcie o aktualnym stanie waszych prac, pułkowniku! - rozkazał.

Podpułkownik Langer wyjaśnił, że Biuro Szyfrów Oddziału II nadal prowadzi radiowywiad, studia nad rozwiązywaniem obcych szyfrów, prace nad własnymi szyframi, szkolenie personelu i organizację sprawnej łączności radiowej Oddziału II Sztabu Głównego. Na podsłuchu obcych stacji pracowało dotychczas siedem radiostacji własnych, z tego trzy na kierunku niemieckim: w Krzesławicach pod Krakowem, w Poznaniu i w Starogardzie. Dopiero ostatnio - meldował dalej - cztery inne stacje nadawczo-odbiorcze, zaopatrzone w ruchome urządzenia do namiarów „gonio”, zostały przeniesione ze wschodu na Pomorze i na Śląsk Cieszyński.

- Na czyj rozkaz? - padło pytanie.

Podpułkownik Langer wyjął z kieszeni notatnik, podał numer, datę oraz nazwisko i stopień rozkazodawcy.

Szef Oddziału II wydał się udobruchany, ale zaglądając do teczek z dokumentami indagował dalej:

- Więc w tych siedmiu radiostacjach ludzie pracują, rozumiem. Ale co robisz ci, w tym waszym ośrodku w Pyrach? Aż tylu?

- Melduję, że personel ośrodka badawczego i technicznego ma pełne ręce roboty, panie pułkowniku.

- A po co wam cywile? Co robisz ci trzej, bo widzę, jakiś Rejewski, Różycki, Zygański? Sprawdzeni?

- Matematycy, panie pułkowniku. Wybrano ich w Poznaniu, kiedy byli jeszcze studentami, tuż przed uzyskaniem stopni magistrów. Przez kilka lat pracowali tutaj, a po przebudowie przeniesiono nas do Pyr. Są niezawodni, zazdrości nam ich nawet francuski Service de Renseignement...

- No, właśnie. Jeździliście do Francuzów, zapraszacie ich do nas, słyszę o kosztownych przyjęciach. Chcę wierzyć, że to jest potrzebne.

- Posłusznie melduję, że to jest potrzebne, panie pułkowniku. W dniach 9 i 10 stycznia tego roku zebrani w Paryżu eksperci polscy, angielscy i francuscy wspólnie omówili rezultaty osiągnięte do dnia 15 września 1938 roku oraz zapowiedzieli dalszą wymianę informacji w miarę ich osiągania. Zachowałem się stosownie do instrukcji.

- Na czym ta wymiana polegała i polega? - z niejakim ożywieniem spytał szef Oddziału II. Oczy jego wyrażały jednak obojętność; prawdopodobnie ciągnęło go z powrotem do służby liniowej, którą znał „do spodu”.

- Umówiliśmy się, panie pułkowniku, tak: oni penetrują teren, odpłacają ludzi, którzy dla nas pracują. Niekiedy udaje się im nawet otrzymywać instrukcje niemieckich biur szyfrowych. Ale przede wszystkim dostarczają nam swoje materiały z nasłuchu...

- Po co? Przecież mamy własny nasłuch - zdziwił się szef.

- Panie pułkowniku, już meldowałem, że do rozwiązywania szyfrów musimy mieć wiele materiału, i to z tego samego dnia. Własne materiały nie są wystarczające. A poza tym nasze urządzenia nie sięgają zbrojowni niemieckich w Ruhrze i Nadrenii.

I dalej wyjaśniał:

- My zaś, panie pułkowniku, jako nasz wkład, prowadzimy badania w zakresie kryptologii - wymaga to użycia rachunku prawdopodobieństwa, permutacji, krótko mówiąc - matematyki wyższej. Ważne są rezultaty tych badań... Wyniki realne... Na wypadek wojny...

„Powiedzieć, co myślę, czy nie powiedzieć?” - zastanawiał się w duchu, ale tymczasem szef Oddziału II uczynił ręką gest stanowczy.

- Wojny nie będzie, tak mnie zapewniają - rzekł sucho a dobitnie. - Musimy to przyjąć do wiadomości - dodał.

Langer wstrzymał oddech, potem kaszlnął, wreszcie cichym głosem wykrztusił:

- Rozkaz, panie pułkowniku!

W chwili milczenia, które nagle zapanowało, podpułkownikowi Langerowi przemknęły gdzieś w głowie dwie całkiem ze sobą nie związane myśli. Pierwsza - niby błysk wystrzału: „On się zna przede wszystkim na koniach”. Druga myśl, zatroskana, pomknęła niby pocisk w stronę Kabackich Lasów: „Co tam u nich? Co tej nocy odebrali dyżurni?...”

Szef Oddziału II wstał, raz jeszcze potwierdził, że zdaniem „góry” - wojny nie będzie i ostrzegł przed uleganiem... szkodliwemu panikarstwu. Wreszcie oświadczył:

- A co do szyfrów i ich odczytywania - pan się zna na tym lepiej. Ufam, że te wasze spotkania i te wszystkie wydatki nie są zupełnie zbędne. Odpowiada pan za nie osobiście.

Podpułkownik Langer opuszczał gabinet szefa nieco zbity z tropu, z uczuciem duszności. W przelocie powiedziano mu, że telefonował major Ciężki, jest w drodze, prosi o zaczekanie, sprawa pilna... „Cóż tam takiego?” - pomyślał Langer, ale .czym prędzej śpiesząc na powietrze, stanął dopiero przy wyjściu z gmachu. Odetchnął pełną piersią. Wabiła go zacieniona ławka w Saskim Ogrodzie.

- Przyjedzie tu major Ciężki z łączności. Skierujcie go do mnie. Będę tam... - wskazał dyżurnemu żandarmowi kierunek.

Zaledwie minął Grób Nieznanego Żołnierza i zdążył położyć na ławce obok siebie czapkę oraz osuszyć spoconą twarz, kiedy spostrzegł dwu mężczyzn śpiesznie idących ku niemu od strony kolumnady. Już z daleka rozpoznał w nich swoich bliskich współpracowników: majora Maksymiliana Ciężkiego i inżyniera Antoniego Pallutha, jednego z kierowników wytwórni AVA, wyłącznego dostawcy tajnych urządzeń elektrycznych dla potrzeb Biura Szyfrów „BS-4”.

Zdziwił się, czemu opuścili miejsce pracy i tak nagle przywędrowali z okolic Pyr do Warszawy. Skinął im głową, kiedy się zameldowali, wskazał ławkę, ale inżynier Palluth dyskretnie odszedł i zaczął przechadzać się w pobliżu.

- Siadaj - powiedział Langer do majora.

- Telefonowałem, odpowiedzieli mi, że jesteś na konferencji - rzekł major. - No, zdążyliśmy. Motocyklem. Żandarm objaśnił nas, że skierowałeś się do ogrodu. Więc jesteśmy...

- Znowu pożar lasu? - sapnął Langer.

- Nie, tym razem nie pożar - odrzekł Ciężki.

- Mówże. Coś wyleciało w powietrze? Czy ktoś z naszych zachorował?

Opanowany jak zwykle major Ciężki, ścisząc głos, powoli mówił:

- Panie pułkowniku, dzisiaj od godziny 00.01 wszystkie niemieckie Enigmy znów stały się dla nas zagadką. Zmienili walce. Z niemiecką dokładnością, na każdej z kilku tysięcy swoich maszyn. I punktualnie, w minutę po północy. Odbieramy, ale już nic nie rozumiemy. Tak już było...

- Jak przed Anshlussem, czyli marszem na Wiedeń, i przed Monachium? Ciągłe to samo? - zapytał podpułkownik.

- I na krótko przed najazdem na Czechosłowację - ciągnął major. - Rejewski i Różycki twierdzą, że tak samo jak wtedy dadzą sobie radę, nawet są tego pewni. Absolutnie! Jakiś czas posiedzą nad swoimi permutacjami i cyklami, ale wreszcie dojdą... A Zygałski liczy na swoje „płachty”, więc może robotą pójdzie szybciej niż poprzednio... Przydałoby się jednak dać im więcej „płacht”, aby mogli zrobić to jak najrychlej.

„Chryste! - pomyślał Langer - to tak, jak szukać czarnego kota po ciemku. Jak oni to robią?” Przypomniawszy sobie teraz treść meldunku z ekspozytury nr 3 w Bydgoszczy. Według pewnego Niemca, zwerbowanego przez ekspozyturę, nowe nastawienia maszyn szyfrowych będą zastosowane w razie przygotowań do ataku na Polskę.

Opodał bawiły się dzieci, plotkowały młode matki i stare piastunki, przechodzili ludzie, wysoko w górze zaterkotał sportowy samolot, a przed Grobem Nieznanego Żołnierza rozpoczęto ceremonialną zmianę warty. Zabrzmiiała komenda, dochodził zgodny krok żołnierzy. Wszystko to było swojskie i pogodne, ale wtem zaczęła je przesłaniać wizja spadających bomb, bitewnego zamętu, pożarów, zgłiszcz...

„Nie wiedzą, że siedzimy wszyscy na huczącym wulkanie. Wszyscy i wszystko. Dzieciaki, żołnierze, tamten samolot, ten pałac i ten Grób...” - niby kamienie toczyły się i obciążały serce niedobre przecucia podpułkownika.

Spojrzał teraz na grupę umundurowanej młodzieży zbliżającej się do kolumnady Grobu Nieznanego Żołnierza. „Tacy nie zawiodą, do historii wejdzie nowe pokolenie, a my co? Wszystko zmarnować? Wysadzić w powietrze?” - medytował.

I tak, jak bywało z nim zawsze, uporał się ze zwątpieniem, przeżuł je w sobie. Wszystko jasne: Bertrand pomógł, trzeba teraz pomóc jemu. Sprawa jest wspólna. Z blaskiem w szarych oczach powiedział:

- Piórko, wyjmuj swój blok. Może już na pojutrze trzeba wszystko przygotować. Chyba będziemy mieli gości. Tak, jak mówiliśmy. Chwila nadeszła. Majorze Ciężki - przeszedł na służbowy ton - proszę notować. Depesza do Bolka. Paryż. Adres znasz. Tekst: „Są nowiny”, to po francusku będzie Ily a du nouveau. Tak było umówione. Dobrze. Podpisz „Luc”. Telegram pilny.

Zmęczonym głosem powoli mówił:

- Zapewniam nas, że wojny nie będzie. Oficjalnie. No cóż, my wiemy swoje, prawda? Niechże z naszej pracy wyniknie korzyść. Aby tylko trafiła, gdzie należy... w dobre ręce. Wracam do szefa, może coś nareszcie postanowią...

Ze smutnym uśmiechem zakończył:

- Zaczynamy marsz, moi kochani. W historię!

Zaproszenie do Warszawy.

Gustave Bertrand, szef sekcji „Krypto” w Bureau de Renseignement, nie zmarnował ani chwili. Otrzymany z Warszawy niewinnie brzmiący sygnał: Il y a du nouveau nie mógł oznaczać nic innego jak to, co było z podpułkownikiem Langerem umówione. Trudne do uwierzenia, a jednak stało się: najwidoczniej Polacy osiągnęli cel.

„Luc jest człowiekiem odpowiedzialnym, nie mogę mu nie ufać” - myślał już w drodze do Londynu. „Jednakże na czym ich osiągnięcie polega?”

Ze swoim angielskim odpowiednikiem, którym był znakomity kryptolog, komandor Alaister Denniston, spotkali się na spacerze w Hyde Parku. Można było posądzić tych dwu przysadzistych, po cywilnemu ubranych starszych panów o wszystko, ale nie o to, że z ich spokojnej rozmowy wyniknąć mogą skutki tak poważne dla przebiegu wiszącej już nad Europą i światem wojny narodów.

Denniston, poznawszy treść depeszy, snuł na głos rozważania własne:

- Ogólnie biorąc, Polaków charakteryzują, oprócz ich życiowej energii oraz niewątpliwej odwagi, skłonności romantyczne i brak realizmu. Kierują się emocjami, nie rozsądkiem. Imają się też sposobów dość naiwnych. Ostatnio mieliśmy tego dowody. Zakomunikowali nam zawyżone a niezgodne z rzeczywistością stany ich lotnictwa. Mówił mi o tym pułkownik Menzies.

Bertrand zaprotestował:

- Ale nie może to obciążać Luca, którego przecież znamy jako człowieka bardzo solidnego i realistę. Ponadto miałem okazję zapoznania się z pracą jego kryptologów. Stanowią oni ekipę rzeczywiście wspaniałą. Trudno o lepszy przykład napiętej od lat czujności, pracowitości i zapału.

Rozmowa zesłała na osobę największego spośród kryptologów brytyjskich, matematyka Knoxa, potocznie zwanego „Dillym”.

Komandor mówił:

- Dilly z miejsca odrzucił nawet samą myśl o wyjeździe do Warszawy. „Próżne marnowanie czasu” - tak tę ideę określił. Jest on pewny, że to, co o niemieckiej maszynie wiemy wszyscy, nie daje żadnych szans rozwiązania problemu. Powiedział, że Polacy albo bluffują, lub też sami się łudzą. Więc nie pojedzie, a pułkownik Menzies i admirał Sinclair polegają na jego opiniach.

- Denniston, pan mnie zna - odrzekł Bertrand. - Od dziesięciu lat uganiam się jak pies gończy po różnych krajach Europy, tropię sygnały tej maszyny, kupuję od szpiegów materiały i szukam, wciąż uparcie szukam sojuszników, gdzie się tylko da. Może to jest utopia, ale problem Enigmy trzeba rozwiązać za wszelką cenę... Może od tego zależy nasz los - zakończył ponuro.

Tak rozmawiając doszli do narożnika parku przy Oxford Street i znaleźli się niedaleko zakątka, gdzie wciąż nowi oratorzy wygłaszali z małej trybunki coraz to Inne polityczne credo. Przystając tutaj publiczność mogła właśnie teraz usłyszeć namiętną apologię przywódcy faszystów, Hitlera, i ujrzeć małą flagę ze swastyką.

- Widzę, że British Union of Fascists działa - zauważył kwaśna Bertrand.

Kiedy się nieco oddalili, Denniston rzekł:

- Działają i wasi. Wracając do naszego tematu, chciałbym Polakom uwierzyć, ale nie mogę. Przecież znamy wszyscy treść dokumentu nr 138. Pan sam go nam dostarczył, prawda?

Bertrand wiedział, że Anglik miał na myśli niemiecką analizę Enigmy, jako obiektu zainteresowań wywiadów obcych. Oddając tę maszynę do użytku, niemieccy eksperci orzekli co następuje:

„...powstaje do rozstrzygnięcia kwestia, czy zaszyfrowane przez to urządzenie teksty mogą ulec rozszyfrowaniu - przez wroga, który dysponuje tylko tekstami szyfrowanymi, nie mając żadnych danych o działaniu maszyny, przez wroga, który dysponuje materiałem otrzymywanym przez użytkownika (wskazania techniczne, instrukcja dla szyfranta, elementy przemienne, ale oczywiście bez posiadania samej maszyny)\".

I dalej:

„W pierwszym wypadku wyraża się pewność, że jest to absolutnie niemożliwe\".

„W drugim wypadku trzeba wyjaśnić, że za pomocą dużej liczby tekstów nadanych tego samego dnia i w miarę możliwości tej samej długości, naukowo dopuszcza się, że za cenę wysiłków długich, trudnych i przy bliskiej współpracy wielu kryptologów, rezultaty mogłyby zostać osiągnięte. Jednakże zastosowano wszelkie środki po temu, aby ilość elementów periodycznych oraz długość telegramów ulegały stałym przemianom\".

- Krótko mówiąc - ciągnął Denniston - sami Niemcy wykluczają możliwość rozszyfrowania maszyny przez obcych.

- Tak jest - zgodził się Bertrand - ale tę opinię niemieckich specjalistów od dawna znają także i Polacy. A teraz zapraszają nas do siebie. Przecież pan pamięta, Denniston, o drugim z kolei dokumencie, mianowicie o zdobytej przeze mnie niemieckiej instrukcji dla szyfrantów Enigmy. Mamy tam „Gebrauchsanweisung\" i „Schlüsselanleitung\"... co za cholernie długie słowa... czyli pouczenie, jak należy maszyny używać oraz wskazówkę o zmianach klucza. Niemieccy eksperci wyraźnie dopuszczają możliwość sukcesu w razie uzyskania przez obcych tej właśnie instrukcji. Czyż nie tak?

Komandor miał zastrzeżenia. Powiedział:

- Nasz Dilly Knox męczył się nad tym parę lat. Bez rezultatu. Cóż z tego, że z kilku zdań instrukcji dowiadujemy się o ruchomych walcach szyfrujących., jakichś pierścieniach i wtyczkach o dwóch końcówkach, wreszcie o trzech okienkach nad klawiaturą...

- Polacy dostali również tablice miesięczne kluczy na pewien okres, a także ten sam kawałek tekstu claiрем i szyfrem - zauważył Francuz.

- Nic więcej? - wzruszył ramionami Anglik. - Niech pan sobie wyobrazi, drogi Bertrand, astronomiczną ilość kombinacji szyfrowych, wyrażoną w liczbie składającej się z siedemdziesięciu cyfr i na tej podstawie poszukiwanie rozwiązań zagadki, która przez najwyższej klasy niemieckich specjalistów została opracowana celowo, a więc tak, aby rozwiązanie stało się niemożliwe. To jest opinia Knoxa. Powiedział mi jeszcze, że cudów nie ma. I wie pan, co myślę?

- Słucham pana, Denniston.

- Nadejście pilnej warszawskiej depeszy świadczyłoby o tym, że polski podpułkownik nadał ją w najwyższym niepokoju, zresztą całkiem usprawiedliwionym. Stąd próba bardziej ścisłego powiązania swoich losów z naszymi. Nie wątpię o tym, że mogą nam coś interesującego pokazać, ale przecież nie jakąś rewelację...

Mówiłby dalej, ale Bertrand nagle przystanął. Sięgnął do pugilaesu po warszawską depeszę, raz jeszcze uważnie ją odczytał i z rozjaśnioną twarzą powiedział:

- Denniston, ma pan rację. Luc wysłał zaproszenie po stwierdzeniu, że grozi wojna. Wobec tego Polacy postanowili podzielić się z nami wszystkim, co tam uzyskano - natychmiast. Sprawa jasna. Dotychczas milczeli, teraz chcą mówić. Według mojego z nim porozumienia, zdanie II y a du nouveau, oznacza sukces o wielkim znaczeniu.

Anglik milczał.

- Denniston - zawołał Bertrand - musicie to zaproszenie przyjąć. Zróbcie to. Jeśli nie dla was samych, to cho'cby dla mnie. Czyż nie zasłużyłem na taki drobny, jak krótki wypad na wschód? Po tylu moich zabiegach i dowodach mojej o was troski?

- Knox! - odrzekł zwięźle Denniston. - Pojechałbym, ale bez niego wyjazd niemożliwy.

- Co trzeba zrobić, żeby z panem pojechał?

- Musiałby dostać rozkaz.

- Czyj? - nalegał Bertrand.

- To jasne. Admirala Sinclaira i pułkownika Menziesa, naszych szefów.

- Co zrobić, żeby Knox taki rozkaz otrzymał? - Bertrand zaczął się gorączkować.

Denniston roześmiał się i zaczął przekornie wyliczać:

- Naszego szefa musiałby poprosić ktoś bardzo wielki. Najlepiej - królowa Wiktorja albo Nelson, ale oboje, niestety, nie żyją. Admirał jest trudny. Być może, któraś z jego sekretarek, ale nie wiem która.

- A generał Gamelin - wystarczy? - zapytał Bertrand.

- Chyba tak. O yes, musiałoby to wystarczyć - przyznał Anglik.

- W takim razie pan natychmiast powiadomi kogo należy, że to jest prośba generała Gamelin. Denniston, teraz nie czas na żarty, proszę traktować sprawę serio. Niech pan, zgodnie z prawdą, zamelduje szefom, że z tą prośbą przyleciał do Londynu specjalny wysłannik francuskiego naczelnego wodza, który ocenia rzecz jako pilną.

- Bertrand, Bertrand. A co będzie, jeśli każą to sprawdzić?

- Niech sprawdzają. Podczas tamtej wojny ryzykowaliśmy więcej, pan i ja. Generał Gamelin przebywa na wsi i nie jest uchwytany, ale już jutro o 10.00 potwierdzi moje słowa pułkownik Rivet, mój szef. Jednak nie sądzę, aby sprawdzano to, co pochodzi od nas, Denniston, od pana i ode mnie. Knox musi otrzymać ten rozkaz. Więc do zobaczenia. W Warszawie, my dear, w Warszawie... It's a long way to Tipperary - zanucił żartobliwie przy pożegnaniu.

I znów był letni, tym razem gasnący dzień warszawski 24 lipca 1939 roku. Gustave Bertrand i towarzyszący mu kapitan Braquenié wysiedli na dworcu warszawskim z Nord-Expressu, zaś dwaj Anglicy, komandorzy Alaister Denniston oraz kryptolog i matematyk Dillwyn Knox, przybyli samolotem i od razu udali się do swojej ambasady. A wieczorem, w oczekiwaniu na wydarzenia dni następnych, dwaj ubrani po cywilnemu oficerowie, polski i francuski, z wyglądu podobni raczej do dwóch dobroduszných wujciów, zasiedli do narady w mieszkaniu Langer. Celebrowali to spotkanie, jak wypadalo, według przyjętej reguły stopniowo i niby przypadkiem zmierzając ku tematowi głównemu. Najpierw Langer życzył Bertrandowi awansu, potem Francuz zatroszczył się o nadwątlone zdrowie przyjaciela. Z kolei mówili o trudach podróży i o upalnej pogodzie.

W pewnej chwili Bertrand dał do zrozumienia, że już mu wiadomo o pewnych zmianach na froncie zmagani szyfrowych. Langer odpowiedział wiele mówiącą aluzją, że nie ma życia bez permutacji. Zmieniając temat Francuz informował:

- Intelligence Service drzemała i ocknęła się dopiero po Anschlussie. Ale Brytyjczycy chcieliby rządzić, współpracy nie lubią. Żeby zorganizować naszą tegoroczną styczniową konferencję w Paryżu, musiałem dotrzeć aż do ich szefa. Ale nawet teraz, po pańskim telegramie, trzeba było tych dwóch Anglików formalnie ciągnąć za uszy. Wreszcie dostali rozkaz, więc przyjechać musieli... Jakże smakowity jest ten likier.

- Nalewka na czarnej porzeczce, nazywacie to cassis. Pozostałość zapasów małej firmy, która zbankrutowała i już nie istnieje - wyjaśnił podpułkownik.

Zastanowiwszy się, Bertrand rozważał:

- Tak bywa. Niejedna firma przegrywa, ale przecież coś po niej zostaje. I niekiedy to „coś” staje się prawdziwą rewelacją. Jak ten trunek, mój drogi Luc.

Dotknął wargami brzegów kieliszka, długo smakował zawartość, wreszcie wyznał:

- Nie ma pan pojęcia, jak silnie wstrząsnęła mną pańska depesza. Kiedy poleciałem do Londynu i pokazałem ją Dennistonowi, widziałem, że zrobiło to na nim wrażenie. Ale Knox nie uwierzył, po prostu nie chciał uwierzyć, odmówił rozmowy ze mną.

- Dlaczegoż to? - zapytał Langer.

- Po pierwsze - jest to matematyk zapatrzony w swoje abstrakcyjne wizje. Sam zmagal się z olbrzymimi trudnościami, które nastrocza sprawa Enigmy. Po drugie - jest Anglikiem, więc choćby z tego tytułu wierzy niezachwianie w ich angielską wyższość nad Francuzem czy Polakiem. Poza tym przy życiu trzyma go jakiś cud. Nieuleczalna choroba płuc, pan rozumie? Jeszcze z tamtej wojny. Stąd drażliwość, zamknięcie w sobie, pogarda wszelkiej małości. Przyjechał jak z łaski. „Szkoda czasu” - tak powiedział. Co pan na to?

Podpułkownik Langer czekał na takie właśnie pytania. Napelniając kieliszek, swobodnie mówił:

- Nie wiem, jak oni to zrobili, ci moi kryptolodzy, ale to fakt, że tajemnica Enigmy nie jest już dla nas tajemnicą. Powtarzam - nie jest.

Pułkownik Bertrand, który już brał kieliszek do ręki, odstawił go.

- Tego się po was spodziewałem - powiedział wzruszonym szeptem.

- Poza tym - ciągnął Langer - nasi mechanicy i elektrycy zbudowali polską replikę Enigmy. W tym wypadku wiem, jak ją zrobiono. Możemy dzięki niej odszyfrować wszystko, co Niemcy nadają przez swoje Enigmy. W dodatku posiadamy urządzenie służące do szybkiego wykrywania zamienianych coraz częściej nastaw i kluczy, w ogóle zmian w mechanizmie Enigmy.

Jakby się zmówili, obaj wstali. Nie mogąc się opanować, Bertrand rozpoczął marsz dokoła stołu.

- Luc! Czy ty mnie rozumiesz? - zawołał, bezwiednie przechodząc na „ty”.

Zniżając głos i gestykulując wywodził:

- Luc, zrozum, co to oznacza dla mnie. Od roku 1926, kiedy Kriegsmarine zaczęła stosować szyfrowanie mechaniczne, opanowała mnie pasja rozgryzienia tego problemu. Szukałem pomocy wszędzie: u ciebie, u kapitana Raula w Pradze, w Rydze i w Tallinie, wreszcie u tych w Londynie. Ale tamci albo nie liczyli się jako partnerzy, albo też - jak Anglicy - wcale partnerstwa nie chcieli. Dlatego pielęgnowałem nasze stosunki już od roku 1931. Pamiętasz materiał Asche?

- Ile to was kosztowało? - zapytał Langer.

Bertrand machnął ręką lekceważąco:

- Gdzieś to mam obliczone. Wyjazdów na sekretne spotkania z tym Niemcem po całej Europie było prawie dwadzieścia. Za trzysta dostarczonych dokumentów dostał chyba milion. Poza tym muszę ci powiedzieć...

Z uśmiechem ciągnął:

- Ostatnio zgłosił się jeden taki, co zażądał wielu tysięcy franków za to, że cały problem Enigmy poda nam na talerzu...

- Naturalnie, przyobiecaliście mu tę sumę? - szybko zagadnął Langer.

- Oczywiście. Zaraz po otrzymaniu twojego telegramu załatwiłem sprawę. Onegdaj, po długich targach z moimi bogami. Niemcy będą mieli dowód, że wciąż jesteśmy w lesie.

Odetchnął, usiadł, rozmarzył się.

- Tysiące trudności, setki przeszkód, bezsenne noce pełne zwątpień - to wszystko już poza mną. Moja utopia zrealizowała się. Nieprawdopodobne, ale tak jest. Czy wiesz, miałem momenty wahania, czy nie przerwać całej gry i nie ujawnić Niemcom jakichś sztucznych dowodów, że ich czytamy. Ale to właśnie ty mnie odwróciłeś od tego zamiaru. Wtedy zrozumiałem, że jesteście na tropie, choć jeszcze nic nie mówiłeś. Zresztą już twój list z kwietnia zeszłego roku dał mi wiele do myślenia. Zapamiętałem jego tak cenne dla mnie zakończenie. Pisałeś mi: „Test pan wielkim w swojej robocie i dla ludzi pańskiego gatunku życie nie jest za łatwe - spożywa się swój chleb w pocie czoła, rozczarowania są częste - ale koniec wieńczy dzieło”. Luc, ten list postawił mnie znów na nogi, No i rzeczywiście: koniec wieńczy dzieło.

Zastanowiwszy się, zapytał:

- Mam nadzieję, że otrzymamy całą dokumentację waszej Enigmy?

- Nie, kochany Gustawie. Dostaniesz dwie, jak ty je nazywasz, maszyny. Są to wierne, nawet może nieco ulepszone Enigmy. Jedną z nich, dla Anglików, zawieziesz sam. Ça va?

Mocno wzięli się w ramiona.

- A więc - do jutra! - powiedział Francuz.

Polska Enigma.

Ranek 25 lipca 1939 roku okazał się w pewnym sensie historyczny. Co prawda przebieg wydarzeń tego dnia nie odmienił losów Warszawy i Paryża, ale mocno, być może nawet decydująco, zaważył na dramatycznych wypadkach, które rozegrały się już w niecały rok później i są powszechnie znane jako „bitwa o Anglię”. Wówczas jednak jadąc do ośrodka badawczo-technicznego w Lasach Kabackich pod Pyrami żaden z uczestników tej wyprawy nie mógł przewidywać takiego obrotu ewentualnej wojny.

Ze względów sobie wiadomych podpułkownik Langer wioził gości nie wytwornymi limuzynami, lecz tym samym granatowym autobusikiem, z którym ludność tej podwarszawskiej trasy była oswojona i

który już nie mógł budzić sensacji. Jak zazwyczaj, autobusik przyjął pasażerów na placu Teatralnym i najpierw przez Aleje Ujazdowskie, a później ulicą Puławską zmierzał do celu.

W ożywionej rozmowie jadących nie uczestniczył tylko Knox, wysoki, chuderlawy dziwak o szpakowatej czuprynie. Z widocznym na twarzy obrzydzeniem wsiadał do skromnego pojazdu, przelotnie przez okulary obejrzał pałacyki w Alejach Ujazdowskich i rudery ulicy Puławskiej, po czym obojętny wzrok zatrzymał gdzieś w przestrzeni, ponad otwierającym się krajobrazem. Może celowo lub też bez umyślnego zamierzenia podkreślał, że właściwie nic go nie obchodzi. „Trochę z pogrążonego w matematycznej filozofii geniusza, a reszta z kapryśnego, starego dziecka” - pomyślał o nim Langer. Cóż robić - taki już był ów nietypowy Anglik.

Wóz skręcił w lewo i zalesioną drogą podążył w stronę wartowni, za którą pośród drzew widniały mury piętrowego budynku. Na skinienie podpułkownika brama została otwarta i goście znaleźli się na miejscu.

- Najbardziej dyskretny i najczujniej w Polsce chroniony zakątek - powiedział Bertrand, ale Knox zdobył się tylko na krótkie: oh, indeed?, czemu towarzyszył lekceważący ruch dłoni.

Załoga ośrodka obserwowała gości dyskretnie, ale z wielkim zainteresowaniem. Od swoich pulpitów, warsztatów i maszyn odeszli na chwilę kryptolodzy, mechanicy i elektrycy, wreszcie - operatorzy radiowi.

Na uprzednio przeprowadzonej odprawie dowiedzieli się oni z ust podpułkownika Langer o mającej się odbyć wizycie, ale tylko niektórym z nich zakomunikowano jej cel istotny.

Do wysiadających z autobusu żywo zbliżył się major Ciężki:

- Melduję, że wszystko gotowe. Stanisław Danilewicz i Fokczyński sprawdzili jedną, a Ludomir Danilewicz drugą.

Major Ciężki znał już Bertranda z wcześniejszych spotkań. Przywitali się więc jak dobrzy znajomi. Denniston powtarzał angielskie grzeczne how do you do, a Braquenié mu sekundował francuskim enchanté.

Wkrótce dołączył do nich magister Rejewski, czołowy kryptolog „BS-4”.

- Na pewno będzie pan musiał nam powiedzieć to i owo - uprzedził Rejewskiego Langer, biorąc go na stronę. - Szczególnie jemu... Gdzież on jest?

Tymczasem Knox nieco się odosobnił od reszty towarzystwa. Zapatrzone w czubki drzew, stał trochę dalej.

- Wyjaśnię mu, co trzeba - odrzekł Rejewski. A ścisząc głos, zagadnął:

- O „bombie” też? Zaaprobowano?

Podpułkownik potwierdził to skinieniem głowy. Denniston pociągnął za sobą towarzysza i tak weszli do pomieszczenia, w którym Bertrand od razu dostrzegł kilka czarnych pudeł, rozmiarami przypominających biurowe, mniejszego tylko formatu maszyny do pisania.

- Luc, tego tu dawniej nie było. Cóż to jest? Coś nowego? - zapytał udając zdziwionego, a jednocześnie podkreślając wobec Anglików, że czuje się tutaj prawie jak w domu.

Zajął miejsce przy stole ozdobionym trzema chorągiewkami: Francji, Polski i Wielkiej Brytanii, po czym podpułkownik Langer krótko naradę zagaił:

- Proszę panów, najpierw dziękuję wam za tak szybkie, prawdziwie przyjacielskie, przyjęcie naszego zaproszenia i poniesienie trudów długiej podróży...

Musiał przerwać, gdyż w tym czasie „cudowne stare dziecko”, zwane Dillym, najpierw rozparło się na krześle, następnie wyprostowało obie nogi, uniosło je do góry i wreszcie dość zręcznie ulokowało oba piękne angielskie buty na stole. Widać zapatrzył się ten Knox na charakteryzujący Anglika kolonialny wyraz savoir vivre'u, jednak zastosował go zbyt energicznie. Zanadto odchylając krzesło do tyłu, razem z nim runął nagle na ziemię. Na pomoc zerwał się Denniston, ale Knox wstał o własnych siłach, podniósł krzesło, usiadł na nim i ku wesołości zebranych powtórzył manewr nogi - stół, tym razem całkiem poprawnie i bez upadku.

Po krótkiej przerwie Langer ciągnął:

- ...dziękuję więc za poniesienie trudów tej długiej podróży do nas, gdzie, jak widzę, czujecie się zupełnie jak w domu...

Kiedy minęła wesołość, zmienił ton. Powoli i dobitnie stwierdził:

- Zaprosiłem tutaj panów w celu zademonstrowania im aparatury, którą widzicie przed sobą. Są to Enigmy, czyli maszyny, które nas w danej chwili najbardziej interesują. Maszyny te zostały wyprodukowane po wytrwałych dociekaniach polskich kryptologów i nie mniej wytrwałej pracy polskich

konstruktorów, mechaników i elektryków. Istnienie polskiej Enigmy znane jest tylko członkom naszego zespołu oraz nielicznym wyższym oficerom. Polski sztab uznał, że nadeszła chwila właściwa do zaznajomienia z tym faktem naszych kolegów z Francji i Wielkiej Brytanii.

Dilly Knox zdjął nogi ze stołu, wstał i zbliżył się do jednej z maszyn. Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, bezceremonialnie uchylił jej wieko i z niedowierzaniem zapytał:

- Panowie twierdzą, że to jest Enigma?

- Nie inaczej, mister Knox - pogodnie odrzekł Langer. - A teraz proszę panów magistrów Rejewskiego i Różyckiego, drugiego naszego kryptologa, aby w skrócie wyjaśnili, na czym funkcjonowanie tej maszyny polega. Pan Rejewski jest do dyspozycji naszych angielskich gości, a pan Różycki obsługuje...

Zwracając się do Bertranda, podkreślił swoją z nim zażyłość:

- Obsługuje ciebie, mon cher Bolek, oraz pana kapitana Braquenie.

- Słyszałem, że macie tu nie dwóch, lecz trzech wybitnych specjalistów od teorii szyfrów - nadmienił wciąż nieufny, a dociekliwy Denniston.

- Magister Zygalski jest obecnie zajęty w innym pomieszczeniu, które także odwiedzimy - objaśnił go Langer.

Dwaj młodzi matematycy przystąpili do objaśnień. Pierwszy mówił Rejewski:

- Polska Enigma stanowi wierną, choć, pod względem łatwości obsługi nieco ulepszoną replikę Enigmy niemieckiej. Oto jej najważniejsze podzespoły... Zbliżając się do maszyny ciągnął:

- Po podniesieniu wieka mamy przed sobą klawiaturę przytwierdzoną do przedniej ścianki. Klawiatura ma 26 liter, Tuż nad nią widzimy świetne okienka, na których ukazują się litery, przetworzone przez wewnętrzny mechanizm... A tu - wskazywał - pod specjalną pokrywą w górnej części maszyny jest centralka, przez Niemców zwaną „Steckerverbindungen”; głównie tym różni się ta Enigma od znanych nam doskonale maszyn handlowych. Podnosi ona liczbę możliwych kombinacji szyfrowych do wielokrotnej potęgi, wyrażającej się wzorem...

Magister Rejewski wyjął z kieszeni kartkę zapisaną matematycznymi symbolami i wręczył ją Knoxowi. - Sądzę, że się zrozumiemy - powiedział.

W ciszy, jaka zapadła, Langer rozejrział się po obecnych. Bertrand miał twarz prawie natchnioną, Braquenie i Denniston pilnie wpartywali się w maszynę, a geniusz Knox odchylił głowę w bok, jakby chciał lepiej słyszeć, a jednocześnie badał wręczony mu zapis. Zrozumiały dla matematyka, wyglądał on tak:

Liczba kombinacji zachodzących wewnątrz maszyny biorąc pod uwagę 26 liter oraz połączenie walców wyraża się wzorem:

$$26! = 4.10^{26} \text{ a po przeliczeniu } \approx 5.10^{92}$$

Natomiast liczba kombinacji wynikających z zastosowań centralki wyraża się wzorem:

$$6.23^3 \approx 10^5 \text{ a po przeliczeniu } \approx 10^{16}$$

Nadal trwało objaśnienie Rejewskiego:

- Gniazdka wtyczkowe są oznaczone literami i cyframi. W ogóle ustawienie maszyny na odpowiedni klucz składa się z kilku elementów zmieniających się w różnych odstępach czasu. Sam proces szyfrowania jest wykonywany przez trzy bębny, czyli walce z pierścieniami, które są ruchome i mają na swych obwodach cyfry albo litery. Dodajmy, że kolejność bębnek może być zmieniana, a te pierścienie z cyframi lub literami służą do nastawiania na każdym bębnie.

Patrzyli teraz na polską Enigmę już uruchomianą przez Rejewskiego.

- Proszę zwrócić uwagę - informował. - Uderzam w literę „a” - w okienku pokazuje się litera „t”, uderzam w „a” znowu, a w okienku pokazuje się teraz „s”. Spróbujmy jednak nadać krótką depeszę. Oto w okienkach będą się ukazywały kolejne litery jej szyfru. Zapisujemy go. Następnie wystukujemy litery szyfru - i otrzymujemy znów naszą depeszę ciałem, naturalnie pod warunkiem, że zaczniemy deszyfrowanie z tego samego miejsca...

Podając Bertrandowi parę kartek informował:

- Proszę, oto tekst ciałem i ten sam tekst zaszyfrowany. Ale - ciągnął dalej Rejewski - gdyby teraz znowu wystukać tekst otwarty, to wskutek niezliczonych kombinacji we wnętrzu maszyny i w centralce jego zaszyfrowany wyraz będzie całkiem inny...

Z kolei zabrał głos Różycki:

- W momencie uderzenia w klawisz ten prawy bębenek obraca się o jedną dwudziestą szóstą część swojego obrotu, jako że liter jest dwadzieścia sześć. Jednocześnie zapala się ta żarówka, podświetlająca... W zasadzie jest tak, że kiedy prawy bębenek wykona już cały obrót, to z kolei sąsiedni bębenek obróci się o swoją dwudziestą szóstą część obrotu... Ale jest tu wiele innych pomysłowych detali, więc niemiecki wynalazek był dla nas twardym do zgryzienia orzechem.

- Więc w taki sposób odbywa się deszyfracja? - zapytał Denniston.

- Tak jest, panie komandorze. Wystarczy otrzymaną szyfropeszę wygrać na tych klawiszach, aby w rezultacie ujawnił się tekst otwarty, czyli clair. Oczywiście, jeśli mechanizm wewnętrzny jest nastawiony właściwie i znany jest klucz, jakim się właśnie w danym dniu posługują operatorzy niemieccy.

Odezwał się Knox:

- Chciałbym wiedzieć, czy na przykład w tej chwili możliwy jest odbiór i odczytanie depesz szyfrowych, nadawanych gdzieś na terenie Niemiec?

- Pod koniec 1938 roku Niemcy wprowadzili dwa dodatkowe bębny, co do tego stopnia utrudniło nam otrzymywanie kluczy, że z początku tylko w rzadkich wypadkach udawało się szyfr odczytać. Zamiast masy materiału - sztab miał od nas niewiele. A i ostatnio, kiedy już pojęliśmy naturę tamtych trudności, mamy do czynienia z czymś nowym. Jest to walka ciągła i wymagająca olbrzymiego napięcia...

- A więc, w takim przypadku, wasza Enigma już nie może odegrać swojej roli - oświadczył Knox. Zaprzeczył mu Rejewski:

- Przeciwnie, panie Knox, przecież podobne kłopoty już mieliśmy, na przykład po 15 września 1938 roku, ale po jakimś czasie rozwiązaliśmy stopniowo i tę zagadkę. Po prostu nasze maszyny też otrzymywały inne walce, właściwe. Zaprzęgliśmy do tej pracy „plachty” oraz inne specjalne urządzenie, co znacznie przyspiesza rezultaty - dodał cedząc z wolna słowa. Pytając spojrzał na podpułkownika Langerę.

Denniston i Knox też spojrzeli po sobie. Wymienili kilka zdań, po czym Knox oświadczył:

- Musielibyśmy to wszystko sprawdzić. Sprowadzimy tu samolotem naszych specjalistów, głównie elektryków. Mam nadzieję, że w ciągu paru tygodni zdołają te maszyny poznać i w ogóle - wszystko sprawdzić. Czy jest to możliwe?

Porozumiewawczo spoglądając na Bertranda podpułkownik Langer odrzekł:

- Byłoby to niemożliwe. Poza nami nikt obcy wpuszczony tutaj nie będzie,...

Z uśmiechem mówił dalej:

- Ale przede wszystkim jest to chyba zupełnie zbędne. Rzecz w tym, że możemy zaofiarować kapitanowi Bertrandowi dwie polskie repliki Enigmy z tym, że jedną z tych maszyn osobiście zawiezie do Londynu i wręczy ją panom, możliwie w obecności pułkownika Menziesa...

Obaj Anglicy słuchali go w osłupieniu, zaś Langer kontynuował:

- Stawiam tylko jeden warunek: oto w chwili, być może bardzo dalekiej, kiedy cały problem Enigmy nie będzie już stanowił tajemnicy, strony francuska i brytyjska ujawnią fakt otrzymania i dalszego wyzyskania polskiej Enigmy, dzieła polskich kryptologów i inżynierów. Czy panowie mogą nam to przyrzec?

- Certes! - zawołał Bertrand. - Obiecuję to wam.

- O, yes, certainly, zrobimy tak - podniósł do góry rękę Denniston.

Tymczasem Knox zapalił się do obejrzenia agregatu, przez Polaków nazywanego „bombą”. Przeszli więc do pomieszczenia, gdzie została zmontowana pierwsza z tych „bomb”. Było ich teraz sześć.

Objasniał dyżurujący właśnie przy „bombie” kryptolog Henryk Zygalski.

- Szafa ta zawiera urządzenie, składające się z kilku odpowiednio ze sobą sprzężonych podzespołów Enigmy. Widać je po uniesieniu pokrywy. Dodatkowy układ wirników obraca się samoczynnie pod napędem elektrycznym tworząc kolejno - najpóźniej w ciągu około dwóch godzin - kilkanaście tysięcy różnych kombinacji. Dokładniej mówiąc - liter jest 26, więc bębny przybierają kolejno 26 X 26 X 26 czyli 17 576 pozycji. W chwili, w której wirniki znajdują się względem siebie w pozycji sygnalizującej poszukiwany element szyfru, zapala się światło, silniki automatycznie przestają działać i kryptolog odczytuje wskazanie. Tak więc puszczając w ruch nasze „bomby” mamy już najpóźniej po paru godzinach, ale w praktyce wcześniej, aktualne dane o kluczu.

Zygalski, po chwili milczenia, dodał:

- Mając te dane, po dokonaniu krótkich obliczeń, otrzymujemy zmieniany codziennie klucz Enigmy bardzo szybko, bo w ciągu kilku minut. Zresztą właśnie mam ją uruchomić, więc najlepiej to zobaczyć na własne oczy...

Zygalski postawił dźwignię i pokręta, po czym uruchomił czerwony przycisk. Na chwilę zapaliły się i zgasły czerwone lampki kontrolne. Z jednostajnym, niegłośnym szumem wirników maszyna ruszyła. Tymczasem Rejewski uzupełniał objaśnienie:

- Zastosowaliśmy tu szybko zapalające się żarówki oraz kontakty półelastyczne...

Zafascynowani brytyjscy i francuscy oficerowie nie spuszczały oczu z tablicy kontrolnej. Knox spojrzał na zegarek. Czekali. Wreszcie, z lekkim kłapinięciem, „bomba” stanęła. Zapaliło się czerwone światło.

- Pierwszy element dzisiejszego klucza już mamy - spokojnie oznajmił Zygałski, odczytując w szklanym okienku wskazania maszyny i notując je na arkusiku leżącym na pokrywie szafy.

Raz jeszcze zabrał głos Rejewski:

- Niezależnie od tego automatu, wypróbowaliśmy metodę „płachty” pomysłu magistra Zygałskiego oraz „rusztu”. Mamy też kartoteki. Interesowały nas niektóre odmiany hitlerowskich szyfrów - na przykład używanych przez centralę SD, czyli niemieckiej służby bezpieczeństwa...

Twarze Anglików stały się podobne do masek, tak usilnie starali się ukryć odniesione wrażenia.

- Co to są owe, jak wy je nazywacie, „płachty”? - Knox usiłował wymówić trudne dla Anglika słowo. Przyniesiono kilka arkuszy pokratkowanego papieru, który był oznaczony u góry i po bokach literami alfabetu. Część 51 X 51 kwadratowych poetek była perforowana. Knox pojął w lot ten niezwykle pomysł Zygałskiego. Wynalazek polegał na tym, że nakładając na siebie i przesuwając 26 arkuszy, kiedy poletka perforowane zgadzały się, można stopniowo odnajdywać dane o właściwym ustawieniu maszyny. Komplet „płacht” liczył 26 X 60 arkuszy, bo tyle jest kolejności w ustawieniu pięciu bębneków, jako że Niemcy stosują dwa nowe, na wymianę.

- Niestety, nie stać nas na masową fabrykację takich „płacht” - zakończył objaśnienie Langer. - Ciągłe ich brakuje...

Na razie panowało milczenie. Ale przy skromnym posiłku rozwiązały się języki,

- Polscy kryptolodzy - mówił z uniesieniem kapitan Bertrand - dokonali, moim zdaniem, rzeczy niewiarygodnej. Żaden z krajów świata nie mógłby się pochlubić specjalistami o tak głębokiej wiedzy i tak konsekwentnym uporze, jak nasi gospodarze. Wyręczę ich tutaj dopowiadając panu, panie Knox, parę szczegółów... Otóż - mówił - nawet mój dobrze opłacany informator, którego nazywamy „Asche”, chociaż dotarł do samej centrali niemieckiego „Chi-Dienst”, nie mógł mi dostarczyć żadnych informacji o Enigmie: jak jest zbudowana i na jakiej działa zasadzie, nie mówiąc już o połączeniach wewnętrznych, które teraz oglądamy. Jedyne, co zdołał mi dostarczyć, to znaną krótką instrukcję dla użytkownika. Tak więc - ciągnął - polscy kryptolodzy, mechanicy i elektrycy otrzymali za moim pośrednictwem to samo, co przekazałem naszym kolegom brytyjskim. Przypominam, co ta instrukcja zawierała: „Walce, czyli bębniaki szyfrujące ruchome mogą być zmieniane dowolnie od lewej ku prawej w porządku przewidzianym dla klucza, na przykład

II I III

pierścienie są nastawione dla każdego poszczególnego walca na przykład

II I III

24 13 22

wtyczki tych przewodów, które mają dwie końcówki, wskazują, jaka para końcówek jest ze sobą połączona, co umożliwia mnóstwo kombinacji na tablicy komutatora, na przykład

1/13 4/9 14/22 16/19 29/21 23/26

które po właściwym ustawieniu klucza na dany dzień, co reguluje miesięczna tablica, spowodują pojawienie się liczb w trzech oświetlonych okienkach nad klawiaturą. Czytane od lewej do prawej liczby te oznaczają pozycję wyjściową, na przykład

06 15 12”.

Zapalając się, Bertrand mówił dalej:

- Nasi znakomici polscy koledzy otrzymali więc tylko tę instrukcję dla użytkowników, nieaktualną już „Tablicę miesięczną” kluczy oraz tekst zaszyfrowany kluczem danego dnia i ten sam tekst ciałem. Tylko tyle! A jednakże zdołali Enigmę zrekonstruować i uruchomić. W tej skromnie wyglądającej skrzynce o wymiarach maszyny do pisania mieszczą się potencjalnie wszystkie największe tajemnice

III Rzeszy, od Kwatery Głównej Wehrmachtu po sztaby „czarnych pretorianów” SS Himmlera. Ale jest w tej nowej wersji utajony geniusz Polaków.

Odezwał się jeszcze raz bardziej nieufny z Anglików, Knox:

- Jak wiemy - zaczął - w niemieckiej Enigmie stosuje się zmienną liczbę bębenków. Szyfropis... Ten wasz wzór...

Nie dokończył tego, co miał powiedzieć, zagłębiwszy się w jakichś szybko kreślonych równaniach, wzorach i symbolach. Od tej chwili znalazł się w swoim niezmiernie odległym świecie. Rozumieli go Rejewski, Różycki i Zygalski - ścisła czołówka wiedzy kryptologicznej. Ileż to razy mawiano o tych zapracowanych milczkach, że „nie są z tego świata”...

Zabrał jeszcze głos podpułkownik Langer. Powiedział:

- Rzecz jasna, obowiązuje nas wszystkich ogromna ostrożność. Niemcy nie mogą podejrzewać, że ich czytamy. Dla przykładu - pewnego Niemca, który na terenie Polski posługiwał się schowanym w beczce zwykłym radionadajnikiem, sąd ukarał jedynie paroma miesiącami aresztu za niezgłoszenie aparatu. Dowiedzieliśmy się o nim z szyfrów Enigmy w Królewcu, ale o fakcie tym nie powiadomiono sądu, aby nie zdradzić się z tym, że Enigmę czytamy.

Tego wieczora Bertrand, już tylko w towarzystwie gospodarzy, tryumfował. Mówił:

- Może to po raz pierwszy ambicja brytyjskich techników doznała tak wielkiej porażki, ulegając technice waszej. W ogóle Anglicy muszą przyznać, że bez ponoszenia z ich strony jakichś kosztów -zawdzięczają Enigmę przyjaźni polsko-francuskiej, naszej przyjaźni.

* * *

Dwie polskie Enigmy zostały wysłane do Paryża w walizach poczty dyplomatycznej. Dnia 16 sierpnia kapitan Bertrand towarzyszył kurierowi ambasady brytyjskiej w Paryżu, który przewoził do Londynu dar Polaków. Na dworcu Victoria oczekiwał tej przesyłki pułkownik Stewart Menzies z Intelligence Service. Naturalnie już wiedział o wszystkim.

- Bertrand - oświadczył - pan nam oddał nieocenioną przysługę... Wojna, będziemy ze sobą szczerzy, wisi już w powietrzu.

Wybierał się na jakieś przyjęcie. W kłapie smokinga miał wstążeczkę francuskiej Legii Honorowej. Wkrótce okazało się, że komandor Knox nie tylko zrozumiał wszystko, co mu powiedziano w Paryżu, ale też doskonale to zapamiętał. Zaraz po powrocie dwu brytyjskich kryptologów rozpoczęto w Anglii prace nad odtworzeniem Enigmy, tudzież „bomby”, ale znacznie ulepszonej. Przy użyciu wielkich środków finansowych czołowi angielscy fizycy i mechanicy budowali coś w rodzaju pierwszego komputera. Przez długie miesiące wielkie, wypełnione mechanizmami pudło nie chciało przemawiać, więc niańczono się z tym nadal. Pracowała nad tym cała ekipa z A. Turingiem na czele.

Ale pełen nadziei i wdzięczny polskim kolegom za ich koncepcje Dillwyn Knox zdążył przed samą wojną przysłać im w prezencie pięknie malowane jedwabne chustki, do których dołączył list z podziękowaniem.

Ocalić myśl!

Historyczne, odbyte dnia 25 lipca, odwiedziny ośrodka „BS-4” przez dwu francuskich i dwu brytyjskich oficerów służby szyfrowej nie poszły na marne. Wszyscy czterej specjaliści pojęli zasady, na jakich działają polskie „bomby”, „cyklometry”, „płachty” i „ruszty”, nie mówiąc już o tym, że otrzymali w prezencie po jednej, wykonanej w Polsce, Enigmie. Poza tym kiedy wojna wydawała się już nieunikniona, strona polska udzieliła Bertrandowi i Dennistonowi dalszych informacji, mianowicie dostała im wyliczenia teoretyczne.

„Umożliwi to panom budowę własnych »bomb« oraz innych urządzeń pomocnych w łamaniu niemieckich szyfrów” - pisał podpułkownik Langer do swoich zachodnich kolegów.

W pierwszych dniach wojny podpułkownik Langer i inżynier Palluth byli w ruchu niemal bez przerwy. Krążyli pomiędzy ośrodkiem „BS-4” w Lasach Kabackich a ulicą Szczęśliwicką, gdzie od paru

lat mieściła się wojskowa wytwórnia elektromechanicznego sprzętu pod firmą AVA, wreszcie musieli często zaglądać do gmachu szkolnego przy ulicy Kazimierzowskiej, dokąd przeniesiono z pałacu Saskiego biura i archiwa Oddziału II Sztabu Głównego. Stąd też rozpoczynały -się i tutaj teraz kończyły kursy małego autobusiku, rozwożącego pracujących na trzy zmiany personel ośrodka „BS-4”.

Rejewski wspomina, że ośrodek pod Pyrami kipiał gorączkową pracą już w końcu sierpnia, kiedy zaczęły się mnożyć niemieckie prowokacje przygraniczne, a zwiadowcze samoloty Luftwaffe coraz częściej krążyły na polskim niebie. Radiowywiad działał więc na pełnych obrotach. W ukrytym pośród leśnej zieleni budynku bez przerwy działała aparatura „bomb” i pracowały polskie Enigmy. Przy nader skromnych zasobach zaopatrzenia dawało to rezultaty niewielkie, zresztą w naczelnym dowództwie, przeniesionym do gmachów przy ulicy Rakowieckiej, przy zestawianiu wiadomości nadchodzących z różnych źródeł, przykładano wagę raczej do meldunków wywiadu naziemnego lub powietrznego. Jeszcze nie doceniano roli, którą spełnić mogła polska Enigma, dzieło trzech matematyków i paru mechaników, którzy wyprzedzili swój czas.

A wypadki pędziły.

Można osądzić, że w ciągu ubiegłych kilku lat zespół polskich kryptologów nie zmarnował bodaj nawet jednego dnia, skoro w godzinie wielkiej narodowej próby przybyć mógł kierownictwu szczególnie silny atut w prowadzeniu wojny, szansa, o której każdy naczelnny wódz zwykł marzyć: znajomość sił i zamiarów nieprzyjaciela. Wyzyskać to mogły również dowództwa inne -w- Paryżu i Londynie, naturalnie pod warunkiem, że wytrzymają pierwszy napór Blitzkriegu, a przedtem zapewnią ludzkiej myśli jej właściwą realizację.

Jednakże we wrześniu 1939 roku ujawniła się nie tylko ogromna dysproporcja zastosowań techniki wojennej pomiędzy Trzecią Rzeszą a Polską, ale także i nie mniej wielka rozpiętość między szczeblem, na który tu i ówdzie wspięła się polska myśl a szczeblem powszechnie niskim, o poziomie sprzed lat.

Rankiem 1 września, kiedy nad okolicami Warszawy toczyły się walki powietrzne, a z pałacu Saskiego wynoszono i ładowano na ciężarowe samochody skrzynie z aktami Sztabu Głównego, w tym również pozostałe tam jeszcze akta Biura Szyfrów, dozorujący tego magister matematyki Henryk Zygałski mówił do kolegi:

- My swoje wykonaliśmy. Pomyśl tylko: dziesięć lat ślęczenia nad szyframi i kluczami, najpierw w Poznaniu, potem tu...

Wskazując lewe skrzydło pałacu ciągnął:

- Pracując tam, daliśmy Niemcom radę, pomimo ich przebiegłości i wysokiej techniki. Pamiętasz, jak w roku 1932 odczytaliśmy pierwszy szyfrogram Enigmy? Piekielna to była praca, a jednakże zwyciężyliśmy!

Towarzyszący mu Marian Rejewski skinął głową i potwierdził:

- Masz rację. Różycki, ty i ja - swoje wykonaliśmy. Mam nadzieję, że inni tak samo zrobili, co do nich należało. Jeśli chodzi o mnie, to najtrudniej przychodziła mi izolacja, wieczne milczenie. Nawet wobec żony. Pamiętasz? Mieliśmy wtedy wszyscy trzej pójść na sylwestrowy bal. Ale Enigma pokrzyżowała te plany. Stokroć ważniejsze było poznanie niemieckich rozkazów szyfrowych. A i dzisiaj moja żona dowiaduje się o wybuchu wojny nie ode mnie. Tyle wiedząc - musimy milczeć. Taki los...

W tym czasie inżynierowie Antoni Palluth i Ludomir Danilewicz postanowili częściowo rozładować magazyn wytwórni sprzętu radiotechnicznego AVA przy ulicy Szczęśliwickiej. Mechanik i radiotechnik Edward Fokczyński, który dzięki własnej pracy oraz wybitnym zdolnościom doczekał się pracy w nowoczesnej fabryce urządzeń i przyrządów radiowych, ponuro słuchał inżyniera Pallutha, który głośno rozumował:

- To, co teraz widzimy w powietrzu, jest początkiem niemieckich dążeń do wyniszczenia naszego lotnictwa myśliwskiego. Widok każdego spadającego Dorniera cieszy, ale nie może mylić, jeśli chodzi o wynik ostateczny, bo przecież i nasza obrona się wykrusza. Kilkuśet nie uradzi tysiącom, to jasne. Wobec tego musimy być przygotowani na najgorsze, czyli na zbombardowanie wytwórni. Panie Fokczyński, wszystko, co jest związane z maszyną, trzeba zapakować i przewieźć do Pyr, ale tak, żeby nikt z pracowników nie wiedział, gdzie to idzie. Najlepiej nocą...

Fokczyński skinął głową.

- Skrzynie jut przygotowałem - powiedział krótko.

- Dokumentację mamy zrobioną w trzech zestawach: jeden dla ciebie, drugi będzie u mnie, a trzeci u inżyniera Pallutha - oświadczył Danilewicz.

W ośrodku „BS-4” pomimo gorączkowej pracy kryptologów i operatorów także zatroszczono się o zwiększenie bezpieczeństwa. Terenu wokół ośrodka pilnowało teraz więcej żołnierzy. Nieproszonych gości można się było spodziewać zarówno z okolicy najbliższej, jak i z daleka.

- Legitymować każdego, a podejrzanych doprowadzać na wartownię - rozkazał major Ciężki, dodając: - Niedaleko stąd mieszkają niemieccy koloniści. Podobno niektórzy z nich zawiesili w swoich mieszkaniach portrety Hitlera, mogą więc służyć niemieckim szpiegom... Uważać trzeba również na niebo, szczególnie nocą, rozumiecie?

- Rozkaz, panie majorze - odrzekł dowódca ochrony.

Tymczasem w nowej siedzibie Oddziału II przy ulicy Kazimierzowskiej rozpoczynano prace, od wnoszenia biurek i znakowania pokoi. Podpułkownik Langer miał pełne ręce roboty. Musiał wywalczyć dla siebie osobny gabinet i zapewnić linię telefoniczną, poza tym naprawić mobilizacyjne pomyłki czy niedopatrzenia, które mogły pozbawić ośrodek „BS-4” przydzielonych mu specjalistów. Wreszcie, co najważniejsze, regulował przepływ uzyskanych informacji do Sztabu Głównego. Zazdrościł teraz ludziom z ośrodka w Pyrach ciszy, skupienia i zamknięcia się w swojej robocie.

- Kontakt z Bolkiem utrzymany na różnych QPX - powiadomił Różycki, podczas gdy Rejewski był wciąż zajęty rozwiązywaniem zmienianych kluczy szyfru.

Płynęły dramatyczne godziny pierwszych dni wojny. Późniejszy jej historyk będzie się dopatrywał przyczyn klęski przede wszystkim w kordonowym ugrupowaniu polskich armii i w próbie dowodzenia wojną bezpośrednio, na wszystkich jej frontach - ale z daleka... Historyk wojny obejmie te problemy tytułem: „Wbrew zasadom sztuki wojennej”. Oceniając dalej wypadki w okresie od 1 do 5 września, określi działania dwóch armii „Kraków” i „Karpaty” - „bitwą, która mogła odmienić losy kampanii”, a przebieg wydarzeń na linii Narwi - „bitwą, w której zapomniano o celu walki”. Dopiero po wielu latach obnażyła się prawda, o której naród nie mógł wówczas wiedzieć. Historykiem tym stał się pułkownik dyplomowany Marian Porwit.

Mimo sporadycznych powodzeń w niezwykle upartych bojach odwrotowych, podczas których zniszczono wrogowi setki czołgów, niemiecki korpus pancerny z trzema dywizjami lekkimi i dwiema dywizjami zmotoryzowanymi oraz całą piechotą 10. armii, wspomagany przez Luftwaffe - szedł naprzód w stronę Warszawy. Jednocześnie rozwijała się ofensywa czterech pozostałych niemieckich armii, wspomaganych tak samo przez pancerz i masowe użycie bombowców. W tej sytuacji dopiero dzień 3 września, kiedy Wielka Brytania i Francja nareszcie wypowiedziały Niemcom wojnę, natchnął Polaków lepszą nadzieją.

Warszawa manifestowała przed ambasadami sojuszników.

Jednakże tegoż dnia w godzinach popołudniowych odbyła się przy ulicy Kazimierzowskiej odprawa oficerów Oddziału II. Z generalnych naświetleń sytuacji wynikało, że - być może - zajdzie konieczność wyjazdu naczelnego dowództwa z Warszawy. Parę setek oficerów słuchało wynurzeń pułkownika jednocześnie z gromami wybuchów, dochodzących od strony Okęcia. Zaraz po tym zebraniu do podpułkownika Langer przyszedł inżynier Palluth.

- AVA częściowo zniszczona - powiedział krótko. - Podobno lotnisko na Okęciu też - dodał.

- A nasi ludzie? Co z Danilewiczami i Fokczyńskimi? - szybko zapytał Langer.

- Cali i zdrowi, tylko oszołomieni. Odesłałem ich do domu. Jutro zameldują się w Pyrach.

Langer skinął głową.

- Musimy trzymać się razem - powiedział. - Chcę mieć całą naszą piętnastkę w garści... I jeszcze jedno: kto wie, czy nie otrzymamy rozkazu opuszczenia Lasów Kabackich. W takim wypadku major Ciężki wie, co ma zrobić. Otworzy koperty E i Z. Pan mnie rozumie?

Inżynier Palluth domyślał się: dokument pierwszy ustalał szczegóły ewakuacji, drugi zaś...

- Czy jest źle? - zapytał.

- Chyba tak, skoro palimy papiery - odrzekł Langer.

Istotnie, na dziedzińcu szkolnego gmachu wciąż gorzało ognisko podsycane już „niepotrzebnymi aktami” poszczególnych referatów. Inżynier Palluth, gdy wkrótce znalazł się w ośrodku „BS-4”, wspominał tam nie tylko o bombach, co spadły na fabrykę AVA i na Okęcie, ale również o paleniu papierów. Ludzie wysłuchali go i odeszli do roboty, a Rejewski, zawsze z my ślą o nowym kluczu, rzekł:

- Już go mam w kieszeni...

Trzeciego czy też czwartego dnia wojny zastanowił Langer sygnał, którym Bertrand nieodmiennie kończył każde radiowe połączenie swojego paryskiego S.R. z ośrodkiem „BS-4” w Lasach Kabackich. Według dawniej umówionego kodu, sygnał ów brzmiał: On vous attend. „A więc czekają? My też czekamy, aż się nareszcie ruszą” - pomyślał Langer i zarządził rozpoczęcie kolejnych radiogramów tym samym sygnałem. W ten sposób wyrażało się rosnące zniecierpliwienie w ogóle wszystkich Polaków, gdziekolwiek byli: na łamiącej się linii bojowej, w polowych szpitalach, w piwnicach bombardowanych miast, na przepełnionych uchodźcami drogach i tych, co stanęli przed plutonami egzekucyjnymi Wehrmachtu...

Dlaczego Francuzi stoją w miejscu? - zapytywał się chyba każdy.

Pracownicy ośrodka „BS-4” uczestniczyli w tragicznych przeżyciach narodu jakby z dystansu, inaczej niż ogół rodaków. Jak dawniej, sens i bieg ich wysiłków polegał na ustawicznej syntezie wskazań matematycznych z intuicyjnym domysłem i znajomością przeciwnika, wygrywającego na setkach maszyn swoje złowieszcze preludia. Poza tym nadal obowiązywał nakaz milczenia i nadzwyczajnej ostrożności, która nie pozwalała nawet na wypowiedzanie słowa „Enigma”. Tak więc zamknięci w rezerwacie wytężonej pracy, na razie nie mieli okazji do żywszego odczuwania niepokoju, a serca ich uderzały silniej po osiągnięciu kolejnego celu, nie zaś z powodu złych wieści, które już coraz mocniej wstrząsały mieszkańcami Warszawy.

Jednakże dnia 5 września u zbiegu ulic Kazimierzowskiej i Madalińskiego ten i ów mógł przez okna niebieskiego autobusiku zobaczyć obok chodnika wkopane działko przeciwpancerne, a przy nim - jego obsługę. Nie przeciwlotniczego, ale właśnie - przeciwpancernego. Ktoś dostrzegł i drugie - u wylotu ulicy Puławskiej. A więc nieprzyjaciel groził nie tylko z powietrza...

„Pewnie chodzi o jakiś zagon, który zdołał się przedrzeć” - myślano.

Tego wieczoru major Ciężki otworzył obie koperty i przystąpił do wykonania zawartych w nich rozkazów. Najwidoczniej nie był to „jakiś zagon”. W malowanych na zielono i ponumerowanych skrzyniach starannie ułożono aparaturę techniczną i dokumenty, w ogóle wszystko, co mogło zapewnić pracę na nowym miejscu. Część akt i maszyn należało zniszczyć. Specjalista w mechanice precyzyjnej Czesław Betlewski, dotychczas odpowiedzialny za montaż maszyn, obarczony był teraz obowiązkiem zlikwidowania wszelkich śladów polskiej Enigmy. Dwie Enigmy, upodobnione do zwykłych maszyn do pisania, zatrzymali przy sobie podpułkownik Langer i major Ciężki, inne ułożono w specjalnie oznakowanej skrzyni.

Noc była ciemna, kiedy z ośrodka „BS-4” powoli wyjeżdżały samochody ciężarowe i osobowe. Te pierwsze miały dostarczyć bagaż i ludzi na rampę Dworca Wschodniego przy eszelonie „F”. Langer, bracia Danilewiczowie i Palluth mieli odbyć podróż do znanego im celu samochodami. Niebieski autobusik z majorem Ciężkim i patrolem saperów na razie pozostawał w ośrodku.

- Dogonię was na dworcu - zapewnił major odjeżdżających.

Wiedzieli, co ma się stać. Wszystkie pomieszczenia ośrodka w Pyrach zostały zaopatrzone w silne ładunki materiału wybuchowego, połączone ze specjalnym agregatem. Ewentualne zniszczenie ośrodka zabrałoby parę sekund. Mechanik Fokczyński z żalem pomyślał o najbardziej efektywnym urządzeniu, do którego przyłożył rękę. Był to ukryty pod ziemią maszt radiowy, który wysuwał się ku górze po uruchomieniu silnika. Całość była pomyślana w AVA, tam wykonano jej części, tu - w ciszy leśnej - zmontowano. Maszt wysuwał się i tak samo znikał - powoli, płynnie, bez hałasu.

„Elegancko!” - z lubością określał Fokczyński. „No nic, jak przyjdzie czas, to wszystko zbuduje się na nowo i jeszcze lepiej” - pocieszał się.

Być może miał na myśli nie tylko maszt.

Exodus ludności z obszarów zachodnich i północnych Polski dał się w stolicy odczuć już po kilku dniach wojny, ale do tej pory mieszkańców cechował raczej spokój i swoisty humor, nawet wobec coraz częstszych nalotów. Dopiero nieco późniejsza ewakuacja wszelkich państwowych instytucji i urzędów uświadomiła Warszawie, że musi polegać już tylko na sobie samej, ale teraz - zaledwie po pięciu dniach wojny - samo zniknięcie sztabu, choć zauważone, nie nasuwało wniosków niedobrych. Osądzono, że tak potrzeba i koniec.

Koszmarów masowej wędrówki pod grozą bomb i maszynowych serii tv eszelonie „F” nie przeżywano, a dwa naloty okazały się nieskuteczne. Wskutek zniszczenia wielu stacyjnych torów podróż trwała długo, ale bez strat. Pomagano sobie wzajemnie, podziwiano energię kolejarzy. Czekając na ułożenie nowych torów pod Siedlcami i obróconego w ruinę Łukowa, zdołano nawet uruchomić aparaturę i parokrotnie nawiązać łączność z S.R. we Francji.

Niektórym towarzyszyły żony; tak pani Różycka z niemowlęciem na ręku postanowiła tą drogą dotrzeć do swojej rodziny w Rzeszowskiem. Obecność kobiet i małego dziecka łagodziła nastroje.

Dopiero w Brześciu nad Bugiem zaczęło rozumieć cały bezmiar klęski. Otworzył się ów kloz odosobnienia, w którym zamknięci byli dotychczas kryptolodzy, elektrycy, mechanicy. Z cichego, leśnego ośrodka w Pyrach, gdzie czuli się panami swojego sekretnego schronienia, zostali przeniesieni w świat groźny i jak najbardziej prawdziwy, z jego łzami i krwią, krzykiem śmierci i rozpacz, wyciem o ratunek, o życie. A „rycerze” spod znaku Luftwaffe obracali miasto w ruinę, rwali na strzępy wszystko, co żyje.

- Tu nawet matematyka nic dopomóc nie może - rzekł ponuro Zygalski.

W oszołomieniu patrzyli na fale szybko przepływających mas ludzkich. Oto z blasków i dymów obkładanego bombami śródmieścia wyrwa co sił na podmiejskie pola czarny potok przerażonej ludności żydowskiej, a znowu od północy nieustannie się tocząc pęcznieje i wzbiera nieprzerwana rzeka uchodźców, z całej chyba Polski pędzonych strachem i wściekłością. Widzieli kobiety pięściami wygrażające czarnym na niebie krzyżom swastyki, patrzyli na ściśnięte zapowiedzią odwetu szczęki mężczyzn.

Na stacji czekał ich podpułkownik Langer. Wyjaśniło się, że naczelnego dowództwa, do którego byli przydzieleni, już w Brześciu nie ma. Wielka kolumna samochodów sztabowych odjechała na południe. Polskiemu dowództwu zagroził od północy potężny zagon pancerny generała Guderiana, podczas gdy od Śląska i Karpat parły na Lublin i Lwów inne armie niemieckie. Długo jeszcze miały się toczyć zacięte bitwy w oddalonych od siebie częściach kraju, ale dowodzenie całością wojny stawało się już niemożliwe.

W twierdzy Brześcia urzędował jej ostatni komendant, pozostały też echa burzliwych dyskusji niedawno rozlegających się z okien budynku, w którym pracowało naczelne dowództwo.

Dwaj generałowie, którzy utracili swoje armie, wymawiali to marszałkowi - mówiono. W istocie, już od paru dni naczelny wódz improwizował niezbyt realny zamiar ściągnięcia możliwie dużej masy wojsk do południowo-wschodniego trójkąta Polski. Jednak oddziały armii „Poznań”, „Pomorze”, „Łódź”, „Modlin” i grupy operacyjnej „Narew”, uwikłane w ciężkie walki odwrotowe, nie mogły swobodnie wyruszyć w drogę o długości 300-400 kilometrów, a i Warszawa z Modlinem, nie mówiąc o Wybrzeżu, musiała tak samo liczyć już tylko na siebie. Źle przygotowana wojna przechodziła do historii jako sekwencja osobnych, pełnych żołnierskiego poświęcenia walk.

Podpułkownik Langer również musiał znaleźć jakieś wyjście samodzielne. Cenny bagaż należało za wszelką cenę ocalić albo zniszczyć. W ogóle - postanowił - cokolwiek łączy się z polską Enigmą, cała jej dokumentacja i aparatura, a szczególnie znający jej tajemnicę ludzie, nie może wpaść w ręce nieprzyjaciela. Wojna, choć przegrywana nad Wisłą, toczyć się będzie na Zachodzie, polska myśl jeszcze sojusznikom posłuży...:



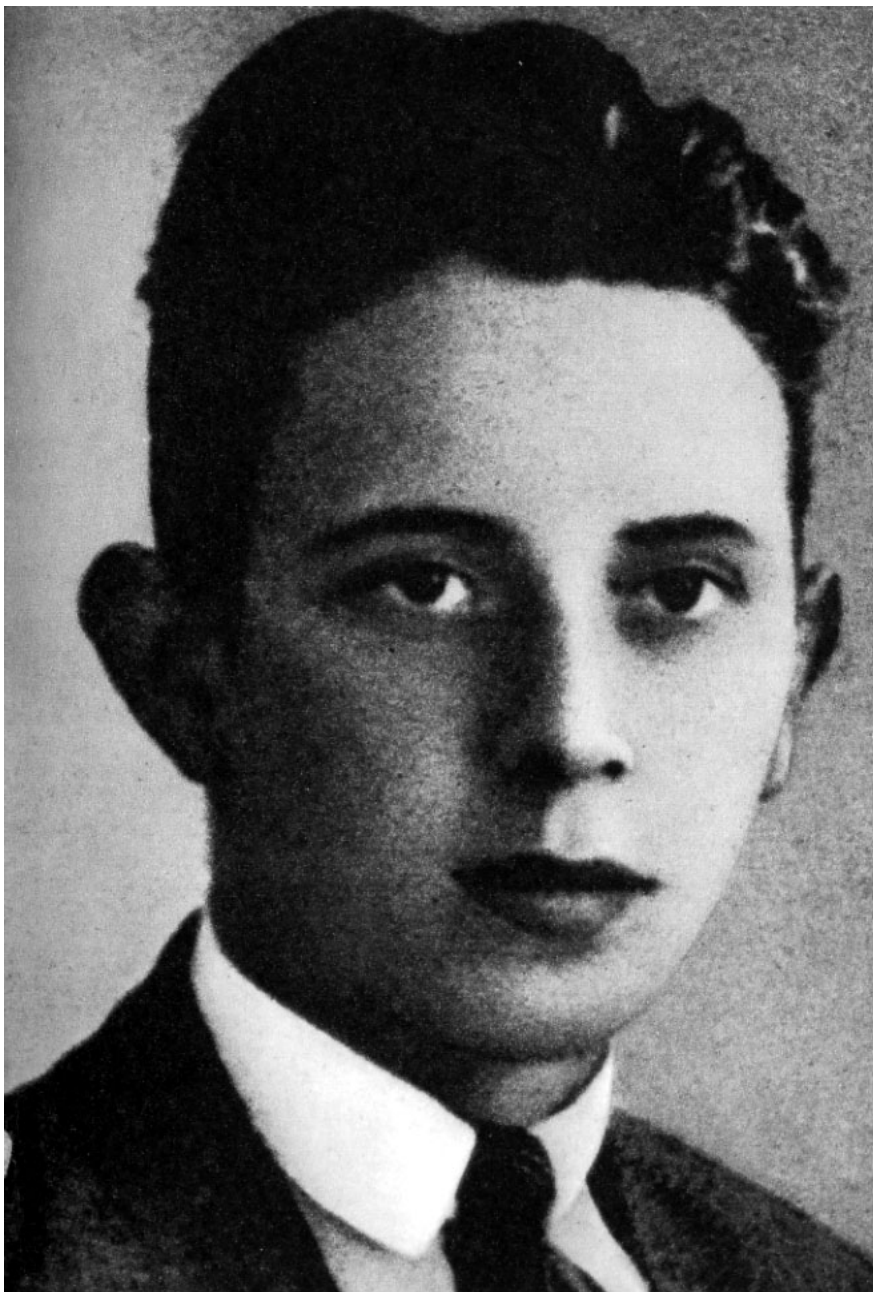
Matematyk i kryptolog Marian Rejewski. Zdjęcie z czasów tryumfu trzech polskich kryptologów, odkrywców jednej z największych tajemnic Trzeciej Rzeszy.



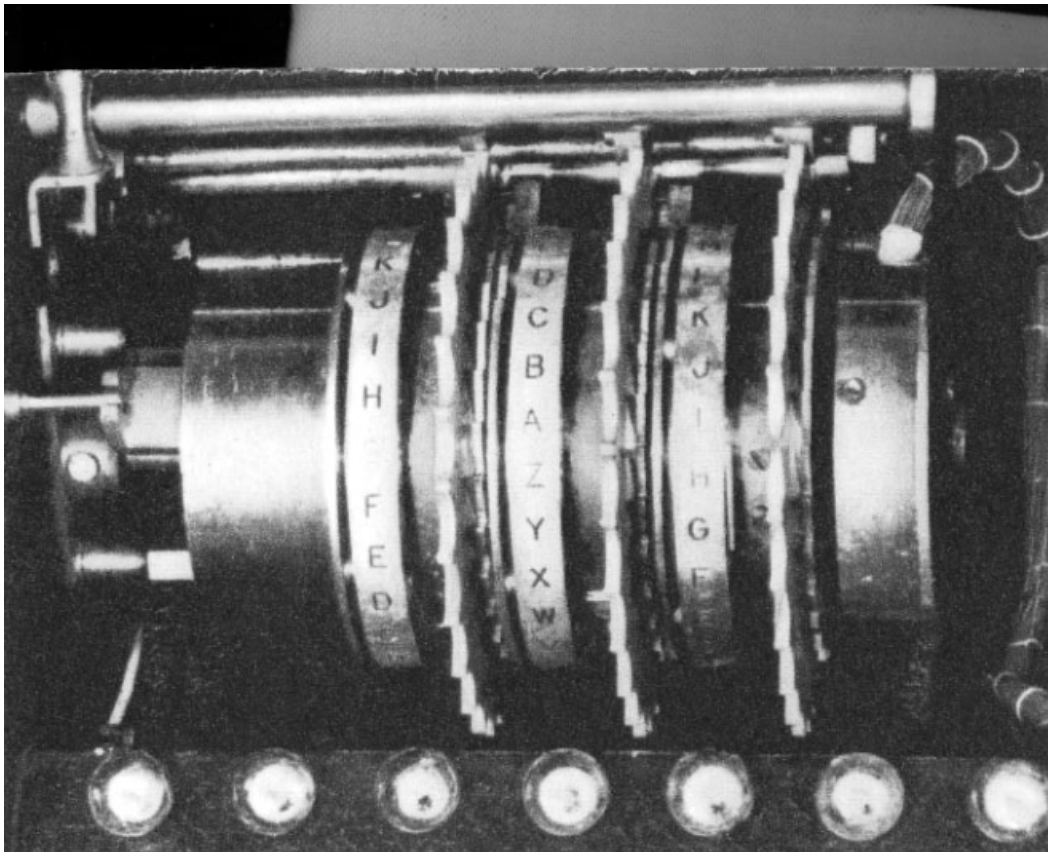
Matematyk i kryptolog Henryk Zygalski, drugi z trójki polskich kryptologów, dzięki której wojskowe wywiady Francji i Wielkiej Brytanii otrzymały w r. 1939 broń kryptologiczną, czyli możliwość odczytywania nadawanych przez Enigmę niemieckich meldunków i rozkazów.



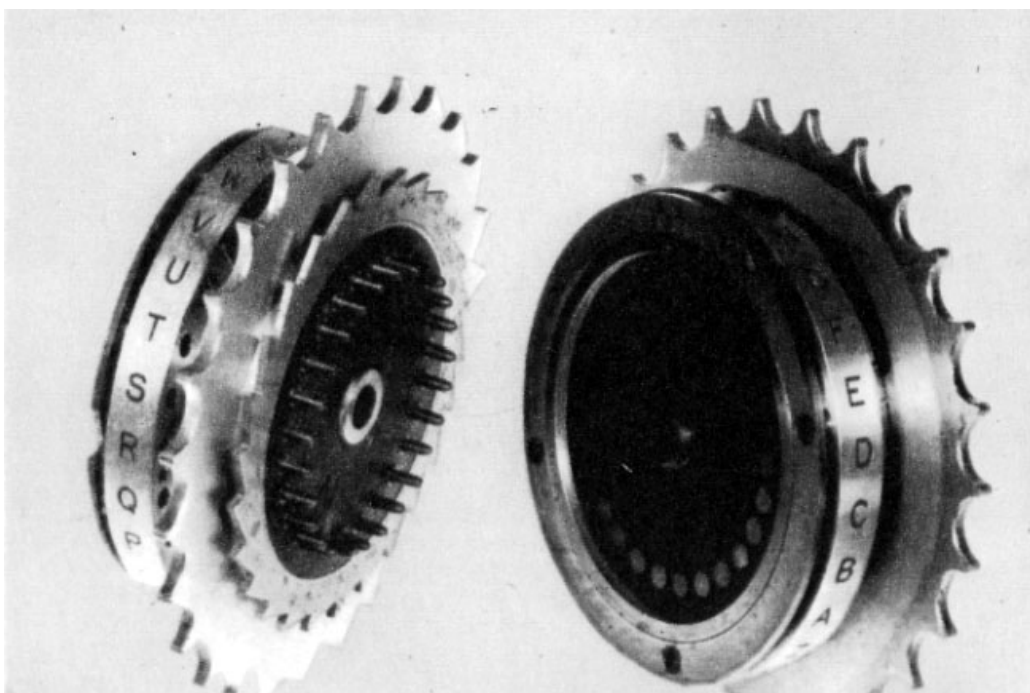
Dr. h.c. Henryk Zygalski. Dover, 1977. (fot. Ch. Donaldson)



Jerzy Różycki, matematyk i kryptolog, trzeci z trójki, która w końcu 1932 r. przełamała hitlerowski system szyfrowy. Zginął w r. 1942 na Morzu Śródziemnym.



Wnętrze Enigmy z trzema wymiennymi walcami.



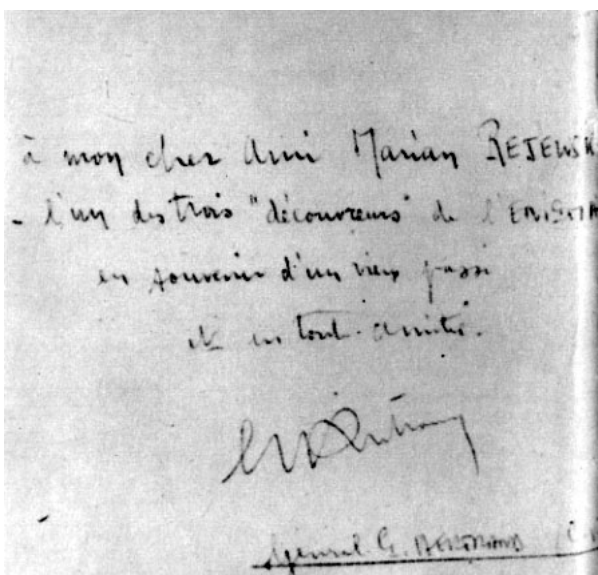
Walce z literami (były też z cyframi).



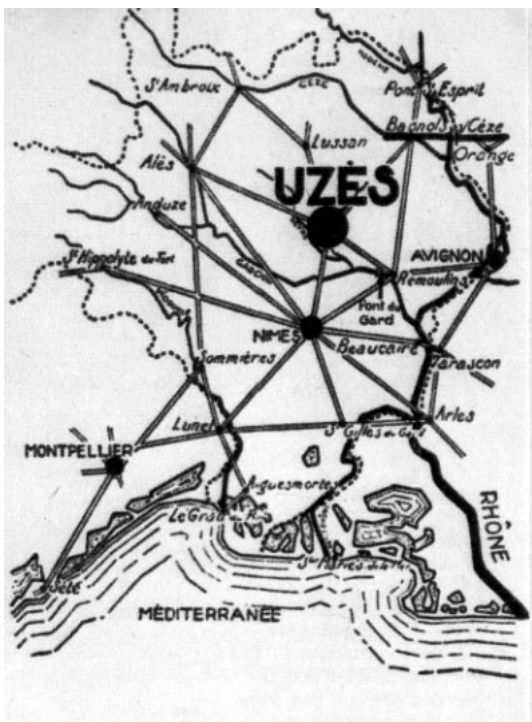
Jedna z wersji wojskowej Enigmy zaopatrzonej w dobrze widoczną instrukcję dla niemieckiego szyfranta.



Gustave Bertrand, organizator francusko-brytyjsko-polskiej współpracy w zakresie kryptologii.



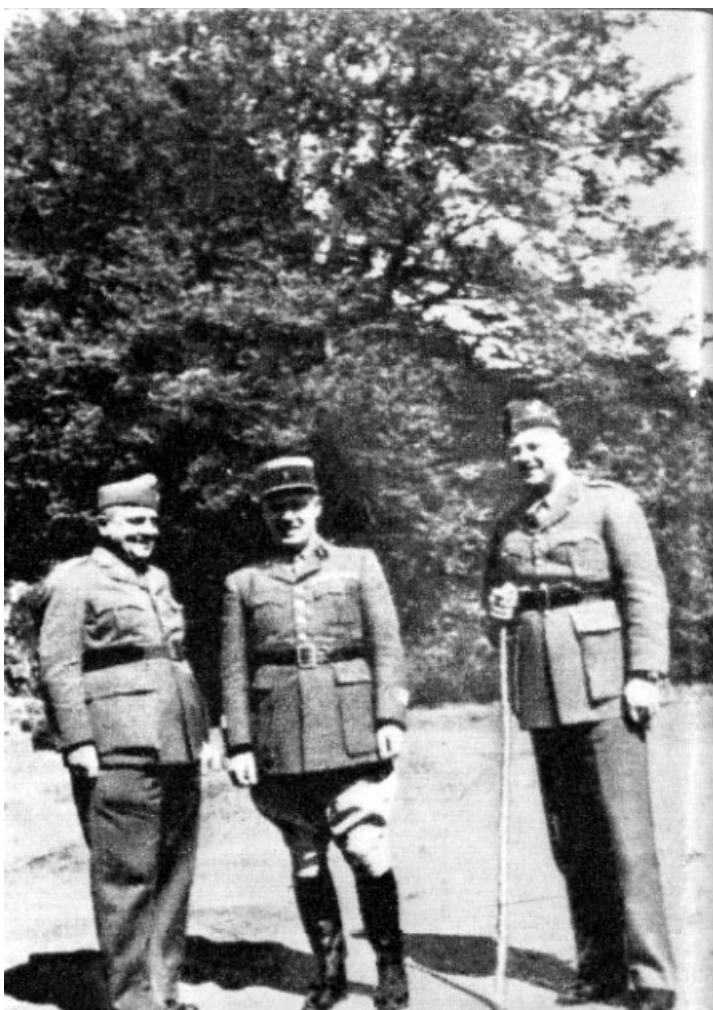
Na odwrocie swojego zdjęcia G. Bertrand napisał dedykację. W przekładzie z języka francuskiego na język polski brzmi ona: „Mojemu kochanemu Przyjacielowi Marianowi Rejewskiemu, jednemu z trzech »odkrywców« ENIGMY, ku pamięci starych dziejów, Generał G. Bertrand (C. R.).



Położenie miasteczka Uzès - w okolicy Avignon i Nîmes, gdzie u wylotu na drogę do Bagnols-sur-Cèze założył Bertrand placówkę „Cadix”, ostatnie miejsce pracy polskich kryptologów we Francji. (Z książki G. Bertranda).



Pałac Les Fouzes w Uzès. Od lewej: Marie Bertrand, Marian Rejewski, major Maksymilian Ciężki, inż. Antoni Palluth, podpułkownik Gwido Langer i pułkownik Gustave Bertrand. Zdjęcie amatorskie z 1943 r.



Zdjęcie z książki G. Bertranda „Enigma ou la plus grande énigme de la guerre 1939-1945”. W pałacowym parku stoją: pośrodku - organizator ośrodka P. C. Bruno podpułkownik G. Bertrand, z lewej - szef polskiej ekipy podpułkownik G. Langer, z prawej - brytyjski łącznik kapitan Intelligence Service J. S. Macfarlan, z racji różowej cery przezwany „Pinky”.

*Je suis malade
après avoir mangé
des conserves des haricots
verts. Prière prévenir
Hélène et Georges.
Lenoir*

W książce swojej G. Bertrand zamieszcza, oprócz innej bogatej dokumentacji, także więzienny gryps od Lenoir'a, pod którym należy rozumieć inżyniera Pallutha ujętego razem z mechanikiem Fokczyńskim. W przekładzie na język polski „zielona fasola w konserwie” oznacza: „zielona fasola” - Niemców, bo tak ich przezwano, „konserwa” - więzienie.

Podpis pod notatką:

Remarque: Le trait qui barre le message de Lenoir, couleur permanganate, fait avec un produit ad hoc (?), permet de détecter la présence éventuelle d'encre sympathique sous la texte manuscrit. (Linia na tekście wiadomości Lenoire wykonana z nadmanganianiu służy do wykrycia ewentualnego atramentu sympatycznego.)

Ostatnia radiowa łączność z Bertrandem zakończyła się znany sygnałem: On vous attend. „Francuzi chcą nas mieć, oczywiście razem z naszą wspólną tajemnicą” - myślał.

Tak rozumiejąc sytuację, podpułkownik Langer brał pod uwagę wiadomości, które zebrał w oczekiwaniu na przybycie transportu „F”. Jako następne miejsce postoju naczelnego wodza wymieniano Włodzimierz Wołyński, później - Kołomyję, już w pobliżu granicy z Rumunią. Czy uda się ów szczytek Polski z jego powiatową stolicą utrzymać na dłużej, aż do chwili natarcia Francuzów? Jeżeli się ruszą... Ale w każdym razie miejsce referatu „BS-4” jest przy sztabie - osądził.

- Muszę mieć samochody, które zabiorą kilka ciężkich skrzyń i piętnastu moich ludzi - oświadczył komendantowi Brześcia.

Były z tym trudności niemałe, gdyż po odejście wielkiej kolumny motorowej naczelnego dowództwa pozostało w Brześciu niewiele pojazdów, przy tym załadowanych tobołami, walizami i bagażami różnych dygnitarzy. Po dość ostrym wystąpieniu Langer komendant ustąpił i mała kolumnienka referatu „BS-4” mogła wyruszyć w drogę na Łuck, Dubno, Krzemieniec. Niestety, wkrótce brak paliwa zmusił Langer do porzucenia nieprzydatnych już samochodów, a także do zniszczenia ich ładunku.

Właśnie w Krzemieńcu ekipa Biura Szyfrów otrzymała rozkaz ostatni. Brzmiał on jak dzwon pogrzebowy: „Wszystkie ocalałe ogniwa Sztabu Głównego powinny się ewakuować do Rumunii”.

- Benzyny starczy na jeden wóz i to zaledwie na pół baku - stwierdził inżynier Palluth.

Raz jeszcze w ponurym nastroju rozpoczęto niszczenie dokumentów, precyzyjnych urządzeń i pozostałych polskich Enigm. Ze sobą zabierano tylko dwie. Miały one uchodzić za zwykłe maszyny do pisania - własność osobistą podpułkownika i jego zastępcy.

Przygnębionego Fokczyńskiego pocieszał inżynier Palluth:

- To nic, nie martw się, zrobimy jeszcze lepsze.

- Ale już nie będą nasze, warszawskie - odrzekł mechanik.

- Pamiętajcie - mówił w czasie jazdy Langer - że niemiecki wywiad niewątpliwie wzmocni swoją działalność w Rumunii. Niemcy będą wychodzili ze skóry, żeby z masy uchodźców wyłuskać oficerów i pracowników cywilnych Sztabu Głównego. W rumuńskiej Siguranca mają na pewno swoje „wtyczki”. Liczę na skuteczną interwencję Francuzów, ale wobec władz rumuńskich musimy, przynajmniej na początku, uchodzić za oficerów zwykłych, powiedzmy z jakichś komend powiatowych...

A zwracając się do Rejewskiego i jego dwu towarzyszy, ciągnął:

- Nasi trzej kryptolodzy, jako cywile, niech udają nauczycieli, czy jak kto woli...

- Podajcie się za fryzjerów, geometrów, weterynarzy, redaktorów - podpowiadano dla wesołości, chociaż ogólny nastrój temu nie sprzyjał.

W długiej kolumnie mijali pustą, jakby wystraszoną Kołomyję. Wreszcie osiągnęli zatłoczone przedmieście w Kutach i po przejechaniu mostu znaleźli się w Rumunii. Później minęło parę godzin powolnej jazdy wśród kurzu tamtych dróg. Na ich rozwidleniu przed miejscowością Storożyniec oddział rumuńskiego wojska wstrzymał ruch Polaków. Wszystkie samochody należało ustawić opodal, ludzie musieli wysiadać. Wojskowym rozkazano iść wprost do Storożynca, osoby cywilne skierowano na lewo, w stronę jakiegoś innego osiedla.

- Nie protestować - ostrzegł magistrów Langer.

Uścisnęli sobie dłonie.

W zamieszaniu, które wynikało wskutek ciągłego napływu uchodźców, Rejewski skorzystał z nieuwagi Rumuna i pociągnął kolegów ku przystankowi kolei. Hojnie obdarzywszy kasjera otrzymali bilety do Bukaresztu i wskoczyli do pierwszego pociągu idącego na południe. Na którymś z większych dworców przesiedli się do ekspresu.

W Bukareszcie nie czuło się wojny. Wielkie i ożywione miasto wydawało się rajem po iście piekielnych doznaniach dwunastodniowej pielgrzymki przez kolejne stacje narodowego męczeństwa. Nie spoglądano tu z obawą na niebo, w kawiarniach pełno było publiczności, a sprzedawcy gazet ochoczo wykrzykiwali słowo, tak dobrze znane w Polsce.

- Warszawa jest bombardowana, ale się trzyma - powiedział Różycki po przejrzaniu w dzienniku wielkich tytułowych nagłówków.

Z trudem przedostali się do przepełnionego Polakami dziedzińca ambasady Rzeczypospolitej. Do gabinetu attache wojskowego, którym był pułkownik Zakrzewski, tłoczyła się olbrzymia kolejka

oficerów wszelkiego stopnia, a także wyższych urzędników z różnych ministerstw, ale - na szczęście - udało się w jakimś przejściu pułkownika przychwycić.

- Jesteśmy kryptologami referatu szyfrów - zwięźle powiedział Rejewski. - Uniknęliśmy internowania, w Bukareszcie jesteśmy od paru godzin. Paszportów nie mamy. Musimy się strzec agentów Abwehry i jak najprędzej znaleźć pod opieką wywiadu francuskiego lub angielskiego. Nas tam znają. Będziemy jeszcze przydatni. Prosimy o paszporty i wizy.

Po krótkim namyśle pułkownik Zakrzewski odrzekł:

- Rozumiem. Ale tutaj musieliby panowie czekać. Dość długo. Sami widzicie, co się dzieje. W tym tłumie mogą być również szpicle. Więc - dla pośpiechu... Mówicie, że...

Wyjął ołówek, zanotował coś na kartce, wręczył ją Rejewskiemu. Był również zwięzły:

- Oto nazwiska i adresy. Najszybciej dopomoże wam jeden lub drugi attaché. Rumuni liczą się z Francją i Anglią, z nami już mniej. Sądzę, że będę mógł załatwić sprawę panów bez kolejki, już na żądanie tamtych ambasad.

Na dziedziniec ambasady Wielkiej Brytanii wjeżdżał właśnie autokar z personelem ewakuowanej z Warszawy ambasady. Zajęty tą sprawą ambasador wysłuchał Rejewskiego z roztargnieniem.

- Jak będę miał czas, to porozumiem się z Londynem - odrzekł.

- Czy możemy wiedzieć, kiedy to nastąpi? - zapytał Rejewski.

- Tego nie wiem - odpowiedział ambasador i ruszył na powitanie swoich rodaków.

Nie zwlekając, trzech kryptologów odszukali ambasadę francuską. W hallu przyjął ich młody, dość sztywny urzędnik.

- Oto nasze nazwiska - oświadczył mu Rejewski. - Chcemy rozmawiać z attaché wojskowym. Urzędnik wyszedł, ale po chwili wpadł do hallu. - Zaczekajcie, panowie - poprosił już innym tonem. - Pułkownik właśnie połączył się z Paryżem. Najwidoczniej ktoś, zapewne Bertrand, już był powiadomił francuskiego attaché wojskowego w Bukareszcie o pilnej konieczności odszukania ludzi z polskiego biura szyfrów. Francuzi dopiero zamierzali wszcząć odpowiednie poszukiwania w obozach dla internowanych, gdy oto pojawiła się pierwsza ich trójka, kryptologów. - Najważniejsi - powiedziano z Paryża.

Francuski pułkownik nawet nie indagował przybyszów. Roztoczono nad nimi opiekę. W ciągu paru dni wyjednano u władz rumuńskich zgodę na wyjazd trzech „internowanych” Polaków do Francji. Odejeżdżali pociągiem przez Belgrad, Zagrzeb, Turyn.

Można sądzić, że włoska Sicurezza informowała niemiecką Sicherheitsdienst o przejeżdżających przez Włochy do Francji Polakach i szukała pretekstu do zatrzymania niektórych. Trójkę kryptologów indagowano, skromny ich bagaż został zrewidowany dość szczegółowo, ale wreszcie dano im spokój.

Po paru godzinach pociąg przebył długi tunel pod alpejskim masywem Mont Cenis i podróżni znaleźli się w Modane, już we Francji.

Pracowała tu polsko-francuska placówka ewakuacyjna. Przybywających Polaków kierowano do wojskowego obozu w Coëtquidan w Bretanii lub do innych stacji zbornych formującej się we Francji armii generała Sikorskiego. Niektórzy oficerowie figurowali na specjalnej liście; ci jechali wprost do Paryża.

Rejewski podał kierownikowi placówki otrzymany w Bukareszcie numer pewnego paryskiego telefonu. Był to zastrzeżony numer biura francuskiego wywiadu wojsk lądowych pod adresem 2 bis, avenue Tourville, w pobliżu pałacu Inwalidów.

Francuski oficer zaopiekował się trzema Polakami z całą gorliwością. Nie pozwolił im stawać w kolejkach po zaświadczenia na prawo pobytu we Francji i sam wręczył im bilety na przejazd do Paryża. Kapitana Bertranda tam nie zastali; w tym czasie tropił on ślady Luca i jego ludzi po całej Rumunii. Trzema Polakami zajął się jego zastępca, kapitan Louis. Tyle - z relacji Rejewskiego.

Po wojnie Bertrand tak opisał te epizody w swoim pamiętniku:

„Ale co się stało z Lucem i jego ekipą, jego urządzeniami? Trzeba ich koniecznie ratować, choćby ze względu na przyjaźń, ale jednak i z wyrachowania, tym bardziej że, jak słyszę, interesuje się nimi także Intelligence Service”.

I dalej o szczęśliwym zakończeniu: „Poszukiwania rozpoczęły się 18 września, aby się zakończyć 1 października z chwilą przybycia do Paryża, bądź Orient-Expressem, bądź specjalnym samolotem, Luca i całej piętnastki z jego ekipy... tych najlepszych. Odnaleziono ich w rumuńskim obozie Kalimanesti błyskawicznie zorganizowano ucieczkę; był to prawdziwy wyścig z Intelligence, której bardzo na nich zależało”.

Bertrand wyraźnie był ucieszony przybyciem Polaków:

„Zdołali uratować dwie maszyny, zaś reszta została bądź zniszczona, bądź przed Niemcami zabezpieczona, tak że Niemcy nie będą uważali za potrzebne cokolwiek w swoim systemie zmieniać”.

Kończąc Bertrand tryumfalnie stwierdził:

„A zatem mój S.R. powiększy się o 15 Jednostek (przez duże J - przyp. S.S.W.), co stanowi odpowiednik potencjału o wartości nieocenionej”.

Tak też przedstawił sprawę swojemu przełożonemu, pułkownikowi Rivet, szefowi „5.Bureau” francuskiego sztabu generalnego.

„Żółte kartki”.

Mianowany majorem, a nieco później pułkownikiem, Bertrand dwoił się i troił w pierwszych dniach wojny. Szermował argumentami w różnych kierunkach jednocześnie. Przede wszystkim już na początku września 1939 roku wyjednał w sztabie przydzielenie mu jako szefowi radiowywiadu i dekryptażu wygodnej siedziby w miejscowości Vignolles na północny wschód od Paryża. Ośrodek ten miał otrzymać kodową nazwę „P.C.Bruno”. Rzutki organizator Bertrand postanowił zaprząć tam do roboty coś w rodzaju „trustu mózgów”. Bynajmniej nie lekceważąc zdolności swoich rodaków, kryptologów i w ogóle specjalistów francuskich, uważał ich udział za niedostateczny. Marzyła mu się współpraca z ludźmi o umysłowości szerszej, a odrębnej, przy tym już od dawna znającymi charakter, mentalność i techniczne nawyki przeciwnika. A więc najpierw zatroszczył się o kryptologów hiszpańskich z rozbitej przez generała Franco dawnej armii republikańskiej. Należało ich szukać w rozlokowanych na terenie Francji obozach dla internowanych Hiszpanów. Jeszcze bardziej pożądanymi byli Polacy z ekipy podpułkownika Langer. Ci pierwsi, czyli Hiszpanie, mieli już do czynienia z kodami hiszpańskimi, włoskimi i niemieckimi, no a drudzy - wiadomo: w swojej Warszawie złamali sekret Enigmy, a niezwyklej pomysłami w zakresie odnajdywania kluczy i nastaw Enigmy zadziwili i jego samego, i Anglików.

Podarowaną mu polską maszynę pułkownik Bertrand kazał szczegółowo zbadać, opisać i rozebrać na części składowe. Niektóre z nich osobiście przekazał do skopiowania zaprzyjaźnionemu technikowi, pracującemu w pewnej fabryce maszyn do szycia. Inne części składowe polskiej Enigmy, jak jej elementy elektrotechniczne czy choćby klawiaturę, w tym samym celu przekazano warsztatom tak samo nieświadomym, czemu zamówione detale mają służyć. Bertrand zatroszczył się również o wykonanie kompletów „płacht”, których stosowanie - z braku polskiej „bomby” - uważał za jedynie skuteczną metodę określania zmiennych niemieckich nastaw w Enigmie.

Nie tajone pragnienie pozyskania dla „trustu mózgów” kryptologów z Polski Bertrand wyrażał przy okazji radiowych porozumień słowami: on vous attend. Tak wzywając Polaków, jednocześnie przewidywał biurokratyczne opory związane z odnalezieniem i przydzieleniem do swego ośrodka kilku dawnych kryptologów ze sztabu hiszpańskiej armii republikańskiej. Siedmiu tych Hiszpanów najpierw przyjęto do Legii Cudzoziemskiej, a następnie przydzielono do ośrodka „P.C.Bruno”, gdzie utworzyli „Ekipę D”.

Po odniesieniu zwycięstwa nad wszelakimi czynionymi mu oporami. i nad wojskowym - nie znoszącym wyjątków - regulaminem, Bertrand przeżywał okres wielkiego niepokoju o losy podpułkownika Langer i jego znakomitej ekipy. Już po tygodniu walk w Polsce można było przewidywać najbardziej dramatyczny przebieg niemieckiego Blitzkriegu nad Wisłą. W związku z tym było jasne, że Francja i Anglia same staną oko w oko z przeciwnikiem, który poczuje się zabezpieczony od wschodu. „W takiej sytuacji - myślał Bertrand - trzeba ocalić w pierwszym rzędzie Polaków, którzy naukowo i praktycznie zdołali wypracować oręż potężny, jakim jest wiedza o nieprzyjacielu”.

Przypominał sobie magistrów Rejewskiego i Różyckiego, demonstrujących tajemnice polskiej Enigmy oraz magistra Zygalskiego, objaśniającego zasady działania „bomby” i „płacht”. Takich, jak oni, chciałby jak najszybciej mieć u siebie. Po prostu drętwiał na myśl, że mogliby się znaleźć w rękach niemieckich. Na domiar złego montaż paru francuskich, wzorowanych na polskiej, Enigm szedł jakoś zbyt marudnie, od 10 września próby wywołania Polaków przez radio rezultatów już nie dawały,

tymczasem Niemcy zmieniali w swoich Enigmach kolejność aż pięciu bębenków, czyli walców, z czym francuscy kryptolodzy nie mogliby sobie poradzić.

Pocieszał się tym, że na razie dzieje się podobnie u Anglików, skoro komandor Denniston nagle zwrócił się telefonicznie do kapitana Braquenié z prośbą o podanie mu imion i nazwisk tych polskich kryptologów, z którymi zetknęli się w ośrodku pod Warszawą.

„Anglicy zaczynają polowanie na moich Polaków” - zorientował się wówczas Bertrand. „I wiem, gdzie będą ich szukali. Muszę być pierwszy” - postanowił.

Tak więc w parę godzin po nadejściu telegramów o schronieniu się polskiego Sztabu Głównego w Rumunii, ruszył w drogę i sam Bertrand. Do francuskiej ambasady w Bukareszcie dotarł w dniu, w którym trzej polscy kryptolodzy już rozpoczęli podróż do Francji. Pozostawało uprzedzić o ich przyjeździe kapitana Louisa w Paryżu, odszukać resztę polskiej ekipy i wyprawić specjalnym samolotem do Francji pułkownika Langerę i majora Ciężkiego, posiadaczy dwóch ostatnich egzemplarzy polskiej Enigmy. Inni pracownicy ośrodka „BS-4” i warszawskiej AVA odjechali Nord-Expressem, a jeszcze innych, którzy do Francji udali się samodzielnie, odnaleziono w paryskich koszarach Bessières.

Ostatecznie polska grupa, zwana teraz „Ekipą Z”, sformowała się na nowo. Oprócz trzech kryptologów oraz szefa i jego zastępcy znaleźli się razem z nimi: inżynier Antoni Palluth i mechanik Edward Fokczyński, obaj z dawnej firmy AVA, kapitan Graliński i urzędnik cywilny Smoleński, oficerowie rezerwy Michałowski i H. Paszkowski, dalej Sylwester Palluth, B. Krajewski i Kazimierz Gaca. Po wcieleniu do Armii Polskiej we Francji zostali oni przydzieleni do S.R.

Château (Francuzi tak nazywają co bogatsze wiejskie siedziby), gdzie Bertrand instalował swój międzynarodowy „trust mózgów”, był obszernym piętrowym pałacem o wielu pokojach. Budynek główny stał w dużym parku z bramą, kordegardą, paroma domkami mniejszymi, nieodzownym stawem i sztucznymi grotami. Cała ta posesja, pilnie strzeżona przez oddział gwardii terytorialnej, stała się miejscem wytężonej pracy, a jednocześnie jakby internatem dla kilku Hiszpanów, kilkunastu Polaków i pół setki Francuzów. Wkrótce dołączył do nich oficer Intelligence Service, kapitan Macfarlan, któremu zapewniono bezpośrednią łączność z Londynem i główną kwaterą wojsk brytyjskich w Arras we Francji. Brytyjczyka od razu przezwano „Pinky”, a to z powodu oblicza przypominającego zawsze różowy goździk. Przez jakiś czas korzystała z nasłuchu i namiarów ośrodka „Bruno” ekipa francuskiej l'Armée de l'Air, czyli Armii Powietrznej.

Pinky przywiózł sporo interesujących wiadomości. Rozejrzawszy się po okolicy, mówił:

- Jest tu ładniej i daleko przyjemniej niż w Bletchley.

- Gdzie? - zapytali Polacy. - Co to za Bletchley?

Szkot rozgadał się:

- Takie małe miasteczko na północ od Londynu przy szosie i linii kolejowej. Niektóre działy naszego S.I.S. przeniosły się tam zaraz po wybuchu wojny. Brzydki dom, ponure baraki, no i typowo angielska pogoda. Wolę pracować tutaj, a zawdzięczam to naszemu ambasadorowi w Bukareszcie.

- Zaprotegował pana?

- O nie, ale przegapił was, Polaków. Francuzi byli szybsi, więc znaleźliście się nie w zadeszczonej Anglii, tylko w słodkiej Francji, a ja z wami.

Ośrodek „P.C.Bruno” stał się dyspozycyjną centralą całego francuskiego wywiadu radiowego, a więc nasłuchu, namiarów, współpracy z nasłuchami Armii Powietrznej i sztabu wojsk lądowych, a przede wszystkim dekryptażu, którym zajmowała się polska „Ekipa Z”, prawdziwe oczko w głowie szefa.

Jednakże i Polacy ze swej strony podziwiali energię i obrotność ich opiekuna, który tak niepozornie wyglądał, szczególnie w ubraniu cywilnym, a przecież był organizatorem z urodzenia. Trapiły go niepominięnie wszelkie opóźnienia, gniewała francuska lekkomyślność.

- Luc - oświadczył po paru tygodniach Langerowi - być może już wkrótce będziemy montować nasze polsko-francuskie Enigmy. Pierwsza partia detali jest w drodze... Podobno...

- Luc - mówił po kilku dniach - wasze rysunki, opisy i schematy zostały przyjęte. Nareszcie!

W komplementach wtórował mu kapitan Braquenié, który właśnie powrócił z Anglii.

- Denniston i Knox wiele wam zawdzięczają. Po prostu daliście angielskim specjalistom impuls. Najpierw tak jak my przystąpili do rozmnożenia waszej Enigmy.

Z dalszego opowiadania kapitana wynikało, że Anglicy działają energiczniej niż Francuzi. Nie tracą czasu. Przedmiotem szybkiej selekcji są tam radiodepesze, odbierane na różnych częstotliwościach i

zakresach, z różnych kierunków i o kodach lub szyfrach odmiennych. Wybór żądanych informacji nie wymaga żmudnego wertowania jakiejś kartoteki czy katalogów.

- Poza tym - mówił dalej Braquenie - Anglicy budują własną „bombę”, ale najwidoczniej ulepszają to, co podpatrzyli w Warszawie. Tam w Bletchley robota idzie na całego, pieniędzy nie żałują. Zatrudnili armię specjalistów, a poza tym wiele dziewcząt do prac pomocniczych. Masowo wykonuje się komplety perforowanych „płacht Zygalskiego”. Umówiłem się tak: będziemy im dawali przechwytywane u nas depesze Kriegsmarine i Luftwaffe, oni zaś będą nam dopomagali swoją produkcją, szczególnie „płachtami”.

Wykrycie lipcowych modyfikacji niemieckiej Enigmy było pierwszym i głównym zadaniem polskich magistrów. Wreszcie, było to o świcie 28 października 1939 roku, do pokoju, w którym spali Langer i Ciężki, wszedł Różycki. Wyglądał na okrutnie zmęczonego i nawet chwiał się na nogach. Przesunął jakieś krzesło na środek, usiadł i głośno zawołał:

- Pobudka! Wstawać! „Allons enfants de la Patrie!” „Jeszcze Polska nie zginęła!” Hip-hip-hurral

Zbudzeni oficerowie zerwali się z łóżek.

- Co jest? - zapytał Langer. - Zwariowałeś?

- Sensacja, panie pułkowniku. Mamy ich! Złapaliśmy!

Ponieważ w „P.C.Bruno” stale obawiano się niemieckich dywersantów, więc pytanie majora Ciężkiego tyczyło właśnie ich.

- Niemcy? Ilu schwytano?

- Mamy ich wszystkich, panie majorze, w garści - tryumfalnie odrzekł Różycki. I powoli wyjaśniał:

- Wykryliśmy, na czym polegały zmiany. Niemieckie Enigmy już do nas gadają. Pod sam koniec mojego dyżuru. Zaraz posłałem po Mariana. Przyszli obaj z Zygalskim. Jak zawsze najpierw mi nie wierzyli, bo to są nieufne poznaniaki, ale po sprawdzeniu kazali iść do panów. No i jestem, panie pułkowniku. Ledwie się trzymam na nogach, ale jakoś doszedłem...

Langer już narzucał płaszcz na piżamę.

- Trzeba obudzić Bolka - powiedział szybko, wychodząc i nie zwracając uwagi na Różyckiego, który zwał się na jego łóżko.

Widziano obu pułkowników, jak razem odwiedzili Rejewskiego i Zygalskiego przy robocie. Następnie wezwano kapitana Macfarlana, a potem Bertrand tak jak był, nie ogolony i bez śniadania, odjechał do Paryża.

W godzinę później o złamaniu nowych tajemnic niemieckiej maszyny szyfrującej wiedzieli już szefowie wywiadów francuskiego i brytyjskiego. A w grudniu Bertrand i Langer wyprawili się do Anglii w celu nawiązania jeszcze ściślejszej współpracy pomiędzy „P.C.Bruno” a „Ygrekiem” czy „Ypsilonem”, bo placówkę S.I.S. w Bletchley przezwano kodową nazwą „Y”. Zgodzono się tam pracować w poolu, czyli na współpracę kompletną w zakresie przechwytywania niemieckich depesz i szybkiej wymiany osiągniętych rezultatów. Uregulowano wzajemne przekazywanie sobie kluczy teleksem lub przez radio, rzecz jasna w sposób zakodowany.

Tymczasem nieco powiększono liczbę Enigm montowanych w „Ekipie Z” pod nadzorem inżyniera Pallutha i mechanika Fokczyńskiego. I nadal szła praca, zresztą coraz bardziej pasjonująca. Wysunięte na wschód francuskie stacje nasłuchowe w Metz, Strassburgu i Miluzie przekazywały ośrodkowi „P.C.Bruno” dalekopisami przechwytywane radiogramy, które tu należało rozszyfrować. Trzeba dodać, że teraz niemieckie Enigmy armijne, korpusowe i dywizyjne zmieniały klucze i nastawy każdego dnia w pierwszych minutach po północy, co wymagało szybkiej interwencji trzech polskich kryptologów. Deszyfrantów brakowało. Francuzów trzeba było dopiero teraz szkolić, więc żmudne odczytywanie depesz obciążało Polaków dodatkowo. Nierzadko ich dzień pracy trwał od południa do godziny 6-7 rano dnia następnego.

Dwa wyróżnienia przerwały monotonię tych robót. Pewnego dnia na nazwisko kryptologa Zygalskiego nadeszła skrzynka, zawierająca 60 kompletów wykonanych fabrycznie „płacht” oraz krótki list: Thanks to Poles z podpisem Knoxa. W ten sposób genialny i sympatyczny Dilly Knox przyznawał honor pomysłowi Zygalskiego i - w ogóle Polakom.

Inna decyzja przysporzyła pracy Zygalskiemu i Różyckiemu gdyż francuski sztab generalny zwrócił się do magistra Rejewskiego z prośbą o sporządzenie tajnego szkolnego skryptu na temat „Metody rozwiązywania szyfrów”. Zajęło to Rejewskiemu sporo czasu i na pewien okres wyłączyło go z zajęć praktycznych.

Natomiast ulgę przyniosła łączność dalekopisowa pomiędzy „P.C.Bruno” a ośrodkiem „Y”, czyli Barakiem nr 3 w Bletchley w Anglii. Kto pierwszy rozwiązał aktualny w danym dniu klucz szyfru

niemieckiego, ten zawiadamiał partnera natychmiast. W ten sposób unikało się dublowania tych samych prac. Wkrótce strona brytyjska zwróciła uwagę na pewną właściwość trzyliterowego kodu, używanego coraz częściej przez sztaby Luftwaffe do łączności z eskadrami myśliwców i bombowców. Kod był nieprzejrysty, a występujący w nim układ liter zmieniał się co 24 godziny. Otóż Brytyjczycy mocując się z tym kodem zauważyli, że litery jego nie są zmieniane dowolnie.

„Zwróćcie uwagę: jeśli »a« zamienia się w »p«, to jednocześnie »p« zastępowane jest w innym miejscu przez »a«”.

- Mielśmy już z tym objawem da czynienia w początkach pracy nad szyfrem maszynowym, jeszcze w roku 1932, pamiętacie? - zwrócił się Rejewski do kolegów.

- Odpowiemy Anglikom? - zapytał Zygański.

- Kod ma coś wspólnego z połączeniami wtyczkowymi Enigmy. Knox to zrozumiał: Można mu napisać, że chodzi tu o zasadę wzajemności.

Strona angielska zwróciła uwagę na ów trzyliterowy kod lotniczy całkiem słusznie, gdyż z nadejściem wiosny należało się spodziewać rosnących na sile nalotów Luftwaffe. Bertrand również interesował się przede wszystkim radiodepeszami lotniczymi.

- Po pierwsze - mówił na odprawie - mamy w eterze szczególne zagęszczenie wzajemnych połączeń między sztabami lotniczymi lub połączeń jednostek i sztabów Luftwaffe z niemieckimi dowództwami w ogóle. Już sama ilość tego materiału stwarza więcej możliwości przy ustalaniu kluczy. Poza tym niemieckie armie lądowe stosują łączność drogową, do której nie mamy dostępu. A po trzecie - to właśnie wgląd do depech radiowych Luftwaffe przynosi nam stosunkowo najwięcej wiadomości także o Wehrmachcie, nieprawdaż?

- Muszę dodać - odezwał się Rejewski - ze wszystkiego widać, że od lutego Luftwaffe wprowadza do służby coraz więcej maszyn Enigm i szkoli coraz więcej operatorów. Słyszymy ich ćwiczebne rozkazy. Mam nadzieję, że już zwrócono uwagę na to w ośrodku „Y”.

Razem z wczesną i piękną francuską wiosną 1940 roku mnożyć się zaczęły wieści o koncentracjach niemieckich armii i rosnącym pogotowiu flot powietrznych marszałka Goeringa. Jednym z najbardziej obfitych źródeł informacji była „Source Z”, czyli „Źródło Z”, nazwane tak na cześć polskiej „Ekipy Z”, która skutecznością swojej pracy spełniała wszystkie nadzieje Bertranda. Wiadomości uzyskane w „P.C.Bruno” natychmiast drukowano na jasnożółtych kartkach z napisem „Source Z” oraz datą i godziną, po czym dostarczano je natychmiast do Kwatery Głównej naczelnego dowództwa oraz do ministerstwa wojny i do Londynu. O to, skąd i w jaki sposób uzyskano te wiadomości, nikt nie miał prawa pytać: odpowiadał za „Source Z” pułkownik Bertrand osobiście.

Nie podobało się to sztabowcom, najczęściej przemądrzałym i skłonny do ironizowania; poza tym odgrywały tu rolę laickie nieufności do kryptologów, a także zwykłe ludzkie zawiści. Tak czy inaczej, naczelną wódz generał Gamelin nie zdawał się przykładac specjalnej wagi do „żółtych kartek”, choć przecież ich analiza rysowała coraz pełniejszy obraz przyszłego niemieckiego ordre de bataille. Zapewne żaden z naczelników wodzów nie otrzymywał tak dokładnych i aktualnych meldunków o zamiarach nieprzyjaciela, jak właśnie generał Gamelin we Francji w roku 1940. Jednakże generał nie zgadzał się z tym, o czym już świadczyć zaczynały „żółte kartki”. „Niemcy - zdaniem generała - nie przejdą swoimi pancernymi dywizjami przez wąskie i lesiste drogi w Ardenach, bo i on sam - na ich miejscu - nigdy by czegoś takiego nie zaryzykował”.

Naczelną wódz przypominał sobie o „P.C.Bruno” bynajmniej nie z powodu pierwszych sygnałów o zamierzonej przez Hitlera napaści na Norwegię, a przy okazji - także na Danię.

Wiadomość o spodziewanej wizytacji zaskoczyła pułkownika Bertranda pewnego sobotniego popołudnia w kwietniu roku 1940. Trzeba było czym prędzej uprzedzić oddziałek gwardii terytorialnej, zarządzić przegląd ogólny ośrodka i zmienić robocze stroje na mundury oficerskie. Zaledwie się jako tako przygotowano do przyjęcia dostojnego gościa, a już przy kordegardzie w bramie parku pojawiły się dwa wspaniałe samochody, przed którymi warta prezentowała broń.

Wysiadającemu przed pałacem Naczelnemu Wodzowi meldował się pułkownik Bertrand, nastąpiła krótka rozmowa, po czym generał zapytał o... Popo.

Ów Popo, ulubieniec generała, był niezbyt udanym mieszańcem dwóch znakomitych psich rodów. W paryskim gabinecie Naczelnego Wodza czuł się bardzo źle, a poza tym skakał do tydek i spodni każdego, kto zaryzykował przed generałem stanąć. W sztabie zapadła decyzja: pieskowi należy się wiejskie powietrze i w ogóle trzeba mu zmienić otoczenie. Któryś z usłużnych adiutantów podpowiedział adres pięknie położonego Château de Vignolles, a drugi adiutant zapewnił, że pod tym względem można pułkownikowi Bertrandowi zaufać - tam psu będzie dobrze...

Teraz Popo obskakiwał generała. Na trawniku przed pałacem odbyła się rozmowa na dwa tematy: psa Popo oraz „P.C.Bruno”. Kiedy okazało się, że Popo ma wspaniały apetyt, nikogo jeszcze w Vignolles nie ugryzł, a najlepiej się czuje w towarzystwie niejakiego Pigala, największego wśród gwardzystów niedołęgi, wesoła rozmowa weszła na tory poważniejsze.

- A więc - powiedział udobruchany generał - to jest sławetne „Bruno”. Nazywają pana przeorem klasztoru „brunistów”. Ile jest w tym prawdy?

- Trzeba by zapytać o to Popo, on już tu wszystko wie - dość zuchwale odrzekł pułkownik.

- Ale skąd sama nazwa? Od świętego Brunona, czy od Giordano Bruno? - indagował Gamelin. - Chyba od świętego, bo nie mógł się obejść bez niego nawet sam papież Urban II - zażartował towarzyszący generałowi szef sztabu.

- Ależ nie, to raczej od Giordano Bruno, którego za herezję spalono na stosie - przekomarzał się inny wyższy oficer.

- No więc jak, Bertrand? - zapytał generał, ale od jakiejś odpowiedzi uwolnił pułkownika sam Popo, który radośnie szcękając pognał do swojego przyjaciela Pigala w kordegardzie.

Wszyscy patrzyli na ten bieg z rozczuleniem.

- Dziękujemy panu, drogi pułkowniku - powiedział spokojny już o swego ulubieńca Gamelin i ruszył do samochodu.

Dzień ów przyniósł jednakże sensacje poważniejsze. Otóż brytyjski ośrodek powiadomił, że ulepszona angielska wersja „bomby”, po długich nad nią zabiegach, nareszcie wydała trzy pierwsze westchnienia. Dopomogły one Anglikom w samodzielnym rozwiązaniu klucza i nastaw Enigmy. Dumny z pierwszych osiągnięć swojej maszyny Knox raz jeszcze dziękował Polakom za ideę, którą mu poddali, a przytaczając dwie krótkie odszyfrowane depesze, niejako się sumitował:

„Chodzi mi o radosny fakt, że nasza maszyna zaczęła działać, a nie o samą treść paru radiogramów, które właściwie nie mają znaczenia”.

Po wspólnym odczytaniu angielskiego przekazu dwaj Polacy spojrzeli po sobie.

- Jak to, nie mają znaczenia? - zapytał Zygalski podkreślając ołówkiem słowo, które znalazło się w obu przejętych pod Londynem depeszach - zaraz na początku każdej z nich.

- Coś szczególnego - przyznał mu rację Różycki. - Zaraz pokażemy to Rejewskiemu, co? Rzecz polegała na tym, że przekazane z Anglii niemieckie depesze, choć dotyczące spraw personalnych i materiałowych, oznaczone były zaszyfrowanym hasłem „gelb”, podobnie jak niektóre radiogramy, które ostatnio odszyfrowano w „Ekipie Z”. Na ten fakt zwrócono uwagę dopiero teraz. Ponowne zbadanie dekryptażu z ubiegłych tygodni musiało doprowadzić do wniosku, że całość niemieckich rozkazów i meldunków można było podzielić na dwie części: na razie nieliczną z hasłem „gelb” i drugą - bez tego hasła.

- Jasne, ten „gelb” jest kodem, którym sygnuje się tylko pewne rozkazy i meldunki specjalne, a charakter ich wiąże się z pogotowiem operacyjnym. W kampanii polskiej Hitler użył kodu „Fall weiss”, a dawniej był „Fall grün”, więc przeciwko nam chyba „gelb” - orzekł Bertrand.

Wszakże do tego czasu radiogramy o hasle „gelb” raczej tonęły w powodzi komunikatów innego rodzaju. Maszyny „Ekipy Z” przez długi czas informowały o wielkich i mniejszych jednostkach wojskowych na terenach Trzeciej Rzeszy i w krajach okupowanych, jak Austria, Czechosłowacja czy Polska. Były to komunikaty: o wykładach w Luftkriegsakademie, o zaopatrzeniu wojsk i stanie dróg, o parkach samochodowych i służbach inżynierskich, o łączności i pracy Abwehry, a nawet o biurach paszportowych w Czechosłowacji. Poza tym od dnia 9 kwietnia, kiedy rozpoczynała się starannie przygotowana niemiecka inwazja na Danię i Norwegię, nieomal wszystkie przechwytywane radiogramy wiązały się z tą operacją. Na pewien czas kodowy sygnał „gelb” zniknął z nasłuchu.

Nieco przeszkoleni Francuzi już mogli dopomagać w dekryptażu nowej fali radiogramów. Załoga „P.C. Bruno” dowiadywała się teraz o sytuacji nieprzyjaciela, o pozycjach wojsk alianckich, określanych jako „Feindlage” oraz o niemieckich rozkazach do natarcia („Einsatzbefehl”). Bez przerwy płynął potok meldunków typu: „Tagesmeldung”, „Aufklarungsergebnisse”, „Gefechtsbericht” albo „Einsatzbereitschaftsmeldung”, z których między innymi dowiadywano się o stosowaniu bomb o ciężarze tysiąca kilogramów.

„Ekipa Z” była z niemiecką nomenklaturą oswojona od dawna, ale przydanych jej do pracy Francuzów wprawiała w stan protestu. Męcząc się nad długością i znaczeniem tych „nadrzeczowników”, młody francuski adept sztuki dekryptażu wykrzykiwał:

- Chcieliby zmusić nas do posługiwania się takimi tasiemcami. Jamais de la vie! Za nic.

- Mają także krótkie słowa - na powitanie: Hände hoch, na tramwajach napisy: nur für Deutsche, a na obozowych bramach: Kraft durch Freude - odrzekł mu ponuro Zygałski.

Polskie nastroje nie były dobre. Robota robotą, no i rósł szacunek dla mianowanego już pułkownikiem szefa, ale na ogół wszyscy Polacy, którzy znaleźli się we Francji, w szeregach polskiego wojska czy w pracy sztabowej, z trudem ukrywali niepokój tak o losy tego kraju, jak i Polski.

Już sam motyw krótkiej wizyty generała Gamelin w centrali nasłuchu i dekryptażu mógł służyć za ilustrację owej drôle de guerre, jak sami Francuzi określali swój udział w wojnie antyhitlerowskiej. Posiadając ogromne środki materialne nie byli przygotowani ani psychicznie, ani organizacyjnie. Ciężki i biurokratyczny aparat dowodzenia działał tak ślamazarnie, że niejedna „żółta kartka”, choćby wyprzedzająca wypadki o parę dni, często stawała się przysłowiową musztardą po obiedzie. Nawet wyprodukowane w tysiącach czołgi oczekiwały na to, aż zaczną funkcjonować komisja odbioru. I tak dalej...

Bertrand i Langer nieraz o tym rozmawiali. Pułkownik Bertrand pocieszał się:

- Na razie ogół naszego mieszczaństwa żyje iluzjami. Ludzie sądzą, że wojna toczy się tylko o wasz Gdańsk, że Hitler nigdy się nie odważy bombardować Paryża, że za Linia Maginota Francja jest całkiem bezpieczna i że lepiej pertraktować niż walczyć orężem. Ale mam nadzieję, że kiedy te iluzje prysną, wszystko się odmieni, wierzę w ducha tej lepszej Francji...

Nasłuchy dni następnych nie wróżyły nic dobrego. Akcjom improwizowanym przez aliantów w Norwegii przeciwstawiali Niemcy szczegółowo opracowane, pełne inicjatywy i przewidujące każdy drobny działani. „Ekipa Z” mogła to stwierdzić codziennie odbierając i depeszując dyspozycje Oberkommando Wehrmachtu nawet co do ustanowienia cenzury w Danii i Norwegii, a także - prócz rozkazów bojowych - komunikaty centralnej stacji WEWA, co w skrócie oznaczało Wetterwarte, a więc służbę meteorologiczną, która podawała meldunki z podstacji w Stavanger, Trondheim, Bergen i dyrekcji w Oslo. Nazwa tego komunikatu wprawiała Francuzów w osłupienie.

- Co oni zrobili z językiem Schillera i Goethego? - dziwili się.

- Nie tylko z językiem - dodawał Zygałski. Wetternachrichtenbetriebsstelle - Francuzi sylabizowali to z wielkim trudem i wciąż jeszcze na wesoło, poważniejąc dopiero przy dekryptażu rozkazów bojowych, szczególnie każdego rozkazu dla lotnictwa, czyli „Luftflottenbefehlu” zezwalającego na „wolne polowanie” piratów lotniczych w danym sektorze lub zawczasu zapowiadającego „misję specjalną”, a więc „Sonderunternehmung” lub krótki a złowieszczy sygnał „Stukas-Angriff”. Liczba tego rodzaju sporadycznych akcji wciąż rosła. Na razie Luftwaffe starała się niszczyć głównie elektrownie oraz węzły kolejowe, przy okazji badając stan pogotowia i reakcji francuskiego lotnictwa myśliwskiego.

Gdyby francuskie dowództwo wyciągnęło właściwe wnioski z dostarczanych przez „Źródło Z” „żółtych kartek”, to już na parę tygodni przed początkiem wykonania „planu gelb” wnioski te musiałyby brzmieć tak:

1. Hitler dysponuje siłą 140 dywizji, w tym 10-12 pancernych,
2. w pierwszym rzucie Hitler użyje ponad 100 dywizji, w tym 10 pancernych,
3. wycofywanie z Belgii i Holandii agentów Abwehry, dotychczas zakamuflowanych tam na różnych stanowiskach, wskazuje, że neutralność tych krajów będzie naruszona (sygnalizowano o tym już 20 kwietnia),
4. analiza dekryptażu z 1 maja świadczyła, że niemieckiej ofensywy na Belgię i Holandię, a przez Ardeny na Sedan i południową Francję, należy spodziewać się w dniach 8-10 maja. Według rozkazów niemieckiego naczelnego dowództwa, cała ta operacja ma być zakończona w ciągu 10 dni, a zmuszenie Francji do kapitulacji - w ciągu miesiąca.

Takie były w początku maja wnioski pułkowników Bertranda i Langer, ale najwidoczniej spoczęły one w sztabowych teczkach jako zbyt nietaktownie mieszające się do problemów wysokiej strategii. Gamelin nie przewidywał, a Niemcy o tym wiedzieli, uderzenia broni pancерnej przez Ardeny na Sedan. Na konferencji u generała Gauche, szefa biura studiów i wywiadu, francuscy i angielscy oficerowie służb wywiadowczych trafnie przewidzieli dzień 10 maja jako początek operacji „gelb”, ale głównego kierunku ofensywy nie zdołano, czy też nie ryzykowano, określić.

Tak nadeszła godzina 5.45 dnia 10 maja 1940 roku, a później w słuchawkach zabrzmiał głos Hitlera: „Żołnierze frontu zachodniego. Godzina rozstrzygającej walki nadeszła” - rozpoczął się patetyczny rozkaz fűhrera.

Zaraz na początku nowej fazy wojny pułkownik Bertrand ściągnął do Paryża wysunięte placówki nasłuchu oraz całą załogę z Château de Vignolles. W ciągu jednego dnia wszystkie maszyny i

urządzenia znalazły się na nowym miejscu. Robota nad materiałem dla kartek z napisem „Source Z” odbywała się teraz w pomieszczeniach długiego trzypiętrowego budynku pod numerem 2 bis przy avenue Tourville w pobliżu pałacu Inwalidów i stacji metra „École Militaire”. Rozpoczął się okres pracy gorączkowej i absorbującej całą załogę, pracy na trzy zmiany, bez wytchnienia i w ciągłym pogotowiu. Kiedy wymagała tego sytuacja, rezygnowano ze snu i wypoczynku.

Pułkownik Bertrand pamiętał o wszystkim i wszystkich. Rozlokował swoich ludzi, zapewniając im na miejscu całodienne utrzymanie. Co rano troszczył się o jak najszybsze przesyłanie Anglikom zmian w kluczach i nastawie. Pilnował błyskawicznej ekspedycji „żółtych kartek” do zainteresowanych sztabów. Nie zapomniał i o piesku Popo, odsyłając go z powrotem do generała. Pośród nawału zajęć znalazł jednak czas, żeby Polakom, zatroskanym o losy pozostawionych w kraju rodzin, przekazywać informacje, które zdobywał wiadomym tylko sobie sposobem.

- Moja fabryka musi iść! - mawiał w przelocie. I szła rzeczywiście. Kiedy w dniu 20 maja wszystkie niemieckie Enigmy przeszły na nowe walce, trzech polscy kryptolodzy - po iście morderczych wysiłkach - rozwiązyali swe zadanie tegoż dnia.

W dramatycznych tygodniach maja i czerwca 1940 roku oba dowództwa, francuskie i angielskie, nareszcie oceniły wartość informacji zawartych w „żółtych kartkach” z napisem „Source Z”. Stało się to dlatego, że zarówno polska Enigma we Francji, jak wzorowana na niej brytyjska zaczęły odbierać między innymi codzienne meldunki wszystkich niemieckich armii oraz ich grup, kierowane do naczelnego dowództwa Wehrmachtu. Niezależnie od tego, trwał dekryptaż meldunków Luftflotte 2. i 3. o zniszczeniach dokonanych w Holandii, Belgii i na północy Francji. Podawane fakty sprawdzały się już następnego dnia. Wobec tego nareszcie zaufano ekipie pułkownika Bertranda i jego „żółtym kartkom” - co prawda o wiele za późno - i w nich zaczęto szukać pomocy. I już było wiadomo, że dowódca grupy armii A, generał Rundstedt, uderza siłą 45 dywizji, w tym kilku pancernych, w kierunku Sedanu, a dowódca grupy armii B, generał Beck, ma opanować Holandię i Belgię siłą 25 dywizji.

Francuscy generałowie i pułkownicy z naczelnego dowództwa i sztabu generalnego sami czekali teraz na owe „feuilles jaunes” u wejścia do pomieszczeń, w których odbywał się dekryptaż. Niektórzy nawet nocowali w gmachu, aby tylko otrzymać je do rąk jak najprędzej.

- Bywało całkiem zabawnie - wspomina Rejewski - z gotową „żółtą kartką” uchylam drzwi, a już wyciąga się po nią ręka warującego za drzwiami jakiegoś pułkownika.

Rozpadanie się sojuszniczych frontów uniemożliwiło w powstającym chaosie dotychczasową łączność, więc odszyfrowywane poszczególne meldunki i rozkazy niemieckich generałów, a niekiedy niemieckiego naczelnego dowództwa, pozwalały im ustalać sytuację i w związku z nią na szukanie nowych rozwiązań.

Uczestnicy tamtej toczonej w gabinetach dekryptażu „wojny mózgów” zapamiętali tylko niektóre z ogromnej ilości przechwyconych wtedy radiogramów. Na przykład dnia 14 maja generał von Brauchitsch z Oberkommando des Heeres przez Enigmę rozkazał generałowi Reichenau nacierać dalej na północ. Dnia następnego potężny pancerz niemiecki przebił francuską obronę pod Sedanem. 16 maja korpus pancerny z frontu belgijskiego otrzymał rozkaz rozszerzenia przełomu pod Sedanem.

Dnia 23 maja odebrano i rozszyfrowano, zarówno w Paryżu, jak i w Bletchley, rozkaz von Brauchitscha do obu grup armii A i B, aby z całą energią dalej wykonywały manewr okrążający. Prawdopodobnie ten właśnie rozkaz spowodował, że nowy premier Wielkiej Brytanii, Churchill i naczelny dowódca brytyjskich sił we Francji, generał Gort - jednocześnie uznali za konieczne wycofać się z walki i ewakuować wszystko, co będzie możliwe, przez Dunkierkę z powrotem na Wyspę.

Pośród materiału, odebranego wkrótce potem w „Ekipie Z”, znalazła się też dramatyczna depesza dwu francuskich generałów, dowódców armii, do francuskiej Kwatery Głównej:

„Sygnalizujemy sytuację niezmiernie krytyczną: 23 wielkie jednostki częściowo rozproszone oraz sztabów korpusowych i 2 sztaby główne armii zagrożone otoczeniem, z tym że ponowne odejście i przywrócenie frontu jest niemożliwe. Masy uchodźców. Lotnicze bombardowania wszędzie, wszystkie połączenia telefoniczne przerwane. Zaklinamy o powiadomienie Naczelnego Dowództwa i Rządu. Sygnowano: Conde i Bourret”.

Dnia 26 maja „Ekipa Z” odebrała też coś zupełnie nowego, mianowicie pierwszy sygnał o zamierzonej akcji zakodowanej jako „Angriff Paula”. 29 maja potwierdzono, że połączenie się III grupy 20. eskadry bombowców jest możliwe nad miejscowością Saint-Marie o godzinie 13.00. 30 maja odszyfrowano aż sześć radiogramów w związku z akcją „Paula”. Dnia tego sztab niemieckiego 8. korpusu lotniczego wyjaśnił, że „Paula” oznacza Paryż. 31 maja i 1 czerwca uzgodniono, że eskadrę bombowców będą eskortowały 3 grupy myśliwców, poprzedzone samolotem zwiadowczym. Określono też kursy powrotne i cele, na które mają być zrzucone pozostałe bomby.

Dowódca francuskich sił powietrznych, generał Vuillemin, poinformowany przez pułkownika Bertranda o zamierzonym bombardowaniu Paryża, odrzekł:

- Nie mam stu samolotów myśliwskich wolnych, nie mogę огоłocić frontów...

Tak więc 3 czerwca na wielkie zakłady samochodowe Citroën i Renault spadło ponad tysiąc ton bomb. Zginęło 900 osób. Bezkarne...

Druga akcja „Paula” zapowiedziana była na godzinę 17.17 dnia 12 czerwca, tymczasem jednak już 10 czerwca rząd francuski opuścił Paryż. Pułkownik Bertrand pojechał więc do C.Q.G., czyli naczelnego dowództwa, bo przecież to jemu przede wszystkim służyć miał ośrodek „P.C.Bruno” z polsko-francuską „Source Z”, źródłem tak poważnych informacji.

Sztab nowego naczelnego wodza, którym był teraz generał Weygand, już nie rezydował w Paryżu. W drodze na południe Bertrand doświadczył ataku stukasów. Meldując się szefowi sztabu, pułkownik Bertrand powiedział:

- Podległa mi jednostka nasłuchu i dekryptażu oraz posiadana bezcenna aparatura nie mogą być narażone na niebezpieczeństwo. Mój poprzedni przełożony, nie znając sytuacji, zalecił mi zgłoszenie się po rozkazy do naczelnego dowództwa. Oto jest cel mojego przybycia.

Otrzymał odpowiedź krótką, a brzmiącą prawie po bohatersku:

- Generał Wódz Naczelny postanowił raczej zginąć na swoim posterunku, niż uciekać. Proszę działać stosownie.

Jednakże bliższe obserwacje świadczyły o czymś innym: przygotowania do dalszej ewakuacji Kwatery Głównej były już w toku.

W ogólnym chaosie, kiedy setki tysięcy ratujących się ucieczką ludzi tarasowały bombardowane przez niemieckie lotnictwo szosy i mosty, a przełożeni wojskowi nie panowali nad sytuacją, Bertrand, po powrocie na avenue Tourville, zapytał Langerę:

- Luc, czy tam u was też działo się coś podobnego?

Podpułkownik Langer skinął głową i odrzekł:

- Tak jest, ale chyba nie na taką skalę.

Z okien patrzyli na przesuwającą się ulicami rzekę samochodów i tamujące ruch, wyładowane ludźmi i dobytkiem wysokie dwukołowe zaprzęgi konne.

- W jaki sposób zdołałeś uratować swoich ludzi?

- Uznałem się sam za swojego dowódcę - odparł Langer - nie miałem innego wyjścia.

- Oświadczone mi, że nie mogą dostarczyć żadnych środków transportowych - poskarżył się Bertrand.

Wtem zaczął coś tam jękać dyżurujący w drzwiach gwardzista terytorialny Pigal. Znalazł się on w gmachu przy avenue Tourville razem z Popo, a po odwiezieniu pieska do generałostwa Gamelin - przykleił się do ochrony mniejszowej.

- Mon colonel - wyjąkał. - Ja bardzo przepraszam, ale powiem, co tu na dole gadali kierowcy. Wyniosłem im trochę żarcia, panie pułkowniku, bo przecież to także ludzie, jeszcze mi sierżant za to nawymyślał...

- Do rzeczy, Pigal. Co chciałeś powiedzieć? - zapytał Langer.

- A to, proszę panów pułkowników, że w parku samochodowym w Vincennes jest tego dobra wielkie mnóstwo. Najpierw wojsko rekwirowało, potem wszyscy puciekali, no a samochody zostały. Tylko wybierać! Tak powiadali...

Bertrand wezwał kierowcę, z którym natychmiast pomknęli do Vincennes. Istotnie, na olbrzymim placu zobaczono prawdziwe miasteczko różnego rodzaju pojazdów. Pułkownik wybrał wspaniały, nowiutki autokar turystyczny, a kierowca - piękną pięciotonówkę z kanistrami benzyny, o którą już było trudno. Na razie Bertrand zostawił tam własne auto.

Wkrótce do autokaru i na pięciotonówkę zaczęto ładować aparaturę i umieszczać ludzi. Bertrand raz jeszcze udał się do Vincennes. Powrócił swoim autem w chwili, kiedy podpułkownik Langer mógł go powiadomić, że wszystko jest gotowe, konwój może ruszać, a w biurach nie pozostał ani jeden szczątek papieru.

Dnia 14 czerwca, już daleko na południu kraju, po raz ostatni ustalono klucze i nastawy maszyny oraz zredagowano kilka „żółtych kartek”. Spalono część dokumentów.

Rankiem tego dnia niemieckie czołgi wjeżdżały na Pola Elizejskie. Następnego dnia Niemcy zajęli Verdun i wyszli na tyły Linii Maginota.

13 czerwca nowy szef rządu, marszałek Pétain, poprosił Niemców o zawieszenie broni, a 23 czerwca generał de Gaulle ogłosił w Londynie, że staje na czele Francuskiego Komitetu Narodowego i będzie prowadził walkę nadal.

Słuchając przez radio wezwania generała de Gaulle'a, nie tylko francuscy, ale i polscy członkowie „Ekipy Z” otrząsnęli się z rozpacz.

„Francja przegrała bitwę. Ale Francja nie przegrała wojny!” - wołał de Gaulle.

I dalej:

„Nic nie jest stracone, gdyż ta wojna jest wojną światową. Niezmierne siły wolnego świata jeszcze nie weszły w grę. Pewnego dnia te siły zdruzgoczą nieprzyjaciela...”

Było to już daleko na południu, 650 kilometrów od Paryża, pod miastem Agen nad Garonną.

- Polska też przegrała, nawet dwie bitwy, ale nic nie jest stracone - w zamyśleniu powiedział inżynier Palluth, a przytaknęli mu wszyscy.

Wobec warunków zawieszenia broni, a więc likwidacji wielu sztabowych placówek, pułkownik Bertrand zatroszczył się o trzy sprawy. Na ostatniej odprawie mówił do swoich ekip:

- Muszę natychmiast ewakuować do Anglii naszego brytyjskiego przyjaciela, kapitana Macfarlana. Muszę za wszelką cenę uratować od wpadnięcia w ręce nieprzyjaciela sojusznice ekipy „D” i „Z”. Francuzów już zwolniłem zobowiązując ich do zachowania tajemnicy służbowej. Muszę wreszcie spalić resztę mniej potrzebnych papierów i ukryć w absolutnie pewnym miejscu aparaturę oraz dokumentację zasadniczą. Jest pewne, że na terenie „Zone Libre” znajdą się wkrótce niemieckie komisje kontrolne. Tak więc, kochani moi, na razie musimy się pożegnać. Dear Pinky, ty znikasz pierwszy. Sam zawiozę cię do Cazaux, skąd dziś w nocy odlatuje ostatni samolot RAF. Powiedz tam swoim szefom: „Nie wolno dopuścić do ujawnienia wobec Niemców, że ich Enigma jest czytana”.

A teraz, Luc i wszyscy Polacy. Dziś przyrzeczono mi trzy samoloty, które jutro o świcie wystartują do Algieru. Dwa z nich - z lotniska Francazals koło Tuluzy, to dla was. „Ekipa D”, czyli wy, Hiszpanie, będziecie lecieć z przesiadką w Marsylii, bo nie mogę was narażać na lot nad Hiszpanią. Oto a wszystko... Hej, Pigal! - zawołał.

Wszedł najbardziej niedołączny z gwardzistów terytorialnych, Pigal. Dźwigał wiadra z lodem i butelkami szampana. Potem zniknął i powrócił ze szkłem, które poustawiał przed każdym z siedzących.

Wystrzeliły korki, trunek rozlano. Bertrand wstał, a za nim wszyscy.

- Je léve mon bol... - powiedział do Luca.

Miał w oczach łzy, ale opanowując wzruszenie nagle zawołał:

- Au revoir! Wierzę, że się zobaczymy! Tej bitwy nasze „żółte kartki” nie wygrały tylko dlatego, że nie umiano z nich korzystać. A przecież odszyfrowaliście ponad 15 000 radiogramów i wykryliście 141 kluczy. Wspaniała to była robota. Pinkyl Dostaliście znakomitą broń, wyzyskajcie ją należycie.

* * *

W książce swojej G. Bertrand zamieścił także wiele odszyfrowanych przez polską „Ekipę Z” niemieckich rozkazów bojowych i meldunków. Oto jeden z nich: rozkaz z dnia 28.V.40 wymieniający cele bombardowania lotniczego na terenie całej Francji.

20.) - OBJECTIFS de BOMBARDEMENT

(28.V.40) 4G4 1710 KR X Tle 5300

Vermerk: GEHEIME KOMMANDOSACHE KR

Ob.d.L. Fuehrungstab Ic.

Betr. Engpaesse der franzoesischen Flugzeugruerstungsindustrie.

1) - Um Paris.

a) - Flugmotorenwerke: 73 2 Gnome et Rhône, Gennevilliers.

73 4 Hispano Suiza C Colombes,

73 1 Gnome et Rhône Kellermann.
b) - Flugzeugaemter: 20 10 Nanterre,
20 89 St: Cyr
20 13-14 Villacoublay,
20 11-16 Orly.

2) - Im uebrigen Frankreich.

a) - Flugzeugmontagerwerke: 74 6 Breguet Nantes-Bougon (Herstellung von Morane 406),
74 17 Henriot Bourges (Herstellung von Henriot 220, Morane
406 Curtis-montage),
74 11 Bloch Châteauroux (Herstellung von Bloch 131.....
20 273 Châteaudun,
20 27-28 Romorantin,
20 24-25 Brie Orléans,
20 26 Tours,
20 48 Nantes, Château Bongon,
20 34 Rochefort,
20 39 Bordeaux,
20 42 Toulouse,
20 44-45 Marseille,
10 32 Caen - Carpiquet (britisches Hauptnachschieblager).
b) - Hauptinstandsetzungswerke: 20 46 Clermont'-Ferrand,
20 47 Bordeaux.

3) - Bereits angegriffene Luftzeugaemter im uebrigen Frankreich:

20 1-2 Reims,
20 3 Mourmelon,
20 21 St. Dizier-Robinson,
20 22 Nancy-Essey,
20 20 Romilly,
20 19 Sezanne-Laperthe,
20 29 Avord,
20 36 Lyon-Bron,
20 30-31 Dijon-Longvic,
20 32-33 Châteauroux-Lamartinerie.

Ob.D.L. Fuehrungsstab Nr. 3716/40 g. Kdos.

13.) - ORDRE d'ENGAGEMENT (EINSATZBEFEHL)

(30.V.40) 611 2215 6 Tie 5171

Auszug aus dem Flottenbefehl 23 fuer 31.V.40.

Einsatz am 31 Mai: Fliegerkorps... und VIII fuehren mit Veruegungsgruppen Kampf gegen... befindliche oder von der belgisch-nordfranzoesischen Grenze ablaufende Transport- und Kriegsschiffe nach Aufklaerung durch. Stadt und Hafen Duenkirchen duerfen nicht mehr angegriffen werden. Unterstuezung des Heeres nur noch auf ausdrueckliche Anforderung von Kommandostellen des Heeres.

Aufklaerung,: durch die Flg. Korps in ihren Kampfraeumen, Fl. Korps V. ausserdem aus Richtung Marseille auf Dijon fuehrende Strassen und Bahnen. Ab 31.V.40 1200 Uhr tritt das Stichwort

Mittelmeer (Flottenbefehl Nummer 20 vom 27.V.40) in Kraft. Die fuer die Weiterfuehrung der Operationen notwendigen Verlegungen in die zugewiesenen Bodenorganisationen sind durchzufuehren. Sie sind so zu fuehren; dass zum Angriff gegen lohnende Ziele vor der Suedfront stets Bereitschaftskraefte verfuegbar sind.

LFL.-Kdo. 3, Ia op.

Inny nadany przez Enigmę rozkaz dla korpusów Luftwaffe, wyznaczający akcje bojowe na dzień 31.V.40, był odszyfrowany w dniu poprzednim.

(13.V.40) CBM - S17 2350 KR 3950

Betr. Weisung der LFL.2 für den 14.V.40.

1) - 4. Armee greift am 4.VI. ueber die Seine nach suedwesten an. Linker Fluegel auf Chartres. Paris wird ab 14.

2) - Lfl. 2 unterstuetzt Angriff der 4. Armee und bekaempft mit Teilen den Schiffsverkehr von und zu den franzoesischen Landhaefen. Unternehmen Sedan entfaellt.

3) - Aufgaben. a) - I Fl. Korps unterstuetzt unmittelbar 4 Armee. Schwerpunkt linker Fluegel. Zerschlaegt feindl. Widerstandsnester, Bewegungen und Ansammlungen.

b) - IV Fl. Korps bekaempft mit den JU-88 Gruppen unter Jagd- oder Zerstoererschutz Seeziele vor und in den franz. Kanalhaefen. Der Rest der Kampferbaende ist fuer Einsatz in die Tiefe des Feindraumes bereit zu halten.

c) - 9 Fl.Div. vorbereitet nach Angriff und LM Unternehmen auf die Loire - Muendung auf Cherbourg und suedenglische Haefen. Durchfuehrungsbefehl folgt.

d) - Jafue 2 verstaerkt den Fegleitschutz fuer Kampfverbaende und stellt die Luftueberlegenheit ueber dem Kampfraum der 4. Armee sicher.

e) - Flakkorps II unterstuetzt das Vergehen der 4. Armee mit Schwerpunkt am linken Fluegel, schuetzt mit ausreichenden Kraeften die Seine-Uebergaenge besonders in der Morgen - und Abenddaemmerungen uad uebernimmt mit einer Abteilung den Schutz von Le Havre gegen Angriffe aus der Luft und von See her.

4) - Aufklaerung F-122 wie gestern, ausserdem Feststellung der Belegung von Brest und Cherbourg. Fl. Korps I und IV im Raumen ihrer Kampfaufgaben.

Luftflottenchef Fuehrungsabt. - Ia Nr, 1355/40 (Geheime Kommandasache).

Odebrany i odszyfrowany dnia 13 czerwca 1940 r. rozkaz operacyjny Goeringa na dzień 14 czerwca, skierowany do poszczególnych korpusów Luftwaffe. W trzy dni później marszałek francuski Pétain skapitulował.

Ultra, córka polskiej Enigmy.

Zbliżał się wrzesień 1940 roku. 25 hitlerowskich dywizji czekało na rozpoczęcie desantowej operacji „Seelöwe”, czyli „Lew Morski”.

Londyn przygotował się do ogłoszenia alarmu o kryptonimie „Cromwell”, skoro tylko stopa najeźdźcy dotknie ziemi brytyjskiej. Kościelne dzwony i syreny miały ogłosić stan oblężenia. Otrzymywane przez Enigmę sygnały wciąż mówiły o rosnącym napięciu niemieckich przygotowań, zaś zdjęcia lotnicze stwierdzały, że u wybrzeży Francji i Belgii nadal mnożą się skupiska niezbędnych do przeprawy środków transportu morskiego.

W szczególności zapowiadały bliską inwazję przechwytywane w Bletchley surowe upomnienia kierowane do niemieckich komendantów baz lotniczych w Belgii i Holandii. Mieli oni zapewnić błyskawiczny załadunek broni i amunicji na samoloty transportowe, które będą krążyły pomiędzy kontynentem, a już opanowanymi lotniskami w Anglii.

Goering zapewnił Hitlera i naczelne dowództwo Wehrmachtu, że w ciągu dwóch tygodni zlikwiduje powietrzną obronę Kanału i południowo-wschodniej Anglii, a wówczas przeprowadzenie wojsk lądowych na Wyspy będzie podobne do zwykłej krajoznawczej wycieczki. Obliczając, że Anglikom pozostało już tylko nie więcej niż 300 myśliwców, Goering wydał swoim flotom lotniczym rozkaz przez Enigmę: „Ataki należy przesunąć znacznie dalej w głąb lądu, a to w celu zmuszenia RAF do walki decydującej”.

W Bletchley ten rozkaz odebrano również. W zbliżającej się „bitwie o Anglię” wielką stała się rola, jaką odegrali polscy kryptolodzy.

Tymczasem RAF, pomimo uprzednich strat, posiadał znów około 600 czynnych samolotów myśliwskich. Ubytki personelu uzupełniono przyjmując 140 polskich pilotów, między innymi do polskich dywizjonów 302 i 303 oraz - podobnie jak garść Francuzów, Czechów i Norwegów - wcielonych do dywizjonów brytyjskich. Z równie gorączkowym pośpiechem pracowały fabryki samolotów i warsztaty naprawcze lotnictwa. Improwizowano też bezpośredni transport samolotów dopiero co fabrycznie zmontowanych - wprost na lotniska bojowe.

O tym wszystkim Goering nie wiedział. Zmyliła go dotychczasowa nader ostrożna taktyka brytyjskiego dowództwa, które celowo ukrywało swoje możliwości obronne aż do tej chwili, kiedy napięcie walki osiągnie szczyt. Poza tym wróg nie podejrzewał istnienia radaru, o którym zresztą nie wiedziało także wielu pilotów brytyjskich czy polskich. W zdumieniu stwierdzali oni, że za każdym razem są kierowani wprost na spotkanie nadciągających formacji nieprzyjaciela, przy tym otrzymują dane o jego sile i o wysokości, na której te formacje lecą. Działo się właśnie tak za sprawą systemu radarów. Wszak o tym, że brytyjscy kryptolodzy zapowiadali bitwę na długo przed chwilą, w której radary mogły ukazać na ekranach wznoszącą się znad Francji falę samolotów, nie miało pojęcia nawet wielu dowódców wyższych. Meldunki z Bletchley drukowano na kartkach z napisem „Ultra”.

Tajemnica Ultry była jeszcze bardziej ścisła, niż tajemnica radaru. Zaledwie kilka osób, z premierem Churchillem na czele, znało najważniejsze rozkazy Hitlera, Goeringa oraz ich sztabów. Dzięki kartkom „Ultra” rozkazy te docierały jednocześnie zarówno do adresatów właściwych, czyli Niemców, jak i do tych, którzy z polskiego wynalazku umieli zrobić mądry użytek, a więc - Brytyjczyków.

Niemieckie przygotowania do walnej bitwy o Anglię trwały już parę miesięcy, bo jeszcze w połowie lipca kwatera główna Hitlera wydała do Oberkommando des Heeres, Kriegsmarine i Luftwaffe stosowny rozkaz. Na razie treści jego nie znano. Jednakże o rozkazie tym marszałek Goering powiadomił dowódców swoich flot powietrznych właśnie przez Enigmę. Przywódcy Trzeciej Rzeszy stwierdzali, że Anglia „mimo beznadziejnej sytuacji wojskowej nie zdradza chęci do zawarcia pokoju”. Wobec tego führer postanowił przygotować, a jeśli będzie trzeba, przeprowadzić - operację lądową. Celem tej operacji, nazwanej „Seelöwe”, czyli „Lew Morski”, ma być wyeliminowanie Anglii jako bazy wypadowej przeciwko Trzeciej Rzeszy. Ostatecznie cała Anglia ma być okupowana...

W Baraku nr 3 rozkaz ten odebrano i już po godzinie Churchill zapoznał się z jego treścią, wydrukowaną na arkusiku z czerwonym napisem „Ultra” u góry.

W ten sam sposób dowiadywał się Londyn o rozlokowaniu Luftflotte 1. i Luftflotte 2. wzdłuż kanału La Manche, podczas gdy Luftflotte 5. zajęła pozycje w Danii i Norwegii. Z radiokorespondencji dowództw niższych ustalono ich pełny ordre de bataille, a dzięki namiarom dokładnie określono poszczególne lotniska Luftwaffe.

Niekiedy arkusiki z nadrukiem „Ultra” budziły wesołość. Oto marszałek Goering, upodobawszy sobie wydawanie rozkazów przez Enigmę, zapowiada, że przybędzie do tej czy innej jednostki w celu udekorowania załóg. „Sprawdzić, czy każdy z tych, którzy będą dekorowani, jest należycie odwieszony” - przezornie dodawał, widąc nauczonego przykrym doświadczeniem.

Ultra powiadamiała również o gorączkowych zabiegach w zakresie napraw i uzupełnienia bojowego sprzętu Luftwaffe. Z danych Ultry wynikało, że niemieckie lotnictwo bojowe utraciło w kampanii francuskiej 25% dawnej siły. Wobec tego należało sądzić, że Luftwaffe posiada najwyżej 1500 bombowców i około 1000 samolotów myśliwskich.

Jeden z nadanych przez Enigmę rozkazów Goeringa zalecał, aby piloci wielkich samolotów transportowych wyćwiczyli się w lądowaniu na wąskich pasach startowych. Miało to ułatwić późniejsze lądowanie na zwykłych angielskich drogach. Wobec tego Brytyjczycy zaczęli przygotowywać specjalne bariery do tarasowania szos.

Ważne były sygnały Ultry o tym, że oddziały spadochroniarzy niemieckich zakwaterowano w pobliżu największych baz lotniczych Belgii i Holandii, wreszcie odebrano rozkaz Hitlera do Wehrmachtu i Luftwaffe. Obie te części sił zbrojnych miały ustalić wspólną technikę możliwie szybkiego załadunku, rozładunku i następnie odwracania samolotu w kierunku, z którego przybył. Potwierdzało to przypuszczenie, że Hitler chce zapewnić spadochroniarzom, kiedy już znajdą się w Anglii, szybki dopływ uzupełnień i broni przez most na kanałem.

Z kolei Ultra podawała rozkaz do bitwy o Anglię.

1 sierpnia marszałek Goering polecił swoim flotom powietrznym zniszczyć brytyjskie siły lotnicze, działając wszystkimi możliwymi środkami i możliwie najszybciej. Wtedy to rozgrywał się w eterze istny nawał depesz, którymi Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy mobilizował sekretną siatkę szpiegowską na Wyspach Brytyjskich. Odcyfrowaniem tych zleceń i meldunków zajęły się inne służby, podczas gdy Barak nr 3 wciąż był nastawiony na odbiór tego, co wypowie niemiecka Enigma. A mówiła ona o przybrzeżnych i śródlądowych berlinkach, skutach, lichtugach i holownikach, które należało ściągać z rzek, kanałów i portów. Chodziła o jednostki zarówno samobieżne, jak i holowane. Wobec niedostatku odpowiednich środków wodnego transportu nakazywano przez Enigmę wyszukiwanie takich silników, które dałoby się zastosować w krótkim rejsie przez kanał La Manche.

Sam Churchill, pamiętny angielskich na morzach przewag, niezbyt w powodzenie takiej przeprawy wierzył. W tym czasie nie brał on jeszcze pod uwagę skuteczności działań bombowca czy samolotu nurkującego, uzbrojonego w podwieszone torpedy, wobec krążownika albo pancernika.

Czas nagiął, bo w ślad za ewentualnym zniszczeniem brytyjskiej Air Force natychmiast musiałoby dojść do inwazji. Barak nr 3 już był otrzymał bezpośrednią linię teleksową z ukrytymi głęboko pod ziemią schronami w Stanmore, gdzie mieścił się sztab myśliwskiego lotnictwa, dowodzonego przez brytyjskiego marszałka Dowdinga. Kartki z napisem „Ultra” dochodziły też prawie natychmiast do Uxbridge, gdzie w tak zwanej „Dziurze”, czyli 15 metrów pod ziemią, mieścił się sztab 11. grupy myśliwskiej RAF, broniącej południowo-wschodniej Anglii. Nad ową „Dziurą” rozciągał się zielony, udekorowany kolorowymi krzesłami trawnik, dalej zaś - niewinny teren golfowy Milington. Wszystko to maskowało bogaty w rozliczne urządzenia dwupiętrowy schron podziemny, skąd marszałek Dowding dowodził kolejną, coraz trudniejszą do rozegrania bitwą, powietrzną.

Zbiegały się tu wcześniejsze meldunki Ultry mówiące o zamiarze nieprzyjaciela oraz w ostatniej chwili zweryfikowane informacje nadbrzeżnych stacji radarowych i punktów obserwacyjnych. Tu decydowano kiedy, gdzie, w jaki sposób i czym do walki wchodzić, i czy alarmować pozostałe 10. i 12. grupy myśliwskie. Zawsze z myślą: nie ujawniać całej swojej siły, a także nie nasunąć nieprzyjacielowi podejrzeń, że największy jego sekret, Enigma, został już dawno wykryty. W Polsce...

W końcu lipca 1940 roku Anglicy pocieszali się tym, że straty niemieckie wyniosły już co najmniej 240 samolotów, ale sierpień przyniósł ciężkie naloty na Londyn, Southampton, Portsmouth oraz inne miasta i porty. W miesiącu tym zginęło ponad tysiąc mieszkańców. Wreszcie w dniach 30 i 31 sierpnia Goering osobiście poprowadził swoje powietrzne siły. Później przez silne lornety nożycowe z punktu obserwacyjnego na francuskiej plaży w Normandii obserwował on dymy płonącego i obracanego w ruinę Londynu.

Szczęściem dla obrońców swój udział w atakach zapowiedział Goering przez Enigmę. Dało to więcej czasu na poczynienie niezbędnych przygotowań. Oba natarcia były przeprowadzone na skalę dotychczas nie znaną. Fale napastników szły jedna za drugą. Część radarowych instalacji została zniszczona lub uszkodzona. Wydawało się, że dni Anglii zostały już policzone.

Dnia 5 września 300 bombowców zaatakowało londyńskie doki, a 9 września o godzinie 11.00 Ultra podała znowu rozkaz samego Goeringa. Tego popołudnia około 200 bombowców pod osłoną myśliwców zaatakowało Londyn. Jednakże dywizjon RAF zdołał napastników rozpędzić i tylko niektóre z bombowców dotarły nad miasto. W parę dni później został trafiony Buckingham Palace, ale Niemcy utracili 90 samolotów.

Niemniej jednak piloci Hurricanów i Spitfire'ów wykruśzali się, a tych, którzy bili się nadal, umęczały nieustanne alarmy, starty i walki. Bywało, że z uszkodzonych lotnisk mógł wyruszyć zaledwie jeden dywizjon, a fabryki i warsztaty naprawcze, częściowo uszkodzone, nie nadążały z uzupełnieniem szybko topniejących stanów. Dla pośpiechu nowe lub naprawione samoloty zaczęto dostarczać z fabryk bezpośrednio do dywizjonów myśliwskich. Z czasem powierzono tę funkcję odpowiednio wyszkolonym pilotkom, między innymi Polkom.

Trzeba dodać, że nawet podczas dziennych, a szczególnie nocnych walk z napastnikiem, czynne były również baterie przeciwlotnicze. Liczne działka artylerii, ustawione w londyńskich parkach, pochodziły między innymi z Polski; ratowały one Londyn, podobnie jak broniły go zrodzone z polskiej Enigmy brytyjskie kartki z napisem „Ultra”.

Po krótkim okresie dni deszczowych i pochmurnych nadeszła pogodna niedziela 15 września. Teraz - według marszałka Goeringa - miano zadać Anglii cios decydujący: ostateczne rozprawienie się z lotnictwem RAF i rozpoczęcie inwazji o kryptonimie „Lew Morski”.

Historyczną bitwę z dnia 15 września prowadził Goering na raty, w dwóch częściach. Już w południe bombowce niemieckie fala za falą zaczęły płynąć ku Londynowi. Sygnalizowano je ze stacji radarowej Rye na wysokim brzegu kanału La Manche. Piloci RAF, którzy wznosili się w powietrze, ze

zgrozą oglądali olbrzymie klucze bombowców eskortowanych przez samoloty myśliwskie. Trudno było uwierzyć w możliwość odparcia takiej nawały. Wkrótce jednak znalazły się w powietrzu wszystkie brytyjskie dywizjony, jakimi dysponował marszałek lotnictwa Dowding. Było ich 21. Dotychczas szafując oszczędnie życiem swoich pilotów i maszyn, teraz dowódca brytyjski uznał za właściwe postawić na jedną kartę wszystko, czym jeszcze dysponował.

Znajdujący się wówczas w schronie premier Churchill odezwał się do prowadzącego bitwę oficera: „Wielki Boże, człowieku. Wszystkie twoje dywizjony są w powietrzu, co będziemy robili później?!...”

Siła i furia brytyjskich szarż powietrznych dały oczekiwane rezultaty: zaskoczone załogi niemieckich bombowców ginęły lub wyłamywały się z szyku i uciekały. Około 70 maszyn strącono; nad Londyn przedarło się najwyżej półtorej setki z olbrzymiej armii powietrznej Hitlera.

Wszakże Goering, który dowodził bitwą osobiście, nakazał jej wznowienie. Uczynił to znów przez Enigmę, co Ultra natychmiast, gdzie należy, przekazała. Wobec tego marszałek Dowding utrzymał stan alarmu. Lądujące samoloty myśliwskie RAF śpiesznie pobierały paliwo i amunicję, gotowe do odparcia drugiego ataku. Obrońców było mniej, ale Niemcom też brakło sił, przede wszystkim zaś animuszu.

Przebieg drugiej części bitwy był podobny do poprzedniej: ostro atakowane bombowce wychodziły z szyku zrzucając bomby, gdzie się dało i czym prędzej obierały kurs powrotny. Niebo pomiędzy Londynem a brzegami Francji stało się sceną niezliczonych zaciekłych starć. Nad Londynem zawisły chmury dymów i łuny pożarów, na prowadzących ku Londynowi szlakach dopalały się szczątki setek maszyn, ale o rezultacie tych całodziennych zmaganiach dowiedziano się dopiero we wtorek. Ogółem strącono 185 niemieckich bombowców i myśliwców, kosztem 25 własnych samolotów myśliwskich. Ale 14 pilotów ocalało. Polski dywizjon 303 miał tego dnia najwięcej zestrzeleń, bo aż 26.

A we wtorek?

Dnia 17 września Ultra podawała znamienity rozkaz niemieckiego sztabu generalnego do wyższego oficera, zarządzającego pogotowiem inwazyjnym w Holandii. W rozkazie tym powiedziano, że Hitler odwołuje pogotowie. Wymowa krótkiego sygnału została wkrótce potwierdzona przez odebrany w Bletchley niemiecki komunikat oficjalny z tego dnia. Brzmiał on: „Siły lotnicze nieprzyjaciela nie poniosły decydującej klęski, wręcz przeciwnie, wykazują aktywność wyraźnie zwiększoną”.

Naloty trwały nadal, ale napięcie walki stopniowo słabło.

Zwycięstwo marszałka Dowdinga porównywano do zwycięstw Nelsona. Sam Dowding, oceniając później elementy, które złożyły się na ocalenie Anglii, nie mógł powołać się na rolę odegraną przez Ultrę. Musiał zachować tajemnicę; jej posiadanie pielęgnowana przez cały czas wojny i później. Nie wiedząc, ile brytyjska Ultra zawdzięcza polskim uczynom, marszałek Dowding docenił wszakże odwagę i umiejętności podległych mu polskich pilotów. Wspominając ich udział w obronie Anglii, między innymi powiedział: „...gdyby nie pomoc wspaniałego zespołu Polaków, z ich trudną do porównania walecznością, wahałbym się powiedzieć, czy wynik bitwy byłby taki sam...”

Być może, oddałby wówczas hołd także Polakom, o których nic wtedy nie wiedział. a którzy przebywali teraz na południu Francji, w jej strefie nie okupowanej.

Oto oni, nasi dawni znajomi, znów zajęci wciąż tą samą pracą w pałacu Les Fouzes w pobliżu średniowiecznego miasteczka Uzès, położonego opodal Avignonu i nieco na północ od miasta Nimes.

Po klęsce Francji odnalazł ich i tu zgromadził niestrudzony Gustave Bertrand, organizator polsko-francuskiej i polsko-brytyjskiej współpracy w łamaniu niemieckich szyfrów.

Dawna komórka radiowywiadu „S.R.” pułkownika Bertranda nosiła teraz nazwę: Biuro MA (Menées Antinationales, czyli „knozań antypaństwowych”). Pod tą firmą, działając za cichą zgodą generała Weyganda i obrawszy sobie za pseudonim nazwisko B. Barsac, pułkownik Bertrand całkiem formalnie nabył u notariusza pałac Les Fouzes. Ulokował tam swoich dawnych pupilów: zarówno złożoną z Hiszpanów grupę techniczną „D”, jak i polską grupę kryptologów i elektryków „Z”.

Trudności z „Ekipą D”, która po demobilizacji znalazła się w Algierze, nie było. Hiszpanie chętnie wrócili do Francji. Natomiast złożona z Polaków „Ekipa Z” miała wątpliwości, czy należy w dalszym ciągu pracować z Francuzami, którzy byli zależni teraz od marionetkowego rządu Vichy. Polacy chcieli mieć dowód, że godzi się na to rząd emigracyjny generała Sikorskiego w Londynie. Opuszczający Francję minister Frankowski obiecał przedstawić tę sprawę w Londynie, tymczasem jednak rozpoczęły się pertraktacje na ten sam temat w Algierze. Ostatecznym wynikiem rozmów była późniejsza decyzja Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie.

Pracując nadal we Francji placówka pułkownika Bertranda miała swoje cele sekretne. Zajmując się deszyfrazem i nasłuchem, a wciąż korzystając z polskiej wersji Enigmy, otrzymała kryptonim „Cadix”.

Dla zapewnienia sobie środków działania (prawo do intercepcji radiowej, pieniądze, samochody itp.) dołączył się „Cadix” do instytucji G.C.R. (Groupement des Controles Radioélectriques de l'Intérieur, czyli jednostka wewnętrznej kontroli radiowej). Organem tym kierował kapitan inżynier Ramon, stary przyjaciel pułkownika Bertranda. Wkrótce ugrupowanie G.C.R zostało zreorganizowane w cywilny Sekretariat do Spraw Łączności, z wydziałem kontroli radiowej oraz sześcioma ośrodkami nasłuchu i namiaru gonio.

Czym więc zajmowali się w placówce „Cadix” trzej polscy kryptolodzy oraz inżynier i technik, którzy już na kilka lat przed wojną odtworzyli niemiecką Enigmę?

Oto, pomimo stosowanej przez Niemców kontroli zgodnie z warunkami francuskiej kapitulacji, Polakom przypadły takie czynności:

- Sporządzenie schematu sieci wszystkich radiostacji gestapo w całej Europie oraz przejmowanie i deszyfrowanie ich sygnałów.
- Umiejscowienie pewnych radiostacji Wehrmachtu i rozszyfrowanie ich sygnałów.
- Nasłuch sygnałów dotyczących się ruchu we francuskich, zajętych przez Niemców, bazach lotniczych, co pozwalało określać rodzaj siły formacji Luftwaffe, które te bazy okupowały.

Polsko-francuska placówka „Cadix” działała jako zakonspirowana ekspozytura „300” Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego Sztabu generała Sikorskiego. Wiadomości „Cadixu” miały znaczenie dla rodzącego się we Francji Ruchu Oporu, a wkrótce zaczęły docierać do Londynu, uzupełniając tam wiedzę o przeciwniku. A wiedza o nieprzyjacielu stała się bodaj najważniejszym elementem wojennego arsenału Wielkiej Brytanii i jej sojuszników.

Szyfrowe pojedynki.

W Londynie nie marnowano czasu, energii i pieniędzy. Perspektywa znalezienia się pod butem najeźdźcy otrzeźwiła największych zarozumiałców. Idąc w ślady Niemców, a mądrze korzystając z polskich konstrukcji i polskich metod dekryptażu, Anglicy zaopatrywali w informacje z Ultry coraz więcej swoich dowódców i placówek. Wyszkolono obsługi małych ekip, w skrócie zwanych SLU, co oznaczało Special Liason Units. Poza tym obok pierwszej „bomby” budowano następne, przez fizyków brytyjskich wciąż ulepszane. Coraz bardziej chorujący Dilly Knox mógł być dumny z tego, że trudne dzieło zostało wykonane.

Nadto opierając się na uzyskanych od Polaków konstrukcyjnych szczegółach Enigmy, zbudowano brytyjską maszynę szyfrującą RAF Type „Y”, którą posługiwano się w korespondowaniu z placówkami na Malcie, w Kairze i w Algierze.

Problem zachowania tajemnicy Ultry rozwiązał major lotnictwa F.W. Winterbotham, któremu tę sprawę powierzono. Nie miał on pojęcia o samym dekryptażu i nic jakoby (?) nie wiedział o polskim źródle sukcesów brytyjskiej Ultry, ale za to opracował ściśle zasady takiego z niej korzystania, by Niemcy się tego nie domyślili i osobiście doglądał stosowania tych reguł w praktyce, kiedy trzeba było instalować placówki SLU na dalekich frontach. On też, ale dopiero w roku 1974, ujawnił decydującą rolę Ultry w książce „The Ultra Secret”.

W rezultacie, po obróceniu wniwecz projektów niemieckiej inwazji, nękanym nocnymi nalotami Wyspom Brytyjskim pozostawała jedyna nad Trzecią Rzeszą przewaga. Polegała ona na znajomości zamiarów Hitlera i na dokładnej informacji o jego ordre de bataille. Wszystko to co dzień podawała Ultra, córka polskiej Enigmy.

I tak dnia 14 listopada Barak nr 3 przechwycił depezę o przygotowywanym masowym nocnym nalocie na historyczne miasto Coventry, ale - dla zachowania tajemnicy - zaalarmowano tylko strażę pożarną, wojsko i szpitale. Zresztą skutecznej obrony przeciwko takim nalotom jeszcze nie było.

Podobnie w końcu grudnia 1940 roku odczytano rozkaz Georinga: „spalić Londyn!”. Pozwoliło to na czas ściągnąć strażę pożarną z okolic.

Można by przypuścić, że Churchill, wówczas zabiegający o wciągnięcie do wojny Stanów Zjednoczonych, zaofiarował im nie tylko bazy na Morzu Karaibskim, ale między innymi także

tajemnicę Ultry, Wszakże Amerykanie twierdzą, że sekret japońskiej maszyny o kryptonimie „Purple”, pochodzącej od niemieckiej Enigmy, rozwiązali sami za pomocą swoich urządzeń o kryptonimie „Magic”. Jeśli tak, to należałoby amerykańskim kryptologom powinszować tego, że dorównali kryptologom polskim...

Od początku 1941 roku Ultra podawała teksty rozmów między Berlinem a niemieckimi dowódcami, wyznaczonymi do marszu na Bałkany aż po Grecję. Zasię Enigma w sztabie generała Kesselringa, który dowodził na Sycylii korpusem Luftwaffe, poprzez Ultrę dostarczała Churchillowi wiadomości o zagrożeniu brytyjskich konwojów na Morzu Śródziemnym i o mianowaniu generała Rommla dowódcą sił niemieckich w Afryce Północnej. W połowie lutego wiadano z radiogramu Enigmy o przybyciu tego generała do Trypolisu w Libii. Następnie Ultra podawała przybliżone daty przybywania do Libii kolejnych wielkich jednostek. Mianowicie w kwietniu miała tam wylądować 5. dywizja lekka, a w połowie maja 15. dywizja pancerna. Z dywizji niemieckich i włoskich formowała się więc siła potężna, znana później jako Deutsches Afrika Korps. Generał Rommel także przez Enigmę powiadomił Berlin o objęciu dowództwa, a dalsze radiogramy z Afryki zawierały dane o siłach niemiecko-włoskich, ich rozmieszczeniu i o zamierzonych kierunkach natarcia w rozpoczynającej się na pustyni bitwie pancernej.

Dzięki tym informacjom generałowie brytyjscy mogli zawczasu przygotować odwrót w stronę Egiptu i w ten sposób uniknąć klęski w spotkaniu z daleko silniejszym przeciwnikiem. Wygrany pojedynek w eterze przyczynił się do późniejszego zwycięstwa na lądzie i na morzu.

Właśnie przez Ultrę poznano zamiar wielkiej operacji morsko-lotniczej, która miała się rozpocząć dnia 27 marca 1941 roku. Dwie włoskie floty wyruszyły wtedy w kierunku Krety, aby zniszczyć brytyjskie konwoje, płynące z Egiptu do Grecji. Ochronę z powietrza miały zapewnić Włochom silne jednostki Luftwaffe i to znowu ich Enigmy zdradziły Anglikom plan całej akcji.

Powiadomiony o wszystkim brytyjski admirał Cunningham trzymał swoje okręty w Aleksandrii w gotowości, a sam bardzo ostentacyjnie z kijami do golfa opuścił port. Chodziło o zmylenie włoskich i niemieckich agentów, którzy mieli w Egipcie swoje radiostacje. Jednocześnie Cunningham wysłał samolot na spotkanie włoskich flot. - Musisz pokazać się Włochom - przykazano pilotowi. Nadal chodziło o ukrycie faktu, że radiogramy Enigmy są czytane. Włoscy dowódcy mieli przypisać brytyjskiemu pilotowi ujawnienie ich wyprawy w kierunku Krety.

O zmroku admirał Cunningham sekretne powrócił na pokład i tak rozpoczęła się obfitująca w dramatyczne wydarzenia nocna bitwa morska w pobliżu przylądka Matapan. Egzekucji dokonały bojowe naloty RAF i akcja Royal Navy - nie bez wydatnej pomocy radaru i Asdicu, ale sygnał przyszedł od Ultry.

W bitwie tej Włosi postradali kilka krążowników i niszczycieli, a nowy ich pancernik doznał poważnych uszkodzeń. Utracili też około 4000 marynarzy, którzy utonęli, oraz kilkuset, których wyłowiono z wody i wzięto na pokłady angielskie lub greckie. Odtąd flota włoska unikała wychodzenia w morze.

Rola Ultry w tej bitwie, jak i we wszystkich innych działaniach drugiej wojny światowej, została ujawniona dopiero w 1974 roku, ale relacjonujemy dalej, co wspomina o tym kronikarz.

Z początkiem kwietnia 1941 roku z Ultry odczytano wystosowane przez Hitlera żądanie, aby Jugosławia umożliwiła przemarsz wojsk niemieckich do Grecji. W maju Ultra przyjęła nadawane przez Enigmę radiogramy niemieckiego generała Studenta o zamierzonym desancie spadochronowo-szybowcowym na Kretę. Ale nie zawsze umiano wykorzystać to, o czym zawczasu donosiła Ultra. Na przykład o bitwie o Kretę, którą Anglicy przegrali... z kretesem. Nie wyzyskano danych o operacjach w Afryce Północnej i pierwszych sygnałów, które świadczyły o koncentracji sił niemieckich na ziemiach polskich przed uderzeniem na Związek Radziecki.

Churchill i jego generałowie mogli teraz jasno widzieć zarys wielkiej strategii Hitlera: celem jego, prócz opanowania Moskwy i Leningradu, było utworzenie olbrzymich pancernych nożyc, które miały się zamknąć na polach naftowych Środkowego Wschodu z dwóch stron - poprzez bliski Egipt i przez dalekie wybrzeża mórz Kaspijskiego oraz Czarnego. Jeszcze nigdy, w całej historii wojen, nie wydarzyło się coś podobnego: najeżdźca informował, nie wiedząc o tym, przeciwnika...

Mało to czy dużo - dla walczących samotnie Brytyjczyków?

W oczekiwaniu na realniejszą pomoc Stanów Zjednoczonych i na upragnioną godzinę, w której Związek Radziecki użyje swoich niezmierzonych zasobów wobec wiszącej nad światem grozy faszyzmu, Londyn mógł na razie przeciwstawić Hitlerowi tylko swój niewielki potencjał militarny. Stosował więc - oprócz wszelkiego rodzaju „wojennych chytrych” - także naukowo-techniczne zdobycze, jak przeciwlotniczy radar, używany na okrętach Asdic i, oczywiście, aparaturę, która służyła dekryptażowi, czyli posiadaniu pełnej wiedzy o nieprzyjacielu.

Dookoła Europy, zamienionej przez Hitlera w olbrzymi rządzonej przez Herrenvolk obóz torturowanych i mordowanych niewolników, rozsnęła się teraz niewidzialna sieć tajnych połączeń radiowych. Do tej siatki, niekiedy się rwącej, lecz wciąż naprawianej, przybył w roku 1940 odtworzony przez pułkownika Bertranda nowy ośrodek „Cadix” z jego trzonem w osobach polskich kryptologów - Rejewskiego, Zygalskiego i Różyckiego oraz inżyniera Pallutha i mechanika Fokczyńskiego.

Twórcy polskiej Enigmy raz jeszcze stanęli do pełnej poświęcenia roboty. Byli wypoczęci, dobrze im zrobiły tygodnie pobytu w Algierze, „na wolności”, a nie w rzeczywistości prawie klasztornych warunkach pracy „P.C.Bruno”. Stąd również udało się nawiązać listowne kontakty z rodzinami w kraju, a nawet przekazać im jakieś paczki, dowody pamięci i troski. Przyszło też jakby oswojenie się z nieszczęściem własnej Ojczyzny; przecież z rokiem 1941 większość państw Europy znalazła się pod wroga okupacją, pozostałe zaś kraje, jak Szwecja, Portugalia, Hiszpania czy Szwajcaria - lawirowały pomiędzy nie zawsze szczerą neutralnością a strachem, ledwie pokrywany przez niepewną postawę. Oni zaś, jak wielu innych Polaków - a może jeszcze bardziej - mieli nie tylko poczucie pełnego wykonania obowiązków, ale świadomość odniesionego na swoim polu wielkiego zwycięstwa.

Rozwiązanie sekretu Enigmy było ich dziełem i dzieło to służyło nadal świętej sprawie wolności.

- Wracamy do roboty - powiedział podpułkownik Langer, kiedy dnia 1 października 1940 roku znaleźli się we Francji po raz drugi.

Szczęśliwy z odzyskania polskich kryptologów, inżynierów i szyfrantów pułkownik Bertrand zatroszczył się o wszelkie wygody. W pałacowej siedzibie Les Fouzes otrzymali dostateczną liczbę pokoi, każdy mógł mieszkać i pracować osobno. Pani Mary Bertrand zajęła się sprawami bytowymi, a więc przede wszystkim zdobywaniem żywności oraz kuchnią, a nie było to łatwe - wyżywić 32 osoby bez kartek.

Co tydzień bywając w Vichy, Bertrand komunikował się tam ze swoim opiekunem, o którym mówił Patron, ale w gruncie rzeczy to on sam był inicjatorem takich wypraw, jak podróż do Lizbony w celu przejęcia radionadajnika tam przysłanego z Londynu. Spotkanie z brytyjskim przyjacielem o pseudonimie „Bill” odbyło się w Ogrodzie Botanicznym. Aparat został przyjęty i wysłany pocztą dyplomatyczną do Vichy, skąd później odebrał go sam Bertrand. Wymagało to odpowiednich dokumentów, wielkiej ostrożności i sprytu. Niebezpieczeństwo groziło zarówno ze strony policji portugalskiej w Lizbonie, jak i francuskiej w Vichy, nie mówiąc o agentach Abwehry i gestapo, których pełno było na trasie Vichy-Paryż-Saragossa-Madryt-Lizbona i z powrotem aż do Uzès.

Odtąd można było wymieniać z Londynem informacje techniczne i wszelkie inne.

Trapił wszystkich niedostatek aparatury, ale Bertrand rozwiązał i ten problem. Przypomniawszy sobie o fabryce maszyn do szycia, w której przed rokiem zamówił części składowe Enigmy. Fabryka wykonała zamówienie, ale na odbiór reszty detali nie starczyło wtedy czasu, ucieczka z Paryża była nagle. Teraz Bertrand wystarał się o potrzebne dokumenty, kilkakrotnie przekroczył linię demarkacyjną pomiędzy Francją okupowaną a „Zone Libre” i za każdym razem przewoził te części oraz służące do montażu narzędzia. Inżynier Palluth i mechanik Fokczyński wzięli się do pracy z całą energią i po pewnym czasie zaprosili wszystkich, jak mówili, na „wystawę w pałacu Les Fouzes”.

Było na co popatrzeć: cztery nowiutkie polsko-francuskie, zmontowane w „Cadixie”, Enigmy stały w jednym rzędzie gotowe do pracy.

Tryumf inżyniera Pallutha i mechanika Fokczyńskiego uczczono wspianiałym obiadem i oblano winem. Wszyscy się rozmarzyli; śpiewano, a przy okazji uczono Bertranda starej piosenki:

Upływa szybko życie,
Jak potok, mija czas.
Za rok, za dzień, za chwilę
Razem nie będzie nas.

I nasze młode lata
Popłyną szybko w dal,
A w sercu pozostanie
Tęsknota, smutek, żal.

W tych rzadkich godzinach wesołości i lepszej nadziei ktoś zaintonował:

Wszystko będzie dobrze,
Jasne przyjdą dni...

A Langer, o którym wiadomo, że na czczo wypija kielich wina beaujolais, za co otrzymał nowy pseudonim „Frère Beaujolais”, bił pięścią w stół, wołając:

- Ale kiedy, do cholery? Te lepsze dni!

Innego dnia tryumfował Bertrand. Mając na uwadze zawsze spragnione gardła Polaków, dostarczał im nowe beczki wina i innych trunków. Przewoził to w zamkniętej furgonetce opieczetowanej i zaopatrzonej w napis: „Materiały sekretne, własność Ministerstwa Wojny” oraz w odpowiedni dokument z jakąś fałszywą pieczęcią i podpisem „Barsac”. Wszystko to weseliło i pozwalało zapominać o smutkach.

- Żandarmeria już mnie zna, salutuje mi, jak samemu marszałkowi! - śmiał się Bertrand.

A do żony mówił:

- Muszą przecież wypić, bo siedzą wciąż na miejscu. Wychodzić mogą rzadko, poza tym trapią się o swoje rodziny i o swój kraj. Lepiej, że piją na miejscu niż w miasteczku. Alkohol daje im odprężenie i podniecie do poszukiwań kryptologicznych na poziomie najwyższym. A wyniki tych poszukiwań są naprawdę zadziwiające.

Istotnie, pomimo braku aparatury, którą posiadano w Pyrach, a później pod Paryżem, kryptolodzy dokonywali istnych cudów. Dekryptaż radiogramów niemieckiej policji, gestapo i Wehrmachtu pozwalał Bertrandowi na uprzedzenie zagrożonych „siatek oporu”. Inżynier Palluth rozwiązał kod agentów Abwehry w portach Morza Śródziemnego i centrali w Stuttgarcie, dzięki czemu jeden niemiecki nadajnik wykryto i zniszczono. Rejewski i jego towarzysze stopniowo rozwiązywali niemieckie tabele skrótów i sygnały umowne. Przy okazji uporano się z czymś nowym.

O materiale, nad którym ostatnio pracowali, Rejewski mówił:

- Są to depesze szwajcarskie, nadawane także maszynowo, ale po francusku i na maszynie handlowej. Najwidoczniej Szwajcarzy kupili ją od Niemców. Maszyna ta ma inne połączenia wewnętrzne. Warto doradzić im większą ostrożność...

Rozrywek mieli mało. Obchodzono dni imienin i urodziny, czasem pozwalano sobie na przejażdżkę rowerem po okolicy, ale bez jakichkolwiek kontaktów z ludnością. W takich warunkach bawiła nawet ceremonia uboju i ćwiartowania kupowanego na czarnym rynku barana. Najbardziej intrygował Polaków francuski apetyt na żabie nóżki. Nauczono się polowania na... żaby. Przy rowie czy kałuży, w których odżywała się „zwierzyna”, rozścielano czerwoną płachtę. Zaraz wskakiwały na nią, jeden po drugim, coraz namiętniej - żabie zastępy. Następnie płachtę brano za rogi i zawartość wysypywano do kartonowego pudła. A potem...

- Smacznego! - życzyło się kolegom francuskim i hiszpańskim.

Życie szło monotonnie. Każdy pracował w swoim pokoju, opuszczając go tylko na dźwięk gongu, którym zapraszano do stołu. Rozmawiano wówczas o nowych wojennych i okupacyjnych pogłoskach, o moskitach lub skorpionie, co się pokazał na ścianie, i o smaku podlanej czerwonym winem baraniny. W monotonii ich życia wszystko stawało się sensacją. Kiedy indziej tematu dostarczał major Ciężki, który - będąc pod dobrą datą - niezmiennie wyśpiewywał tę samą partię Nadira z „Poławiaczy pereł”. Chętnie naśladowano majora, jak - wniebowzięty i z oczami natchnionymi - sam sobie niby to akompaniuje na wymyślonych skrzypcach, prowadząc rękę za niewidzialnym smyczkiem. To znów podpułkownik Langer, ofiarowując pani Mary książkę „Madame Curie”, deklamował poświęcony solenizantce wiersz zatytułowany „A notre chère princesse”. Bywały dyskusje, czasem ponosiły kogoś nerwy, nieraz wypadało samemu „przeorowi”, a w razie jego nieobecności - „pani małżonce” lub „bratu Beaujolais” - łagodzić różnice zdań lub objawy temperamentu.

- Co Polak, to indywidualista - tłumaczył Bertrand.

- W każdym klasztorze jest tak samo - parował Langer.

Tymczasem praca szła. Enigma odczytała wiele radiodepesz o charakterze operacyjnym ze wszystkich terenów okupowanych: w Austrii, Belgii, Bułgarii, na wyspach Rodos i na Krecie, we Francji, na Węgrzech, w Libii, Polsce, Syrii, Czechosłowacji i Jugosławii. Od 22 czerwca 1941 roku przybyły do tego niemieckie radiogramy operacyjne z terenu Związku Radzieckiego.

Odczytane ordres de bataille jednostek policji i SS tyczyły się Austrii, Francji, krajów bałtyckich, Holandii, Luksemburga, Norwegii, Polski, Czechosłowacji i Związku Radzieckiego.

Przejęto również niemieckie sprawozdania z akcji przeciwko partyzantom, komunistom i Żydom w Związku Radzieckim. Dla przykładu: jednego tylko dnia 27 sierpnia 1941 roku liczba rozstrzelanych Żydów wynosiła 5130, z czego na SS wypadło 16 morderstw, na Regiment Süd - 4200, na batalion policji - 320; widocznie reszty ofiar nie udało się „zaksięgować”.

Dalej odszyfrowano korespondencję pomiędzy Kripo, Orpo i gestapo: dyspozycje w sprawie przepustek, wykazy zbiegłych jeńców wojennych i dezertków z armii niemieckiej, wreszcie radiodepesze kontrwywiadu w odniesieniu do Francji, a nawet Szwajcarii.

Od początku roku 1942 przejęto 158 radiogramów Abwehry i jej agenta „G” lub „S”. Radiogramy te nadawano w języku francuskim i tyczyły tylko spraw rosyjskich. Treść ich była przekazana przedstawicielowi Związku Radzieckiego w Vichy, a próbowano też, dla pośpiechu, przekazywać je bezpośrednio do Moskwy.

Poza tym „Ekipa Z” wykryła stosowane przez Niemców szyfry o długości od 13 do 33 liter, w których odróżniono litery dodawane, tak zwane „puste”.

Główne linie niemieckiej łączności radiowej zidentyfikowano jak następuje: Tulon - Wiesbaden; Marsylia - Paryż - Wiesbaden; Tanger - Casablanca; Casablanca - Madryt; Saint Jean de Luz - Paryż; Nantes - Paryż i wreszcie „siatkę E”. Poza tym 5 linii bliżej nieokreślonych. Razem więc - 13 wykrytych niemieckich linii radiowych.

Na liniach tych Niemcy zajmowali się szyframi i dyrektywami szpiegowskimi. Tulon czuwał głównie nad ruchami okrętów wojennych i nad admiralicją francuską. Marsylia - nad ruchami statków handlowych i materiałami kontrwywiadu. Casablanca codziennie meldowała do Madrytu „Hafenbericht”, czyli sprawozdanie z portu, tudzież dane o lotnictwie. Mały port Saint Jean de Luz stale informował Paryż o tym, co się dzieje w tamtym sektorze, a Nantes oprócz tego podawało stan pogody.

Wreszcie, począwszy od kwietnia 1942 roku, wykryto całą siatkę agentów „E”, którzy z La Linea i okolicy obserwowali wszelkie ruchy aliantów, zarówno w Gibraltarze, jak i wzdłuż wybrzeży hiszpańskich. Centrala agentów tej siatki była w Madrycie.

Wszystko to „Cadix” przekazywał do, utajonego w Vichy Patrona, następnie do grupy „Rabat” w Maroku i wreszcie, już bezpośrednio, do „Y”, czyli Londynu.

W styczniu 1942 roku ekipa „Cadix” ciężko przeżywała utratę czterech swoich członków, którzy powracali do Uzès po odbyciu stażu w Algierze. Właśnie do Algieru, gdzie „Cadix” miał drugą stację nasłuchu oraz do Rabatu, gdzie funkcjonowała inna komórka AM-2, wybrał się był jeszcze w roku ubiegłym pułkownik Bertrand. W rezultacie tej inspekcji postanowiono zastosować wymianę części personelu każdej ekipy. Dwaj kryptolodzy, szyfrant i towarzyszący im francuski oficer mieli przez trzy miesiące pracować w Algierze.

Bardzo się tym ucieszyli Jerzy Różycki, kapitan Jan Graliński, Piotr Smoleński i pewien porucznik francuski, jako że chcieli odetchnąć po dusznej atmosferze francuskiej „Zone Libre”. I oto - w drodze powrotnej z Algieru do Marsylii - wiozący ich pocztowy statek „Lamoricière” natrafił w pobliżu Balearów na minę i zatonął. Stało się to dnia 9 stycznia. Na 272 pasażerów uratowało się zaledwie 50 osób, zginęła też połowa załogi. Ponieważ czterech członków ekipy „Cadix” jechali pod cudzimi nazwiskami i nawet nie figurowali na liście pasażerów, więc i zginęli bez żadnego śladu. Przypadły też tak cenne wiezione przez nich dwie Enigmy.

W ponurym milczeniu i nie kryjąc łez wysłuchano pułkownika Bertranda, który zmarłych kolegów żegnał słowami:

- Różycki, Graliński, Smoleński a także i ty, francuski kolego, umarliście za Francję i myśl o was nigdy nas nie opuści...

W lutym 1942 roku radiodepeszą z Londynu proszono pułkownika Bertranda, aby odwiedził generała Weyganda i przekazał mu zapytanie Churchilla: czy generał Weygand zgodzi się objąć naczelne dowództwo nad operacją desantową w Afryce Północnej i jakie siły chciałby mieć w dyspozycji, przy tym, rzecz jasna, zabezpieczy mu się możliwość ucieczki.

Weygand przyjął gościa w hotelu „du Pare” w Grasse. Pułkownik Bertrand najpierw podziękował generałowi za pomoc w uruchomieniu placówki „Cadix”, po czym naświetlił sytuację ogólną i wreszcie zakomunikował treść londyńskiej depeszy. Odpowiedź generała Weyganda była następująca:

- Dałem słowo marszałkowi Pétain, że nie uczynię nic takiego, co mogłoby przeszkodzić mu w działaniach. Cofnięcie tego słowa jest niemożliwe. Ale pan pułkownik może iść dalej tym samym torem, zawsze z moją zachętą...

A kiedy rozmowa dotknęła drugiego punktu depeszy, Weygand wiele dał do zrozumienia mówiąc: - Wydaje mi się, że przeprowadzenie tego rodzaju operacji wymagałoby użycia przynajmniej dziesięciu dywizji, w tym trzech pancernych, wspomaganych przez tysiąc samolotów.

Na pożegnanie generał Weygand wręczył Bertrandowi swoje zdjęcie z odpowiednią dedykacją.

3 września 1942 roku będąc w Paryżu Bertrand otrzymał od niejakiego „Maxa”, zaprzyjaźnionego niemieckiego dyplomaty, taką niezwykle cenną a zarazem groźną wiadomość:

„Potwierdzają się alarmy poprzednie. Dotychczasowa »Zone Libre« będzie automatycznie okupowana z chwilą wkroczenia aliantów do Afryki Północnej. Dwie dywizje są już skoncentrowane około Dijon. Są one gotowe do błyskawicznego skoku na Marsylię przez dolinę Rodanu. Rzecz naturalna, taki sam ruch nastąpi z południowego zachodu, a także ze strony Włoch, czyli z południowego wschodu”.

Po powrocie do Uzès Bertrand nadał tę wiadomość do „Y”, czyli Anglikom., prosząc ich jednocześnie o odpowiedź, jakie są możliwości przerzucenia do Anglii przynajmniej Polaków na wypadek przymusowej ewakuacji „Cadixu”.

Wkrótce nadeszła z Londynu odpowiedź generała Menziesa:

„Radzę przenieść się z ekipą do Algieru i natychmiast nawiązać łączność z nami. Jeśli to niemożliwe, mogą być wzięte pod uwagę ewentualności następujące: ewakuacja drogą morską wszystkich osób, uważanych za cenne dla sprawy z tym, że liczba ich będzie ograniczona do dwudziestu. Przerzut możliwy z trzech punktów do wyboru, a więc z okolic La Napoule, z okolic La Ciotat i wreszcie pomiędzy portami Sète i Agde z punktów, których koordynaty geograficzne będą podane.

Jeżeli Bertrand pozostaje do chwili ostatniej, to będzie zabrany razem z Mary samolotem, najlepiej już po dokonaniu tamtego przerzutu drogą morską.

Umówione zdanie »Żniwo jest dobre« będzie sygnałem, że rozwiązanie jest bliskie, ale bez żadnej wskazówki co do miejsca lądowania - w metropolii czy we Francuskiej Afryce Północnej”.

Powiadomiony o tym szef pułkownika, zawsze zatroskany o to, żeby Vichy nie dowiedziało się o łączności z Londynem, doradził:

- Trwać w oczekiwaniu i zawczasu przewidzieć wszystkie warianty ewakuacji, ale bez alarmowania ludzi, ponieważ nie przewiduje się bliskich operacji ze strony aliantów.

Na razie pułkownik Bertrand zachował całkowitą dyskrecję wobec personelu francuskiego, ale o wszystkim powiadomił pułkownika Langerę.

Razem przeczytali radiogramy i razem opracowali w najmnijszych szczegółach plan zwinięcia „Cadixu”.

Był po temu czas najwyższy, bo działalność Funkabwehry, czyli niemieckiego wywiadu radiowego, zaczęła się przejawiać w pobliżu Uzès.

Dnia 25 września w Prefekturze w Nîmes poufnie uprzedzono Bertranda:

- Do rejonu południowego już przybyła i kwateruje w pałacu Bionne koło Montpellier niemiecka ekipa poszukująca tajnych radiostacji. Kierownik tej ekipy otrzymał od prefekta Chiappe'a rezerwację 12 tablic rejestracyjnych prefektury du Gard (FN) dla używanych przez tę ekipę pojazdów. Pięć z tych tablic jest już w użyciu; są to numery od 1244-FN do 1248-FN.

Pułkownik Bertrand wyprawił się natychmiast w okolice pałacu Bionne, gdzie mógł osobiście sprawdzić otrzymaną wiadomość. Nie miał trudności, gdyż na poboczu szosy przed żelazną kratą ogrodzenia tuż przy bramie wjazdowej ujrzał tuzin samochodów.

„Widocznie przygotowano je do przeglądu” - domyślił się... i sam rozpoczął błyskawiczny przegląd. Istotnie, podane numery zgadzały się z tym, co zobaczył na pięciu samochodach. Innych numerów nie zdążył zanotować, ale stwierdził, że tablice na pozostałych autach nie należą do prefektury du Gard. Zapamiętał, że na ekipę składają się trzy granatowe dostawcze kamionetki Chevrolet, trzy auta turystyczne różnych marek oraz sześć samochodów osobowych Citroën 11 CV. Jedna z tych „cytryn”, zapewne kierownika ekipy, była koloru liliowego, a więc bardzo znaczna, inne były czarne.

Poza tym w dniach 23 i 24 września odczytano radiodepeszę Funkabwehry, zalecającą czujność na linii FZ Nîmes - Avignon i nakazującą użycie samochodów do namiaru gonio w celu zbliżenia się do punktu, z którego pochodzą emisje.

Po kilku dniach, znowu będąc w Vichy, Bertrand otrzymał takie same dane od znajomego z kontrwywiadu. 15 października ruchliwy Bertrand wybrał się znów do Nîmes i tu usłyszał:

- W hotelu „de l'Europe” w pobliskim miasteczku Pont Saint-Esprit kwateruje ruchoma ekipa z Montpellier. Jej samochody są pod opieką służby hotelowej.

Bertrand skoczył więc na drugie śniadanie do Pont Saint-Esprit. W hotelowej restauracji usiadł obok stolika Niemców, rozmawiających bez specjalnego zainteresowania o deszczu i o pogodzie.

„Czekają na rozkaz i nudzą się” - wywnioskował. Teraz należało zawiadomić o tej sytuacji cały personel „Cadixu”. Bertrand polecał:

- Każdy z was musi jeszcze raz uprzytomnić sobie, jak ma się zachowywać na wypadek zaskoczenia, a więc - czujność, spokój, szybka reakcja. Poza tym każdy musi uważać na samochody, które wam opisałem. Raz jeszcze powtarzam: trzy granatowe furgonetki Chevrolet, sześć czarnych limuzyn Citroën i siódma koloru aubergine...

- Dla nas, Polaków, jaśniejsze będzie - kolor bzu... lilas - zauważył Rejewski.

- A więc dobrze, lilas.

Podniósł rękę jeden z Francuzów:

- Jeździłem po prowiant do Ales. Dopiero wróciłem. Na drodze widziałem stojącą kamionetkę marki Chevrolet. Miała pootwierane drzwiczki. Pewnie słuchali. Kolor - granatowy.

- No, widzicie - zakończył odprawę pułkownik. Niemcy z Funkabwehry otrzymali przezwisko „montpellistów”. Inżyniera Pallutha bardzo w tym czasie niepokoiły przerwy w dopływie prądu. Pomiędzy dniem 10 października a listopadem naliczył ich kilkanaście.

- I znowu w czasie, kiedy coś nadajemy - uprzedzał pułkownika, ale Bertrand zdawał się nie przykładać do tego większej wagi. Mimo to wzmocniono obserwację okolicy z okien i poddasza pałacu, a radionadajniki często pracowały na ślepo, bez nawiązywania jakiegokolwiek łączności bezpośredniej. Stanowiło to sygnał dla korespondenta, że ma odpowiadać na innej linii i w innym czasie.

7 października ujawniła się nowa niemiecka linia G radiowego namiaru, działająca na tych samych elementach, co łączność „Cadix” - Londyn.

14 października Funkabwehra nadawała meldunek o dwóch ekipach namiaru gonio i dwóch ekipach ochrony, które kwaterują w Pont Saint-Esprit w hotelu „de l'Europe”, a 15 października niemieckie „Montpellier” sygnalizowało do Lyonu, że operacje na linii N i G nie dają rezultatu.

Tejże nocy z 15 na 16 października i przez cały ranek następny mnóstwo jaskółek obsiadało przewody elektryczne nad dziedzińcem pałacu Les Fouzes i w jego najbliższej okolicy. Patrząc na ten niezwykle ptasi najazd Fokczyński orzekł:

- Stąd odlatują za morze i to miejsce obrały sobie na znak, że i my niechybnie stąd pociągniemy...

- Co wygadujesz? - zdziwił się Palluth.

- Panie inżynierze, w zeszłym roku nie było tych jaskółek. A dziś, proszę popatrzeć - tysiące. U nas pod Pabianicami ludzie starzy, wiedzący, tak powiadali sobie: gdzie się zbierają za morze jaskółki, tam i chaty będą puste.

- To nie jakaś chata, to pałac - roześmiał się ktoś.

Tym proroctwom przysłuchiwał się też pułkownik Bertrand.

- Jesteście przesądni - powiedział zasępiiony - ale muszę wam powiedzieć, że i mnie ogarnia niepokój. Kto wie, jak się potoczą sprawy. W każdym razie musimy być czujni jeszcze bardziej niż dotychczas. Jak te ptaki, które gotowe są do drogi. Patrzcie, już zaczynają się zrywać...

Pocieszał się tym, że 19 i 21 października Niemcy po desperacku meldowali (Montpellier do Lyonu), że nadal są bezradni i nie mogą ustalić miejsca tajemniczej radiostacji, zmieniają więc miejsce nasłuchu i namiarów.

Wszakże pod koniec października trzeba było pomyśleć o zabezpieczeniu odwrotu. Bertrand po naradzie z pułkownikiem Langerem i inżynierem Palluthem postanowił szukać oparcia na Côte d'Azur u ludzi z siatki F 2. Po upadku polsko-francuskiej siatki wywiadu F 1 (czyli Famille 1), której członków aresztowano w Paryżu, Lyonie i Marsylii, dalsze kierownictwo tej akcji, noszącej od roku 1941 nazwę F 2, sprawował w danej chwili podpułkownik pilot Marian Romeyko. Liczyła ta siatka około dwustu Polaków, Francuzów i Francuzek. Miała stałą łączność z Londynem. Ze względu na to, że owa „Réseau F 2” kierowana była przez polskiego oficera, Bertrand pojechał na spotkanie z Romeyką (pseudo „Mak”) nie sam, ale z Langerem i Palluthem.

Mak był nieco zaskoczony. Siatka F 2, stale obserwując działalność francuskiego przemysłu, kontrolowała przede wszystkim bazy niemieckich U-bootów, niemieckie prace fortyfikacyjne, porty i węzły kolejowe w południowej Francji i we Włoszech oraz niemieckie transporty do Afryki Północnej. Udział w ewakuacji „Cadixu”, stanowiąc zadanie całkiem odrębne, mógł narazić całość tak ważnych spraw, ale Romeyko wyraził gotowość przyjęcia z pomocą. Uprzedził:

- Pracujemy jak na wulkanie. Jakież kwatery znajdziemy, ale o zapewnieniu całkowitego bezpieczeństwa trudno mówić. Oto adresy i hasła, ale - powtarzam - proszę korzystać z nich tylko w jakimś wypadku naprawdę ostatecznym...

Chyba nie trzeba dodawać, że wszyscy ci oficerowie byli ubrani po cywilnemu i każdy z nich, nosząc jakiś pseudonim, był posiadaczem paszportu, dowodu osobistego lub legitymacji - fałszywych. Dla przykładu - zażywny jegomość, rzekomy monsieur M. Barsac, agent firmy perfumeryjnej z Grasse, to pułkownik wywiadu Bertrand, a towarzyszący mu inżynier Palluth miał dokumenty na nazwisko Lenoir.

Pobyt na Riwierze trwał 5 dni. W tym czasie „Cadix” odebrał z Londynu ważną depeszę, ale nikt nie umiał jej odczytać, gdyż była zaszyfrowana osobistym kodem pułkownika Bertranda. Dopiero 4 listopada, po powrocie do Uzès, pułkownik odczytał jej treść. Brzmiała ona: „Żniwo jest dobre”. Poza tym „Y” zapytywał, czy informacja o koncentracji w okolicy Dijon jest potwierdzona oraz ile czasu zajmie Niemcom całkowita okupacja Francji...

Bertrand potwierdził otrzymanie radiogramu i powiadomił telegraficznie swojego paryskiego informatora „Maxa”, że wkrótce wybiera się do Paryża. Otrzymał na to telegram jednoznaczny: „Żniwo jest bardzo dobre i podróżowanie nie jest na czasie”.

Tak nadszedł ranek 6 listopada,

Pułkownik Bertrand właśnie był w łazience, kiedy usłyszał na korytarzu ciężkie, lecz bardzo śpieszne kroki podpułkownika Langer.

„To Luc. Co mu się stało, że prawie biegnie?” - zdziwił się Bertrand.

Langer zastukał, Wszedł. Był zasapany.

- Szeffie - powiedział - „montpelliści” już tu są. Kiedy ich zobaczyłem, jeszcze z daleka, kazałem przerwać nadawanie, ale oni jadą...

- Napijmy się dla kurażu po szklaneczce rumu - zaproponował Bertrand, po czym wszyscy zajęli się obserwacją,

Istotnie, ;na tle horyzontu, w odległości około 800 metrów widać było srebrną, błyszczącą w promieniach wschodzącego słońca, obracającą się na dachu furgonetki antenę namiaru gonio. Granatowy wóz marki Chevrolet wolno sunął i-v kierunku na „Cadix”, a poprzedzała go czarna limuzyna marki Citroën.

Wszyscy rzucili się do roboty. Angielski nadajnik został ukryty i zamurowany. Wszystkie wejścia zatarasowano, okna zamknięto żaluzjami. Pałac musiał wyglądać jak opuszczony.

Poprzez szczeliny w żaluzjach, w kompletnej ciszy, patrzono dalej.

Dwa pojazdy zatrzymały się przy pałacowym ogrodzie na drodze od Bagnoles. Z czarnej limuzyny wysiadło trzech mężczyzn w czarnych pelerynach. Z gumowymi pałkami w rękach poszli w stronę dwóch sąsiednich ferm. Byli to francuscy policjanci. Wywołując kolejno mieszkańców, najwidoczniej prowadzili z nimi dyskusje. Nie obeszło się bez użycia pałek. Na pałac - rzecz dziwna - nie z-wracali żadnej uwagi:

Wkrótce oba pojazdy odjechały, aby powrócić w to samo mniej więcej miejsce o godzinie 13.00, a potem rozpocząć tu nasłuch, który trwał od godziny 22.00 aż do 5.00 rano dnia 3 listopada.

Czym tłumaczyć wyraźne zlekceważenie przez tych ciekawskich pałacu Les Fouzes i jego nowego właściciela, Bertrand nie dowiedział się nigdy. Być może, odpowiednio pouczył policjantów przyjaciel z prefektury w Nîmes, albo po prostu bali się oni jakichś piekielnych niespodzianek przy próbie wtargnięcia do tajemniczo zatarasowanej magnackiej siedziby?

- Tak czy inaczej, mamy ostrzeżenie - orzekł Rejewski.

Tegoż wieczora musiała zapaść decyzja likwidacji „Cadixu”. Przy tej okazji Bertrand, zaglądając do notatnika, podsumował działalność ośrodka „Cadix”.

- Korzystaliśmy - mówił do Langer - z kilku źródeł informacji: - z moich ludzi w Vichy, Nîmes i Paryżu oraz z rezultatów nasłuchu i dekryptażu. Londyn otrzymał od nas 2748 radiogramów czyli 152879 grup literowych albo cyfrowych. Dekryptażowi przez naszą Enigmę uległy 673 radiogramy Wehrmachtu, 3097 - policji, niemieckich agentów - 518 i Komisji Zawieszenia Broni - 391. Ta nasza

praca trwała od 1 marca 1941 do 5 listopada 1942 roku, czyli 610 dni. Stosowaliśmy też kod specjalny. Rozwiązaliśmy tajemnice organizacji i metod działania Funkabwehry, paraliżowaliśmy ją bardzo skutecznie...

- Jednakże tylko do dnia dzisiejszego - ponuro zauważył Langer. - Sądzę, że znów będziemy musieli się rozstać.

Bertrand skinął głową, potwierdził:

- Taką decyzję już powziąłem, ale czekam jeszcze na potwierdzenie szefa. Patron jest już w drodze. Na razie zajmę się wywiezieniem wszystkiego, co należy wywieźć. Archiwum? Zrobię to sam. Nikt prócz mnie wiedzieć nie będzie dokąd. I nikogo nie chcę narazić. A jeżeli nie powrócę przed północą, obejmiesz dowództwo i najpóźniej jutro zarządzisz ewakuację. Tak, jak było umówione, partiami. I jeszcze jedno,...

Już stojąc, głosem wzruszonym powiedział:

- Luc, nie wiem, czy się zobaczymy, więc może mi wolno... Widzisz, chciałbym pewną rzecz wyjaśnić. Dla historii, Luc. Czy wiem wszystko? Absolutnie wszystko?

Langer, także przejęty, pokręcił głową.

- Nie, Bolek. Wszystkiego nie wiesz.

- Tak sądziłem, Luc. To była sprawa wasza. Nie musieliście ufać Paryżowi. Więc - od kiedy?

- Rejewski, Zygański i Różycki rozwiązali Enigmę już w końcu roku 1932 - wyskandował Langer, Wzięli się w ramiona, mocno, po męsku.

Kiedy zapadły ciemności, Bertrand zaczął wynosić paczki, którymi wyładował swój samochód. W pałacu panowała cisza i nikomu nie wolno było palić światła.

Późnym wieczorem Bertrand powrócił. Tryumfował:

- Archiwum zabezpieczyłem. A wracając minąłem się z „montpellistami”. Stoją niedaleko stąd, słuchają... Szkoda, że nie możemy im dać claiem pewnych pięciu liter... merde. Ale to nic, Napisze, to im na ścianie...

Przed północą przybyły z Vichy Patron potwierdził decyzję. Na dzień 9 listopada wyznaczono odjazd wszystkich - w nieznane.

Tymczasem rano 8 września 1942 roku przyniósł rozgłaszaną przez radio wieść o masowych desantach Anglików i Amerykanów w Afryce Północnej. Dowództwo aliantów tryumfowało, gdyż dzięki arkusikom z czerwonym napisem „Ultra” wiadano, że Niemcy zostali zaskoczeni. Świadczyły o tym odczytane uprzednio depesze generała Kesselringa, który przewidywał desant raczej na Sycylii.

Z kolei arkusiki „Ultra” podawały treść niemieckich rozkazów.

Generał Kesselring: zleca Komisji Rozjemczej w Tunezji przejście od Francuzów portów lotniczych i lotnisk w miastach Tunis i Bizerta.

Hitler: rozkazuje uchwycić te rejony i wysłać tam wojska.

Hitler: rozkazuje dowództwu niemieckiemu w Paryżu okupować resztę Francji.

Tak rozpoczynała się nowa faza wojny, która zaczęła się w Polsce, ogarnęła część Europy i dalekie oceany, a teraz gorzała na przestrzeniach Związku Radzieckiego i na wybrzeżach Morza Śródziemnego. Koalicja antyhitlerowska mogła stopniowo przejąć inicjatywę dzięki zwycięstwu w szyfrowym pojedynku.

Sprawcy główni tego zwycięstwa byli na razie bezdomni i narażeni na wielkie niebezpieczeństwa. Niemcy z Funkabwehry wkroczyli do pałacu Les Fouzes rano 12 listopada. Nic tam nie znaleźli, prócz wypisanego na ścianie brzydkiego słowa merde.

Was soll es bedeuten? - drapali się w głowy.

Zaglądamy w karty...

Dalsze perypetie rozproszonych członków załogi ośrodka „Cadix” przebiegały dramatycznie. Francuzów przegarnięto w mieszkaniach zaufanych uczestników francuskiej Résistance, czyli Ruchu Oporu. Z nim też dzielili ich niebezpieczne losy. Polaków kierował pułkownik Bertrand do umówionych

zawczasu „melin”. Z początku do Cannes, Antibes i Nicei, a po okupowaniu „Nizy” przez Włochów znów do Cannes, gdzie Mary Bertrand wynajęła cztery lokale, każdy na inne nazwisko.

Bertrand zamierzał ewakuować członków „Ekipy Z” bądź drogą morską do Gibraltaru, bądź przerzucić ich do Szwajcarii. Jednakże Włosi pilnowali zarówno wybrzeża jak i dróg na północ, pozostała więc tylko możliwość sforsowania granicy w Pirenejach. Cały „Jasny Brzeg” był już nafaszerowany agentami gestapo i włoskiej O.V.R.A., czyli Organizzazione Volontaria Repressiane Antifascismo, specjalnie polującej na cudzoziemców. Tymczasem żaden z Polaków, choć zaopatrzony w fałszywą carte d'identite i fałszywy dowód S.T.O., czyli Service du Travail Obligatoire - (świadcetwo pracy), nie miał kartek żywnościowych, bez których przetrwanie było w tamtych warunkach trudne.

Pułkownik Bertrand ubolewał, że trzy odlatujące do Afryki samoloty nie zabrały przynajmniej kryptologów. Były tam wolne miejsca, ale decyzja brzmiała: „Przede wszystkim - francuscy oficerowie”..

Lawirując pośród ustawicznych trudności i groźnych sytuacji Bertrand miał w ogóle mnóstwo kłopotów. Policja francuska wciąż ostrzegała: oto jasnowłosy, wysoki i korpulentny Polak (inżynier Suszczewski) samym swoim wyglądem budzi niezdrową ciekawość mieszkańców południa, a znowu dwaj inni Polacy (podpułkownik Langer i major Ciężki), najwidoczniej wynagradzając sobie długie odosobnienie od świata w pałacu Les Fouzes, wyżywają się nader nieostrożnie, krążąc od baru do baru w zupełnej beztrosce o możliwe konsekwencje. Toteż zabiegając o nowe kwatery dla swoich podopiecznych, a gdzie trzeba ratując ich przed wpadnięciem w ręce tej czy innej policji, pułkownik Bertrand jednocześnie planował przerzuty przez Pireneje do Hiszpanii.

Pierwszy przerzut wyznaczono na dzień 14 stycznia 1943 roku, ostatni na 4 lutego tegoż roku. Ale już pierwszy z tych „konwojów” został jeszcze w drodze aresztowany, i to przez policję, francuską. Więc dopiero rozkaz wyjednany w Vichy ocalił podpułkownika Langer'a i majora Ciężkiego przed wzorowanym na Dachau francuskim obozem Camp Le Vernet. Grupka ta miała ponowić przejście Pirenejów dopiero w marcu, tymczasem na pół legalnie zamieszkała w Perpignan.

Bodaj najmniej troski budzili ci dwaj, wszakże najważniejsi: Marian Rejewski, uchodzący za profesora liceum w Nantes Pierre Ranauda oraz posługujący się również fałszywym dokumentem - Henryk Zygałski. Obaj magistrzy matematyki wyglądali na niepokąźnych intelektualistów. Chodzących z jakimiś książczynami dwu spokojnych panów nikt nie posądzał o to, że mogliby stanowić groźbę dla hitlerowskiego czy pétainowskiego reżimu, który teraz gwałtownie zaprowadzono w dawnej „Zone Libre”. Powstawała tam już milicyjna organizacja typu faszystowskiego: La Légion des Combattants et des Volontaires de la Révolution Nationale, formowano też służbę S.O.L., czyli Service d'Ordre de la Légion. W ten sposób rzekomo rewolucyjny „Legion” i sprawująca pieczę nad lojalnością, Francuzów dla rządu Vichy „służba S.O.L.” maskować miały rozpaczliwą sytuację podbitego narodu.

Rejewski i Zygałski przez jakiś czas mieszkali w Cannes, ale potem musieli przenieść się do Antibes. Poznali tu Polaka, jakoby rzeźbiarza, ale wkrótce okazało się, że znajdujące się w jego pracowni odlewy gipsowe i wydrążone w metalu popiersia służyły za pomysłowe skrytki do przechowywania trotylu. Znów powróciwszy pod włoską okupację do Nicei, na próżno tu oczekiwali na wiadomy sygnał. Inni członkowie „Ekipy Z”, porozdzielani na małe grupki, także trwali w pogotowiu. Teraz wypadło im przedostać się pod okupację niemiecką na przedmieście Marsylii, gdzie kryptologów ukrywano na poddaszu, a następne - już w Tuluzie - na odmianę przesiedzieli cztery dni w składnicy węgla.

Obaj kryptolodzy byli cierpliwi i gotowi do znoszenia tych przeciwności - aby tylko dorwać się znów do swoich zajęć czyli do bezpośredniego udziału w toczącej się wojnie.

Kiedy poruszali ten temat, Rejewski mówił:

- Bolek natychmiast da znać „Ygrekowi” o tym, że sforsowaliśmy Pireneje. Musimy tam dotrzeć do jakiegoś miasta i ujawnić się, Bolek zapewniał, że nawet w wypadku zaaresztowania Londyn użyje wszystkich możliwych środków, żeby nas wyzwolić i sprowadzić do siebie. Po rozpętaaniu się walk w Afryce Północnej Madryt wyraźnie zmiękł...

- Ciekaw jestem najbardziej Baraku nr 3 i w ogóle całego Bletchley. Z pewnością Anglicy rozwinęli i ulepszyli to, co widzieli w Pyrach - zauważył Zygałski.

- No, jasne, przy posiadanych przez nich pieniądzach i przy ich wysokiej technice mogli doprowadzić do tego, co jest - tu Rejewski uśmiechnął się i mówił dalej:

- Bo to jest tak: wyobraź sobie graczy, siedzących przy tej złodziejskiej grze w pokera, grze o stawkę, najwyższą. A więc - Hitler, Georing, Himmler oraz różni tam Keitlowie, Kesselringowie i Rommlowie licytują się z Churchilllem i jego generałami. Tymczasem Churchill ma zawsze jockera, poza tym jakby zaglądał im w karty, zna je, a oni nie mają o tym pojęcia.

Wspomniawszy o Różyckim, Zygalski mówił:

- A zaczęło się od nas. Szkoda, że Jurek tego nie zobaczy...

Byli więc przekonani, że już niebawem rozpoczną pracę. Jakże inaczej? Gdzie szukać kryptologów o takim doświadczeniu i osiągających tak wielkie sukcesy? Przecież decydując się na odstąpienie ich Anglikom, Bertrand wykrzyknął: Jesteście mistrzami maszyny Enigmy, jesteście specjalistami zupełnie wyjątkowymi. Co za gratka dla Intelligence Service!"

Po francusku to brzmiało: „Vrais artisans de la machine Enigma, techniciens uniques. Quelle aubaine pour S.I.S."

Wreszcie oczekiwany sygnał nadszedł. Rejewski i Zygalski wyjechali na południe do Perpignan, gdzie już nocą przesiedli się do pociągu idącego na zachód wzdłuż pirenejskiej granicy. Towarzyszył im młody przewodnik, zawodowy przemysłowiec, ale trzymał się z daleka. Dokumenty rzekomych nauczycieli przeglądano kilkakrotnie: w pociągu, na dworcu miasteczka Latour-de Carol, w hotelu, gdzie stanęli, a wreszcie na skrzyżowaniach ulic, kiedy po odświeżeniu się wyszli do miasta. Bertrand dopilnował wszystkiego: dokumenty ich nie budziły wątpliwości, przybycie dwu pasażerów do podgórskiej miejscowości miało formalne uzasadnienie, wreszcie ku bliskim przejściom granicznym prowadziły stąd niezbyt trudne, znane tylko przemysłowcom, ścieżki.

Przeprawa rozpoczęła się następnej nocy. Należało przekroczyć wijący się wąwozem strumień o nazwie Carol, a obok strumienia tor kolejowy i szosę, po czym rozpocząć wspinaczkę. Granica między Francją i Hiszpanią ciągnęła się tu na wysokości 1200 metrów. Już w pobliżu szczytu przemysłowiec stanął i zaczął się domagać pieniędzy, groźnie manipulując pistoletem. Wysuplano więc resztę pieniędzy i nareszcie, przy słupie granicznym z napisem „España", zakończył się ten pierwszy etap, jak miało się okazać - najłatwiejszy.

Przewodnik znikł we mgle przedświt, oni zaś zaczęli schodzić w dolinę ku nikłym światłom niedalekiego miasta.

- Puigcerda przed nami - tryumfalnie zawołał Zygalski.

Przyspieszyli marsz... aby doznać srogiego zawodu. Zapowiedzi pułkownika Bertranda nie sprawdziły się. W Puigcerda zajęły się Polakami Guardia Civil i Policía de Seguridad. Hiszpański sierżant wpakował ich do aresztu, gdzie siedziało już kilku Francuzów, także „nielegalnych". Po tygodniu wszystkich zawieziono do oddalonego o 39 kilometrów miasta Bellver de Cerdana, a po następnym tygodniu - do dużego więzienia w Seo de Urgel. Siedzieli tam do 25 marca 1943 roku, po czym następne dwa miesiące przebyli w głównym więzieniu miasta Lerida. Dopiero w końcu maja zezwolono obu Polakom na zamieszkanie w Madrycie, gdzie musieli się co tydzień meldować policji. Pobyt w pensjonacie opłacał Polski Czerwony Krzyż. Tutaj dopędziły Rejewskiego i Zygalskiego dwie fatalne wiadomości.

Donoszono bowiem w formie dyskretnej, że Luc i jego zastępca, a więc podpułkownik Langer i major Ciężki, zostali zdradzeni przez hiszpańskiego przewodnika jeszcze w Perpignan. Niemcy wywieźli ich do jednego z oflagów. Stało się to w marcu.

Następnie dnia 12 lutego 1943 roku w ręce Niemców wpadli Lenoir i Fonk. Pod tymi pseudonimami kryli się inżynier Palluth i mechanik Fokczyński. Palluth zdołał wysłać do Bertranda gryps: „Zachorowałem po spożyciu zielonej fasoli w konserwie. Prośba uprzedzić Helenę i Jerzego". Zielona fasola oznaczała Niemców, konserwa - więzienie. 2 marca Bertrand otrzymał drugi list z prośbą o pomoc. Chodziło o żywność. Adres inżyniera Pallutha i Fokczyńskiego był podany: „Front-Stalag nr 122 (Bat. A-S) Polizeihafthlager Compiègne (Oise)". Bertrand, chociaż wciąż zajęty sprawami wywiadu na rzecz Londynu, zdołał zamówić w Compiègne dużą paczkę wędliny, a jednocześnie, będąc znów w Paryżu, wpłacił pewnemu pośrednikowi 25 tysięcy franków w charakterze kaucji na wykupienie tych, którzy Enigmę zmontowali. Jednakże Palluth i Fokczyński zostali wysłani 27 kwietnia do Konzentrationslager Sachsenhausen w Oranienburgu pod Berlinem, a kaucja przepadła. Było to dla nich tragiczne...

W ostatnich dniach czerwca 1943 roku Anglicy zorganizowali wreszcie sekretną ewakuację większej grupy Polaków z Madrytu przez Portugalię do Gibraltaru. Uratowano wtedy między innymi Rejewskiego i Zygalskiego. Na południowym wybrzeżu Portugalii oczekiwał na nich niewielki statek rybacki, który wyszedł w morze pod osłoną ciemności. W mroku zamajaczyły okręty. To brytyjski niszczyciel podszedł lewą burtą tuż tuż do prawej burty stateczku rybackiego. Rejewski wahał się - czy skakać...

- Go on! Skakać! - zachęcił bosman brytyjski. Skoczyli.

Polacy wyratowani z Festung-Europa skakali po kolei. Dowódca niszczyciela kazał wynieść na pokład kilka butelek whisky i szklaneczki. Wypito za pomyślny wynik wojny, za jej szczęśliwe dla świata i dla Polski zakończenie.

W Gibraltarze, do którego niszczyciel dotarł o świcie, pracowała wtedy komisja badająca przyczynę katastrofy lotniczej, w której dnia 4 lipca zginął ze swym sztabem generał Władysław Sikorski, polski premier i naczelny wódz na emigracji. Rejewski i Zygański odlecieli 30 lipca Dakotą do Anglii. W słynnej Patriotic School pod Londynem, gdzie bardzo szczegółowo indagowano każdego przybysza z Europy, nikt ich obu nie badał. Widocznie najwyższe dowództwo brytyjskie, znając ich dobrze, zatroszczyło się o to, aby nie musieli ujawniać na papierze, kim są, gdzie i co robili.

Jednakże może z tej właśnie przyczyny nie odesłano polskich specjalistów kryptologów do Bletchley. Nie byli już tam potrzebni, zrobili swoje... Poza tym nie byli Anglikami... Jeszcze tego samego dnia odlecieli do Szkocji. Tam, w polskich koszarach, zostali umundurowani i otrzymali legitymacje.

Polskim Siłom Zbrojnym na Zachodzie przybyło dwu szeregowców, przydzielonych do Kompanii Radiowywiadowczej w Boxmoor pod Londynem. Byli to: szeregowiec Marian Rejewski i szeregowiec Marian Zygański. Dopiero 10 października otrzymali nominację na podporuczników czasu wojny. W pewnym stopniu polepszyło to ich sytuację towarzyską i uchroniło przed zaczepkami różnych zupaków i waśniaków, niekiedy wyzywających się w stawianiu na baczność szeregowych. Zresztą dowódca Batalionu Łączności Sztabu Naczelnego Wodza Tadeusz Lisicki i dowódca kompanii Kazimierz Zieliński od samego początku traktowali obu kryptologów oraz trzech radiotelegrafistów, także pochodzących z „Ekipy Z” z całą, na jaką zasługiwali, życzliwością.

Podjęto tu na nowo pracę przerwana we Francji, mianowicie łamanie kodów i szyfrów SS. W tym drugim okresie wojny Niemcy stosowali skomplikowany szyfr digraficzny oraz częściej zmieniali klucze i nastawy, nawet co 8 godzin. Pomimo to odczytano tysiące hitlerowskich depeš z samej Rzeszy i z terenów okupowanych. Z pewnością pomogło to organizacjom Ruchu Oporu i ocaliło od rozbicia niejedną akcję partyzancką. Tak więc niemieccy specjaliści z departamentu tajnej łączności SS i SD nie zdołali się oprzeć naukowej i psychologicznej docieklivosti polskich kryptologów, podobnie jak poprzednio musieli im ulec kryptologowie i konstruktorzy pracujący dla Wehrmachtu, Luftwaffe i głównej kwatery Hitlera. Teraz w całej pełni korzystał z polskiej metody ośrodek Bletchley, korzystali więc wszyscy, dla których ośrodek Bletchley pracował.

W ciągu tych kilku miesięcy, kiedy Rejewski i Zygański byli wyłączeni z jakiegokolwiek udziału w „wojnie mózgów”, frontowa sytuacja największych w historii zmagani orężnych zmieniła się całkowicie. Przede wszystkim na przełomie lat 1942-1943 w bitwach pod Stalingradem Armia Radziecka zniszczyła całkowicie 32 niemieckie dywizje i 3 niemieckie brygady, ponadto rozbijając 16 innych wielkich jednostek, a w połowie lipca 1943 roku zadała Niemcom olbrzymie straty w obszarze Kurska i rozpoczęła marsz w kierunku Dniepru i Smoleńska.

Ze swej strony Brytyjczycy i Amerykanie zlikwidowali niemiecko-włoskie siły w Afryce Północnej, zmuszając je do kapitulacji w maju tegoż roku, po czym już w lipcu rozwinęli operacje desantowe na Sycylii, a we wrześniu wylądowali w południowych Włoszech i zmusili rząd włoski do kapitulacji.

W roku 1943 zrzucono na Niemcy ponad 200 tysięcy ton bomb i co miesiąc niszczone wiele U-bootów (w maju - 40, w lipcu i sierpniu - 70 niemieckich okrętów podwodnych).

Rola kartek z napisem „Ultra”, ekip SLU, czyli Special Liaison Units oraz aparatury służącej do szybkiego odnajdywania kluczy szyfrów, a w samej swojej zasadzie opartej na idei polskiej „bomby”, była w tym okresie niewątpliwie ogromna, skoro dowództwa sojusznicze poznawały nieprzyjacielskie ordres de bataille i najważniejsze nieprzyjacielskie zamiary. Ciągłość alianckich wysiłków w zakresie dekryptaży prowadziła od przełomowych odkryć warszawskich po rozwinięcie ich w Anglii.

Losy wojny na Oceanie Spokojnym też zaczęły się ważyć. Jeszcze w maju 1942 roku Amerykanie, znając zamiary Japończyków dzięki rozszyfrowaniu maszyny Purple, czyli japońskiej Enigmy, zdołali przeszkodzić im w ofensywie na Morzu Koralowym, na Nową Gwineę i Wyspy Salomona. W czerwcu tegoż roku olbrzymia desantowa flota japońska z czterema lotniskowcami i eskortą okrętów podwodnych usiłowała opanować wyspę Midway, położoną w połowie drogi między Japonią a Stanami Zjednoczonymi. I znów Amerykanie po odszyfrowaniu japońskich radiogramów zdołali atak odeprzeć. Japończycy utracili w tej bitwie większość lotniskowców z 253 samolotami oraz ciężki krążownik. Rola dekryptaży i radiolokacji okazała się decydująca.

Podobnie i w końcu 1942 roku, podczas walk o Guadalcanal, rozstrzygnięcie na swoją korzyść Amerykanie zawdzięczali nie samej tylko bitewnej zasłudze tysięcy lotników, marynarzy i żołnierzy lądowych, ale w dużym stopniu kryptologom, którzy zapewnili generałom poznanie rozkazów przeciwnika, oraz radarowcom, którzy tego przeciwnika zawczasu sygnalizowali.

A w kwietniu 1943 roku odszyfrowanie radiogramów japońskich pomogło myśliwcom amerykańskim w zestrzeleniu dwóch bombowców, którymi ze swoim sztabem leciał admirał Yamamoto. Wreszcie po kilku morderczych dla obu stron bitwach powietrzno-morskich Amerykanie usadowili się na Filipinach i wyspie Guam w archipelagu Mariańskim, skąd już w końcu listopada 1944 roku mogli rozpocząć regularne naloty na Japonię. Amerykańskim odpowiednikiem brytyjskiego systemu „Ultra” był „Magic”.

Churchill, stając na czele rządu Wielkiej Brytanii w najbardziej dla niej krytycznym okresie, pierwszy docenił szansę, jaką dawały mu kartki z nadrukiem „Ultra”. Ze zdumieniem witał fakt, że maszyną szyfrującą Enigma posługuje się nie sam tylko Goering, wydający rozkazy swoim flotom powietrznym. Na Enigmie polegał też Hitler, wydając przez nią rozkazy swoim marszałkom i generałom, oni zaś z kolei posługiwali się szyfrową maszyną zarówno do składania fűhrerowi meldunków, jak i w rozkazodawstwie własnym. Poza tym agendy Sicherheitsdienst i sztaby SS porozumiewały się w ten sam sposób, co pozwalało na ogólny wgląd do samego wnętrza organizmu Trzeciej Rzeszy.

„Barak nr 3 to jakby cień całego niemieckiego dowództwa” - powiedział z wielkim zadowoleniem Churchill.

„Premia dla nas, na którą nie liczyliśmy” - nadmienił kiedy indziej, mając na myśli przebieg kampanii w Afryce Północnej, podczas której generałowie brytyjscy i amerykańscy dowiadawali się od przydzielonych im ekip SLU, czyli Special Liaison Units, o sile i zamiarze przeciwnika, już z góry przygotowani do stawiania mu czoła. W ten sposób Niemcy tracili jeden z głównych atutów walki, mianowicie ulubione przez nich zaskoczenie. Zdarzało się i tak, że Churchill pierwszy otrzymywał rozkazy Hitlera, podczas gdy niemiecki dowódca, nie rozumiejący ich treści, prosił o powtórzenie depeszy.

W szczególności cieszyły alianckich wodzów te okresy, w których Hitler, zwątpiwszy w swoich generałów, sam obejmował dowodzenie, ale „zdalnie”, bo aż z Prus Wschodnich, gdzie miał swoją kwaterę główną. W tych okresach przechwytywano i odczytywano najbardziej sekretne dyspozycje Hitlera, jeszcze zanim dochodziło do ich wykonania.

Kiedy indziej znów generał Kesselring sygnalizował o terminie odejścia morskiego konwoju z podaniem jego marszruty i ładunków. W takich razach wysyłano na spotkanie konwoju samolot zwiadowczy, który dawał się Niemcom poznać. Brytyjskie okręty wojenne wyruszały na kurs konwoju dopiero później, aby tylko nie obudzić podejrzeń, że Enigma jest czytana. Po jednym z takich wypadków Anglicy nadali depeszę do rzekomego agenta w Neapolu, dziękując mu za cenną o konwoju informację. Nadano tę depeszę szyfrem, który był Niemcom znany. Ofiarą zacieklej poszukiwań rzekomego agenta padł wtedy Bogu ducha winny włoski admirał...

Tak jest: wyimaginowany przez Rejewskiego obraz pokerzystów, z których tylko jeden z grających zna kartę przeciwnika, trafnie oddawał sytuację. Jeśli w tym czasie prezydent, Roosevelt nazwał Polaków „natchnieniem narodów”, to jakby wiedział, że zasłużyli sobie na to nie tylko wołą walki, ale także inspiracją brytyjskiej Ultry i brytyjskiej aparatury, a krótko mówiąc - pracą polskich umysłów. Efekty tej pracy, choć niewidoczne, zaważyły na przebiegu wojny.

Churchill, czując się coraz pewniejszy, obawiał się już tylko skutków akcji niemieckich U-bootów, blokującej dopływ do Wielkiej Brytanii niezbędnych do przetrwania i prowadzenia wojny surowców, żywności i materiałów wojennych. Ale i tu pomocne były kartki z napisem „Ultra” zawierające pośród innych wiadomości dane o lokalizacji niemieckich statków, które zaopatrywały U-booty na dalekich morzach. „Osią bitwy o Atlantyk była Ultra” - napisze historyk. Co prawda w połowie 1943 roku Royal Navy zdobyła niemiecki U-boot z maszyną Enigma i kompletem kluczy szyfrowych, ale niewiele to przyniosło nowego, bo przecież takie same Enigmy otrzymali Francuzi i Anglicy od podpułkownika Langerera w Pyrach pod Warszawą jeszcze dnia 25 lipca 1939 roku, czyli blisko cztery lata wcześniej. A w ciągu tych czterech lat system „Ultra” walczył w uratowaniu Anglii od inwazji, w otwarciu dla żeglugi sojuszników Morza Śródziemnego, w uratowaniu przed Niemcami zasobów ropy naftowej na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w konwojach do Związku Radzieckiego, a wreszcie w przygotowaniach aliantów do zaatakowania hitlerowskiej „Festung Europa” od zachodu.

Właśnie poczynszy od roku 1942, kiedy Amerykanie coraz liczniej przybywali na Wyspy Brytyjskie, a znów Brytyjczycy instalowali swoje placówki SLU na Pacyfiku, doszło z Anglosasami do ścisłej współpracy także i w zakresie dekrzyptażu. Generała Eisenhowera, który założył swoje dowództwo na placu St James w Londynie, wtajemniczył w sprawę systemu Ultry sam Churchill. Wyżsi oficerowie amerykańscy znaleźli się na liście „abonentów” karetek „Ultra”, przy czym zobowiązano ich do zachowania ścisłej tajemnicy. Bezpieczeństwa sekretu pilnował nadal wing-commander Winterbotham, a miał z tym wiele kłopotu, bo ci i owi z generałów amerykańskich nie grzeszyli ostrożnością, a znów inni w nie znane im źródło nie wierzyli.

Ponieważ generał Menzies, szef Intelligence Service, a więc i ośrodka w Bletchley, osiągnął zbyt wielki a nie kontrolowany wpływ osobisty na prowadzenie wojny opierając się na kartkach „Ultra”, więc organizację dekryptażu przekazano komisji zwanej Joint Intelligence Committee, do której generał Menzies należał, ale jej przewodniczącym był przedstawiciel Foreign Office’u.

O tym, jak przedstawiało się wykorzystanie polskiego wynalazku i jak ściśle realizowano dawną żelazną zasadę podpułkownika Langer’a, niech świadczą brytyjskie przepisy, chroniące tajemnice, systemu Ultry:

1. Lista użytkowników SLU jest ściśle ustalona, nowi użytkownicy muszą mieć zgodę generała Menzies’a.
2. Uprawniony do obsługi SLU oficer zapoznaje z treścią otrzymanej depeszy właściwego dowódcę, po czym sama depesza musi być zniszczona.
3. Odtwarzać, powtarzać lub przekazywać treści depeszy nie wolno.
4. Nie wolno też powoływać się na źródło „U” w rozkazach i dyrektywach.
5. Podejmowanie akcji bojowych w związku z informacją „U” musi być maskowane przez jakieś inne źródło, na przykład samolot zwiadowczy itp.
6. Odbiorcom informacji „U” nie wolno dobrowolnie i świadomie popadać w sytuacje, które grożą dostaniem się w ręce nieprzyjaciela.

Pełni temperamentu dowódcy, którzy, jak amerykański generał George Patton, lub amerykański generał lotnictwa Jimmy Doolittle, lubili ryzyko osobiste, protestowali więc przeciwko zakazowi ostatecznemu, ale wreszcie musieli mu się poddać.

Panikę wywołało zestrzelenie nad Francją wyższego oficera RAF, znającego tajemnicę „U”. Szczęściem udało się go wyewakuować do Wielkiej Brytanii za pomocą specjalnej komórki wywiadowczej.

Jeśli chodzi o Amerykanów, zabierających się na serio do masowych bombardowań miast niemieckich, byli oni szczególnie wdzięczni za sygnalizowanie przez Ultrę aktualnego komunikatu Frontwettermeldung i w ogóle informacji WEWA, czyli Wetterwerte o stanie pogody na poszczególnych obszarach Trzeciej Rzeszy.

Sam Churchill wyjeżdżając na konferencje zagraniczne, jak na przykład w styczniu 1943 roku do Casablanki, zabierał ze sobą komórki SLU. Przy naradzie odbytej w sprawie lądowania na Sycylii w maju 1943 roku w La Mersa koło Kartaginy, dowódcy alianccy posługiwali się informacjami placówki SLIJ, która co 24 godziny przekazywała po 200 rozszyfrowanych, niekiedy bardzo długich, depesz.

W tym czasie kryptolodzy Rejewski i Zygałski przebywali w hiszpańskich więzieniach. Organizatorzy ośrodka „BS-4”, podpułkownik Langer i major Ciężki, pochwyceni na hiszpańskiej granicy, znaleźli się w oflagu. Konstruktorzy polskiej Enigmy i „bomby”, inżynier Palluth i mechanik Fokczyński, tracili zdrowie w Sachsenhausen-Oranienburgu. Pułkownik Bertrand na terenie okupowanej Francji kierował placówką wywiadu.

Wiosną 1943 roku odebrano depeszę niemieckiego naczelnego dowództwa, zarządzającą specjalnie silną obronę przeciwlotniczą obiektu „FZG36” nad Bałtykiem. Była to nazwa kodowa ośrodka rakietowego w Peenemünde. Po dalszych depeszach i po rozpoznaniu lotniczym Peenemünde zbombardowano. Dzięki Polakom o rakietach donieść mogła Ultra; zawdzięczając innym Polakom dostarczono później Anglikom opis i części rakiet.

Churchill w dalszym ciągu mógł odczytywać rozkazy i dyrektywy Hitlera, który je wysyłał przez Enigmę ze swoich kwater w Berlinie i w „Wilczej Jamie” koło Kętrzyna. Podobnie orientowały Churchilla meldunki w ten sam sposób kierowane do führera przez jego generałów. We wrześniu 1943 roku, planując operacje desantowe na terenie Włoch, alianci znali dyslokacje i poruszenia wojsk hitlerowskich dzięki placówkom SLU. W listopadzie 1943 roku, wyjeżdżając na konferencję aliantów do Teheranu, Churchill chciał mieć przy sobie komórkę SLU, która dostarczała mu „na bieżąco” odczytane szyfrogramy Hitlera i jego generałów.

Operacje, desantową pod Anzio we Włoszech przeprowadzono źle, nie wyzyskano bowiem informacji Ultry.

Dnia 14 maja 1944 roku przekazano Churchillowi depeszę generała Kesselringa do Hitlera. Kesselring donosił, że wskutek głębokiego włamania się francuskich oddziałów marokańskich w górach na południe od Cassino „cała linia Cassino jest teraz w niebezpieczeństwie”.

Nazajutrz 15 maja Kesselring powiadamiał Hitlera o sforsowaniu przez inne poważne siły francuskie masywu Monte Aurunci, panującego nad całą doliną Liri i nad drogami zaopatrzenia obronnej linii Cassino.

16 maja odczytano raporty Kesselringa o sukcesie brytyjskich i polskich sił wokół Cassino, wreszcie 17 maja Kesselring doniósł, że nakazał ewakuację całego frontu Cassino, gdyż - jak oświadczył - Francuzi posunęli się o 25 mil, czyli około 40 kilometrów w głąb i na tyły pozycji niemieckich.

Bletchley zakomunikowało o tym Churchillowi w ciągu kilku minut. Zaraz dowiedziano się o tym w sztabach alianckich i w dalekim Waszyngtonie. Zatknięcie polskiego sztandaru na murach klasztoru, co nastąpiło rankiem 18 maja, zakończyło ten krwawy epizod wojny.

Dnia 24 maja depesza Hitlera zezwoliła wojskom niemieckim na wycofanie się na „linię Cezara”, a 3 czerwca 1944 roku inna depesza wyraziła zgodę na oddanie Rzymu bez walki.

Nieco przedtem dowódca specjalnej formacji Luft-Nachrichten-Versuchs-Regiment pułkownik Wachtel zameldował przez Enigmę dowódcy korpusu generałowi Heinemannowi, że ma już we Francji 50 gotowych wyrzutni rakiet V-1. Przyspieszyło to decyzję sojuszników o rozpoczęciu w dniu 6 czerwca 1944 roku gigantycznej operacji desantowej w Normandii. Nawet obranie plaż i miast normandzkich na teren lądowania uzależnione było od informacji pochodzących ze źródła „U”. Jeszcze przy końcu poprzedniego roku odebrano mianowicie depeszę generała Rundstedta, w której przewidywał on desant aliantów w rejonie Pas de Calais, a nie w Normandii, czy gdzie indziej.

Przygotowując się do inwazji rozmnożono placówki SLU. Cała ich sieć miała obsługiwać wojska desantowe. Z wielkim zainteresowaniem odczytywał generał Eisenhower szyfrogramy generałów Rommla i Schweppenburga do Hitlera: pierwszy proponował użycie dywizji pancernych do odparcia desantu już na plażach, natomiast drugi zgłaszał projekt zatrzymania głównej masy czołgów w głębi lądu.

W tym właśnie czasie Rejewski i Zygałski przeżyli niemałe wzruszenie. Jak co dzień mocowali się z odczytywaniem radiogramu którejś z jednostek SS, kiedy zadzwonił telefon. Pochłonięty żmudną pracą Rejewski niechętnie podniósł słuchawkę i początkowo nie wierzył sam sobie: oto mówi do niego pułkownik Bertrand. Już znalazł się w Londynie razem z panią Mary i oboje chcieli zobaczyć ostatnich ocalałych członków „Ekipy Z”.

Inwazja na kontynent była w pełnym toku, kiedy dnia 25 czerwca 1944 roku państwo Bertrand przyjechali do Boxmoor. Zebrano się w oberży „White Horse Inn”. Jak się okazało, pułkownik omal nie zginął. Rozpracowany przez Abwehrę, wpadł w jej ręce podczas jednej z wypraw do Paryża. Niemcy chcieli tak cenną zdobycz wyzyskać do końca. Mając pułkownika w rękach, zobowiązali go do ujawnienia całej siatki, która pracowała na rzecz Londynu. Jednakże przemysłny Francuz postawił warunki: przedtem musi razem z żoną powrócić do Vichy swobodnie, nie budząc podejrzeń, że działa pod przymusem. Opowieści wychudzonego Bertranda o tym, jak zdołał swoich ludzi ostrzec, a Niemcom umknąć i jak oboje z żoną musieli się tulać po różnych melinach, zanim zabrał ich w nocnym locie do Anglii specjalnie przysłany Lysander, słuchano z przejęciem.

Odpowiadając na pytania Bertranda Rejewski wyjaśniał:

- W Bletchley tak opanowano cały problem, że już nie byliśmy Anglikom potrzebni. Mniejsza z tym. Ale wielka szkoda, że nie chcą nam pomagać aparaturą. Szyfr SS, którym się teraz paramy, jest preparowany w szczególny sposób, jakby „sproszkowany” w bigramy i trigramy, czyli w dwa albo trzy znaki literowe, a dopiero potem szyfrowany. Inny system, kod wyrazowy plus szyfr - oto co złamaliśmy. No i klucze. Zmieniane co 6-8 godzin. Ale to wszystko odkryliśmy absolutnie bez żadnej aparatury. Upominaliśmy się, prosiliśmy, ale oni jakby ogluchli. A przecież chodzi o szybkość. Tam w Europie muszą wiedzieć, jakie nowe zbrodnie planuje SS. Czy Anglicy nie rozumieją tego?

- No cóż, zapomnieli o nas - machnął ręką Zygałski.

W rezultacie tej wizyty małżonkowie postanowili zamieszkać w Boxmoor, w czym dopomogli im Polacy.

- Wyrwaliśmy się cało z hitlerowskiego piekła nie po to, żeby w Anglii ginąć od głupiej „doodle-bug”, jak tu przezywają latającą bombę - oświadczył Bertrand.

Istotnie, wobec inwazji na kontynent, Hitler uruchomił wszystkie wyrzutnie rakietowe. Począwszy od wtorku 13 czerwca Niemcy wyrzucali na Londyn i okolice od 100 do 150 bomb V-1 dziennie. Spadały one beładnie na mieszkalne domy, świątynie i parki. Dzieci w trosce o ich bezpieczeństwo wywożono na wieś. W teatrach i kinach bywało teraz pusto. Kto mógł, starał się nocować nie w samej stolicy, lecz w jej okolicach. Pomimo to zabitych liczono już na tysiące, a rannych na dziesiątki tysięcy.

Tymczasem natarcie na „Festung Europa” trwało. Od początku przebiegało ono pod znakiem zaskoczenia.

Oto w dniu rozpoczęcia lądowań na plażach Normandii 6 czerwca 1944 roku około godziny 2.00 po północy rozszyfrowano w Bletchley depesze niemieckiego sztabu morskiego, nadaną z Paryża. Depesza krótko informowała naczelnego dowódcę na zachodzie marszałka Rundstedta, a także

samego Hitlera w jego „Wilczej Jamie”, słowami: „Inwazja już rozpoczęta”. Jednakże Rundstedt niezbyt w to uwierzył i na wszelki tylko wypadek postawił przez Enigmę w stan alarmu 15, armię, która broniła obszaru Calais. W Baraku nr 3 odczytano i tę depezę. A w sztabie Eisenhowera uradowano się: broniąca Normandii niemiecka 7, armia będzie zaskoczona...

Dalszy wykaz odczytanych w Bletchley niemieckich radiogramów budzi szczery podziw, a niekiedy - uśmiech...

Dnia 6 czerwca późnym rankiem generał Rommel nakazywał skierowanie 21, dywizji pancerniej do Caen i dalej na zachód. Depeszę nadano z Rzeszy; Rommla w Normandii wtedy nie było.

Tegoż dnia wieczorem Hitler zezwolił na wprowadzenie do walki 12. dywizji pancerniej z odwodów naczelnego dowództwa.

7 czerwca Rommel meldował Hitlerowi, że ściga z Bretanii dwie dywizje, zmotoryzowaną i pancerną, które wspólnie z 11. korpusem wojsk powietrzno-desantowych mają zatrzymać Amerykanów na półwyspie Cotantin. A Rundstedt skierował do walki jedną „Panzer Lehrdivision” (szkolną). Odpowiedź Rommla: 12. dywizja pancerna jest bez paliwa, a szkolna niegotowa. do akcji.. Dnia 13 czerwca Rommel donosi, że szkolna dywizja utraciła 100 czołgów. 14 czerwca Rommel do naczelnego dowództwa: o zniszczeniu 91. i 77. dywizji. Hitler do generała Schliebena, komendanta Cherbourg, że ma się bić do ostatka. Enigma informowała dalej, że w rejonie Caen przygotowują się do natarcia trzy niemieckie dywizje pancerne, a dwie dalsze - 9. i 10. dywizje pancerne - są w drodze z frontu wschodniego do Francji. Wreszcie Enigma donosiła o skierowaniu na front 1. dywizji pancerniej SS z Belgii i 2. dywizji pancerniej SS z Tuluz w południowej Francji.

Odwołanego przez Hitlera marszałka Rundstedta zastąpił na froncie zachodnim metodyczny generał von Kluge. Z, miejsca zażądał od podwładnych nadesłania szczegółowych danych o liczebności, uzbrojeniu i zaopatrzeniu jednostek. Dane te przekazał naczelnemu dowództwu. Uczynił to znów przez Enigmę. Sojusznicy wiedzieli więc wszystko, co chcieli wiedzieć. Między innymi to, że składająca się z dziewięciu dywizji pancernych. 5. armia pancerna ma zmniejszone stany zdolnych do walki czołgów.

Wreszcie po wielu innych radiogramach dowiedziano się o kotle, w którym znalazła się 3. armia, a 31 lipca depeza generała von Kluge do Hitlera brzmiała tak: „Front został rozerwany. Aktywność alianckiego lotnictwa jest niezwykle silna”. Na to padła odpowiedź, że dowodzenie na całym zachodnim teatrze wojny obejmuje osobiście führer...

Powtórzmy, że zamknięcie tak ważnego „worka Falaise” przez polską 1, dywizję pancerną niektórzy „historycy” brytyjscy przypisali... Kanadyjczykom. Dlaczego? Z tej tylko racji, że polska dywizja pancerna wchodziła w skład, kanadyjskiego korpusu...

Od chwili objęcia przez Hitlera osobistego dowództwa na Zachodzie, sojusznicze naczelne dowództwo dowiadywało się bezpośrednio z Berlina o planach operacyjnych i o dyrektywach samego führera. A więc już w godzinę po nadaniu odczytywano te depeze w Londynie. Podobnie było z meldunkami generała von Kluge, który ostatecznie popełnił samobójstwo, a następcą jego został generał Model. Nareszcie odczytano depezę Hitlera, który rozkazywał armiom frontu zachodniego „trzymanie się tak długo, jak to tylko możliwe na przedpolach linii Zygfryda, a następnie obsadzenie tej linii”. Jednakże załogi portów i twierdz miały walczyć „do ostatniego żołnierza”.

W dalszym przebiegu wojny na Zachodzie generałowie anglosascy tak bardzo się przyzwyczaili do polegania na informacjach Ultry, że przygotowana w zupełnej tajemnicy grudniowa ofensywa pancerna generała von Rundstedta w Ardenach zaskoczyła armie amerykańskie. Bo po prostu von Rundstedt wstrzymał wydawanie rozkazów przez Enigmę i to mu wystarczyło do zadania aliantom bardzo poważnego ciosu.

Wszakże nadszedł dzień 15 kwietnia 1945 roku, kiedy Ultra odebrała ostatni zaszyfrowany przez Enigmę rozkaz Hitlera, a po kilku godzinach depezę Goeringa, który zapytywał: „Mój führerze, wobec pańskiej decyzji pozostania na posterunku w twierdzy Berlina, czy wyraża pan zgodę, abym przejął pełną władzę w Rzeszy jako pański zastępca...”

W odpowiedzi Hitler kazał Goeringa aresztować. Dalsze ich losy są znane.

Pułkownik Langer i major Ciężki, wyzwoleni z oflagu, wegetowali w Anglii, jak wielu innych oficerów. Inżynier Palluth i mechanik Fokczyński nie przeżyli udręku obozu koncentracyjnego Sachsenhausen.

Wkrótce po zakończeniu wojny król Wielkiej Brytanii Jerzy VI przyjmował w Buckingham Palace generała Stewarta Menziesa, szefa Intelligence Service. Premier Winston Churchill, przedstawiając tego generała królowi, powiedział:

- To właśnie dzięki uruchomieniu na wszystkich frontach placówek Broni Sekretnej generała Menziesa wygraliśmy wojnę.

Jak wiadomo, Special Liason Units, czyli placówki SLU, podlegały Menziesowi.

Marszałek polny lord Harold Alexander, dowódca frontu południowego, wyraził to dokładniej w stwierdzeniu:

- Ultra zmieniła całą koncepcję współczesnej sztuki wojennej.

Generał Dwight Eisenhower, głównodowodzący frontem zachodnim, wyznał:

- Zdecydowała Ultra.

Amerykański generał Brandley:

- Nigdy nie spodziewałem się mieć tak dokładnych informacji o przeciwniku.

Zasię autor wydanej w 1974 roku książki „The Ultra Secret” F. W. Winterbotham napisał w niej: „Laury za operację Enigmy należą się kryptologom z Bletchley”.

Ale czy tylko im?

Przypisując wyłącznie Anglikom wykrycie sekretu niemieckiej Enigmy spreparowano dość naiwną bajeczkę, a F.W. Winterbotham (świadomie, czy wprowadzony w błąd?) skorzystał z niej na stronach 10-11 swojej książki. Powtórzmy to raz jeszcze:

Oto w roku 1938 jakiś Polak mechanik, pracujący w niemieckiej fabryce, dostrzegł, że produkuje się tam maszyny służące łączności. Usunięty z tej pracy nawiązał łączność z brytyjskim agentem w Warszawie. Wobec tego, że gestapo było w Polsce bardzo czynne, młodego Polaka za fałszywym paszportem umieszczono aż w Paryżu, gdzie za pomocą francuskiego Deuxieme Bureau otrzymał... warsztat stolarski. Odtworzył tam drewnianą Enigmę w powiększeniu (wielkości pianina). Zrozumiawszy, o co chodzi oraz już wiedząc, gdzie Niemcy masowo produkują Enigmy, angielscy specjaliści zwrócili się do wywiadu polskiego z prośbą, aby za jęto się wykradzeniem Enigmy, przy tym dali Polakom pieniądze. Tak się też jakoby stało i (cytujemy): „to był Denniston, który osobiście udał się do Polski i z tryumfem, ale w największej tajemnicy, przywiózł kompletną, nowiutką, elektrycznie działającą Enigmę.....

Oczywiście, wszystko to nie ma nic wspólnego z prawdą. Pana F.W. Winterbothama nie mogą usprawiedliwić rzekome trudności z uzyskaniem informacji rzetelnych. Póki żył komandor Denniston lub też przebywający w Anglii kryptolog Zygański czy dawni polscy oficerowie łączności - powiedzieliby mu, jak w rzeczywistości było, a zresztą autor mógł sięgnąć po dokumentację francuską.

Mianowany generałem i dekorowany w roku 1967 przez de Gaulle'a Gustave Bertrand dał świadectwo prawdzie w książce „Enigma, czyli największa z tajemnic wojny 1939-1945”. Korzystaliśmy tu z jego pracy. W książce tej, wydanej w Paryżu w roku 1973 (!), a więc wcześniej niż książka angielska, generał Bertrand jako długoletni organizator francusko-angielsko-polskiej współpracy w zakresie dekryptaży oddaje hołd skromnym i dotychczas szerszemu światu nie znanym przedstawicielom polskiej myśli matematycznej i polskich osiągnięć technicznych przy odtworzeniu hitlerowskiej maszyny szyfrującej, czyli Enigmy, oraz zbudowaniu pomysłowej aparatury pomocniczej. Pan F. W. Winterbotham zlekceważył źródła właściwe.

Z francuskich inicjatyw i zabiegów, a następnie z polskich odkryć korzystały w pełni i przez cały czas wojny sztaby Anglosasów. To jest fakt niezbity. Tymczasem dumny z osiągnięć brytyjskiej Ultry angielski autor najwidoczniej wolał zapomnieć o warszawskim źródle tak płodnej w skutki inwencji. Ten autor nie jest wyjątkiem, Podczas wojny niejedną rzeczywiście wielki wyczyn polskiego marynarza, lotnika, żołnierza lądowego czy wynalazcy bywał na Wyspach Brytyjskich przemilczany wskutek lekceważącego stosunku do „foreignerów”, bądź źle zrozumianych narodowych ambicji. Autor niniejszej opowieści jako oficer prasowy i szef kwatery prasowej polskiego Naczelnego Wodza na emigracji często miewał z takimi objawami do czynienia.

Minęło kilka dziesiątków lat.

Niemłody już magister Marian Rejewski, główny kryptolog referatu „BS-4” w Warszawie, potem „Ekipy Z” ośrodków „P,C.Bruno” i „Cadix” we Francji, wreszcie ośrodek Boxmoor w Anglii, stojąc przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie, wskazywał ręką - przestrzeń, mówiąc:

- Tam na piętrze w lewym skrzydle obok nie istniejącej dziś kolumnady Pałacu Saskiego, ale z oknami na wewnętrzny dziedziniec, mieściło się biuro „BS-4” i tam pod koniec roku 1932 nasza trójka wykryła tajemnicę niemieckiej Enigmy,...

Wspominał dalej:

- Później przeniesiono nas do ośrodka w Pyrach, ale wtedy - obok naszego - był pokój numer 13, nazywany przez pracowników „pokojem pod zegarem”. Wejście do tego pokoju, podobnie jak wejście do naszego gabinetu kryptologicznego, było osłonięte czarną kotarą. Prawo wchodzenia mieli tylko podpułkownik Langer, inżynier Palluth, bracia Danilewiczowie, mistrz Fokczyński i specjalista precyzyjnego montażu Betlewski. Ani nam, ani im nie wolno było rozmawiać o dekrypcji, o Enigmie, o urządzeniach czy maszynach... Obowiązywało milczenie...

Wpatrzony w skrawek nieba musiał swoją opowieść nagle przerwać. Nikomu tu nie znany, razem z innymi ustąpił na bok, gdyż właśnie rozpoczynała się u Grobu Nieznanego Żołnierza uroczystość. Ceremonialnie niesiono wieńce, nadchodzili przywódcy, mężowie stanu, błyszczący złotem generałowie. Któż pamiętał, że polskiemu bohaterstwu na polu walki towarzyszyła również dociekliwa i zwycięska polska myśl?...

Tak się kończy „marsz w historię” piętnastu Polaków w obronie Ojczyzny i świata - zapracowanych, cichych, o bezpieczne życie i zaszczyty nie stojących...

Warszawa 1975-1976